



# *Heather Graham*



# *Noc w tropikach*

Tytuł oryginału: A Perilous Eden

# PROLOG

*Na pokładzie "Alexandrii", na wodach międzynarodowych*

*u wybrzeży Florydy*

*15 czerwca, godz. 0. 45*

Była ciemna noc. Niebo, morze, linia horyzontu – wszystko, jak okiem sięgnąć, tonało w mroku. Amber stała oparta o reling, świadoma jedynie wiatru rozwiewającego jej włosy i absolutnej ciszy pograżonego w nocy morza, które stało się teraz czarną, niezgłębioną pustką.

W pewnym momencie do jej uszu dobiegły jakieś szmery. Ciche stłumione szelesty, tak delikatne, że zatopiona we własnych myślach dopiero po chwili zdała sobie z nich sprawę.

Kiedy wreszcie zrozumiała, że dzieje się coś złego, gwałtownie odwróciła się w kierunku, skąd dochodziły złowrogie dźwięki, a jednocześnie pojęła, iż do burty statku pasażerskiego przybiła jakaś łódź. W sekundę później usłyszała kroki skradających się ludzi.

Wiedziała, że nie jest sama na pokładzie. Senator Daldrin również wyszedł popatrzeć na świecące jasno gwiazdy.

Ale Amber już nie patrzyła na w niebo.

– Stać! – wrzasnęła. – Stać! Na pomoc!

Nikt na jej krzyki nie zareagował. Nabrawszy powietrza w płuca, krzyknęła jeszcze raz, i jeszcze raz, najgłośniej, jak umiała, modląc się w duchu, aby jej głos przebił się jakimś cudem przez głośną muzykę dochodzącą z pobliskiego baru. Ale wiatr poniosł jej krzyki w morze.

Słyszały ją chyba tylko czarne zjawy biegnące w kierunku rysującej się niewyraźnie w mroku sylwetki senatora.

– Stać! – krzyknęła. Serce waliło jej jak oszalałe. – Zostawcie go! Kim jesteście? Co to ma znaczyć? Jeżeli natychmiast nie zostawicie go w spokoju, zostaniecie aresztowani!

Przemykające po pokładzie zjawy zignorowały jej pogroźkę.

Skąd oni się wzięli? – myślała gorączkowo Amber. „Alexandria” znajdowała się na pełnym morzu, z dala od portów. Czarno odziane postacie wydawały się tu nierealne. Były jakimiś nieziemskimi istotami, które wyłoniły się z mrocznych głębin morza.

Nie, to nie są twory jej wyobraźni, ale jak najbardziej realni czterej mężczyźni ubrani jednakowo w czarne swetry, czarne dżinsy i równie czarne kominiarki. Na pozór nie zwracali na nią uwagi, niemniej obserwującą w osłupieniu ich poczynania Amber ogarnął zimny strach. Czterej mężczyźni poruszali się z bezwzględną, zajadłą determinacją.

Senator tymczasem odwrócił się od relingu. Był to wysoki, przystojny mężczyzna o siwych włosach i dostojnym wyglądzie. Na widok czterech zbliżających się doń postaci nie okazał strachu.

– Amber, uciekaj stąd, do wszystkich diabłów! – krzyknął na całe gardło.

Ona ma uciekać? Ona, która jest jedyną osobą zdolną przyjść senatorowi z pomocą? O nie! Musi zostać. Musi coś zrobić.

– Przestańcie, bo jak nie... – Urwała w pół zdania, zaciskając kurczowo palce na relingu. Bo co? Jak ma powstrzymać czterech mężczyzn, którzy potrafili w środku nocy wdrzeć się na pokład statku?

Obróciła się nagle, spoglądając na światła migające w barze na rufie. Michael Adams! Jedyna nadzieja w nim.

Amber miewała chwilami wrażenie, że od czasu wejścia na pokład „Alexandrii” nie dostrzega nikogo prócz Michaela. Jakby sama jego obecność całkowicie przykuwała uwagę, usuwając w cień każdego, kto znalazł się w pobliżu. Czy dlatego, że z każdym dniem coraz bardziej się w nim zakochiwała? Tylko czy jest to prawdziwa miłość, czy jedynie nieodparty fizyczny pociąg, rodzaj iskier, które przebiegały między nimi, ilekroć znaleźli się obok siebie?

Pamiętała ich dziwne, przelotne spotkanie w Waszyngtonie. Minęli się wtedy w alejce koło Smithsonian Institution, a ona od razu zapamiętała jego twarz. Nie była to twarz tuzinkowa, a on nie mógł być tuzinkowym człowiekiem, choć nie potrafiła określić, co go wyróżniało spośród innych mężczyzn. Na pewno nie rysy, które nie uderzały urodą. Miał jasnoniebieskie, odcinające się od opalonej skóry oczy barwy lodowatego błękitu i równie jasne, płowe włosy. Twarz była silna i stanowcza, a zarazem harmonijna. Wzrost średni, około metra osiemdziesięciu. Nie miał atletycznej budowy ciała, lecz sprawiał wrażenie, że jest zbudowany z suchych, gibkich mięśni i sprężystych ścięgien.

Najważniejsze były jednak jego oczy. Niezwykłe, jasnoniebieskie oczy o wręcz magnetycznej sile i niezwykłym sposobie patrzenia na świat. A także, w pewnym sensie, na kobiety.

Amber nie była pewna, na czym polega zmysłowość jego spojrzenia. Spojrzenia, które nawet oceniając kobietę, zdawało się odsuwać ją na drugi plan. A przy tym Michael był tak zmienny! Potrafił być uprzejmy i serdeczny, niemal nadskakujący. Kiedy indziej, gdy zbliżał się do niej, nie chodziło nawet o to, że właściwie się nie znali. Nie, to było coś innego, coś, co instynktownie wiedziała od samego początku. Michael Adams był

człowiekiem niebezpiecznym. Czowała, że nosi w sobie jakąś mroczną tajemnicę.

A zarazem nieodparcie ją pociągał. Lecz kim był?

Pracował w wywiadzie? Bardzo możliwe. Statkiem płynęło kilku polityków, kandydatów do walki o prezydenturę w następnej kadencji. Na pewno roi się tu od ochroniarzy i tajnych agentów. Michael mógł być jednym z nich.

Poznanie go dało Amber wiele zadowolenia. Była mu wręcz wdzięczna za to, że potrafił ją oczarować. Stać się kimś, do kogo mogła wrócić myślami, ilekroć ogarniał ją smutek, a kolejne koktajle nie potrafiły rozwiać poczucia osamotnienia. Ilekroć przypominała sobie swój wielki życiowy błąd, mogła się pocieszyć myślą, iż w jej życiu znalazł się inny interesujący mężczyzna, choć wiedziała zarazem, że nigdy nie będzie całkowicie do niej należał. Był na to zbyt niebezpieczny i nieuchwytny, niby rakietą gotowa w każdej chwili wystrzelić w przestrzeń.

Od pierwszej chwili coś ją do niego przyciągało.

Od pierwszej chwili, gdy wziął ją w ramiona, wiedziała, że mu się nie oprze. Gdy tańczyli, serce zaczynało jej mocniej bić. Michael miał w sobie jakąś dziką, przemożną siłę. Na pewno żył niebezpiecznie, ale przez to wydawał się jeszcze bardziej fascynujący. Ale gdzie się teraz podziewa, skoro zwykle kręcił się w pobliżu?

Dwie czarne zjawy zdążyły tymczasem obezwładnić senatora. W dodatku napastnicy przestali ignorować jej obecność i spoglądali na nią groźnie. Ona tymczasem stała przy relingu jak sparaliżowana, zastanawiając się gorączkowo, w jaki sposób mogłaby zapobiec porwaniu.

– Zostawcie go, ostrzegam was! – krzyknęła. Ale im ani się śniło uwolnić senatora. Wprost przeciwnie, jeden z porywaczy zakneblował mu

szmatą usta, po czym z pomocą drugiego przerzucili go przez reling i znikli razem z nim za burtą. Senator nawet nie krzyknął.

– Nie myślcie, że ujdzie wam to bezkarnie! – zawołała.

Na pokładzie zostało dwóch porywaczy, którzy, wymieniwszy porozumiewawcze spojrzenia, ruszyli w kierunku Amber. Nie ulegało wątpliwości, że mają wobec niej złe zamiary. Musi się ratować.

Nie miała przy sobie niczego, czym mogłaby się bronić. Ubrana była w cienką koktajlową sukienkę, na którą narzuciła powiewający teraz na wietrze przezroczysty biały szal. Przebiegło jej przez głowę, że mogą ją łatwo pozbawić życia, zaciskając ten szal na jej szyi. W rękę trzymała małą wieczorową torebkę, a na nogach miała sandały na cienkich dziesięciocentymetrowych obcasach. Obcasy! To jest to!

Zsunąwszy pantofle z nóg, czekała na zbliżające się czarne zjawy, wykrzykując przez cały czas głośne pogrożki i ostrzeżenia po to, by robić jak najwięcej hałasu. Miała nadzieję, że Michael ją usłyszy i przybędzie na ratunek.

Jednakże nadzieja na to, że usłyszy ją ktokolwiek, malała z każdą sekundą. Przypatrując się napastnikom, zdała sobie sprawę, że są ubrani nie w swetry i dżinsy, ale w stroje pływonurków. A na twarzach, zamiast kominiarek, noszą maski do nurkowania.

Powiedzieli coś do siebie w nieznanym jej języku.

Głos zamarł Amber w gardle, gdy dostrzegła w ich rękach długie ostrza noży pobłyskujące złowrogo w słabej poświacie księżyca.

– Nie! – wyszeptała.

Chcą ją zabić. Nie porwać, tylko zasztyletować. Kiedy pierwszy mężczyzna chwycił ją za ramię, Amber wrzasnęła na cały głos, zdając sobie zarazem sprawę z daremności własnego krzyku. Wtedy napastnik powalił ją



na pokład, ona zaś uczepiła się palcami jego twarzy, ściągając mu maskę, a on ścisnął ją z całej siły za szyję.

Ujrzała nad sobą dwoje czarnych oczu osadzonych głęboko w smagłej pociągłej twarzy o wąskich zaciśniętych wargach. Opadła bezwładnie na pokład, z trudem chwytając oddech, lecz gdy mężczyzna zwolnił dławiający ją uścisk, kopnęła go kolanem w krocze. Bandyta zaklął z wściekłości – chyba po hiszpańsku – podnosząc zarazem do góry prawą rękę.

Zobaczyła błysk noża.

Jej głośny krzyk przeszył nocne powietrze. Miała umrzeć. Ale podniesiony nóż nie opadł. Czyjaś ręka odrzuciła napastnika w bok. Amber patrzyła na to osłupiała, bojąc się poruszyć. Napastnik został chwycony za kołnierz i ciśnięty pod reling. Jego ciało uderzyło z hukiem o pokład.

Dopiero gdy usłyszała nad sobą niezrozumiałe, wściekłe przekleństwa, zdecydowała się oderwać oczy od swego prześladowcy i podnieść wzrok na wybawiciela.

Michael! Więc jednak spełniły się jej nadzieje. Michael przybył na ratunek.

Stał na rozstawionych nogach, z rękami opartymi na biodrach, a jego oczy ciskały błyskawice. Zdawał się górować nad swoim otoczeniem, a może takie wrażenie robiła jego zimna furia. Najwyraźniej miał poczucie władzy i panował nad sytuacją.

– Michael! – wyszeptała Amber, podnosząc się na łokciu i wpatrując z nadzieją we władczyego mężczyznę, nadal nieświadoma, co się wokół niej naprawdę dzieje.

Michael był ubrany w czarny golf, czarne džinsy i czarne sportowe buty. Na dodatek, powiedziawszy coś do napastników po hiszpańsku, przeszedł na inny język, którego nie rozumiała.

Ona jednak wciąż nie chciała przyjąć do wiadomości tej strasznej prawdy. Podniósłszy się z pokładu, odgarnęła z twarzy włosy, spoglądając niespokojnie na człowieka, którego nadal uważała na swego obrońcę.

– Michael... Jak dobrze, że jesteś.

Drugi z czarno odzianych porywaczy parsknął śmiechem, ruszając w jej kierunku. Amber krzyknęła ze strachu, podbiegła do Michaela i rzuciła mu się w ramiona.

On jednak odsunął ją od siebie. Ich spojrzenia spotkały się i Amber nareszcie zaczęła coś pojmować.

– To nie tak – powiedział Michael, zniżając głos. – Bardzo mi przykro, Amber, ale nie jestem tutaj, żeby cię ratować.

– Jesteś łajdakiem.

Mężczyzna w czerni zamachał nożem w powietrzu i rzucił kilka zdań, których Amber nie rozumiała, lecz jego zamiary były aż nadto oczywiste.

– Ty idiotko! – szepnął Michael do Amber. – Trzeba było od razu stąd uciekać.

Amber wyrwała mu się z rąk i zaczęła biec przed siebie, ale gdy zrobiła kilka kroków, czyjaś ręka chwyciła ją za włosy. Krzyknęła z bólu. Michael brutalnie obrócił ją ku sobie. W jego oczach jarzyła się złość.

Mężczyzna w czerni znowu zaczął coś mówić w niezrozumiałym dla niej języku. Zrozumiała natomiast odpowiedź Michaela, który stanowczo mu się sprzeciwił.

– Wypuść mnie – szepnęła błagalnie, lecz on jeszcze mocniej szarpnął ją za włosy, a gdy krzyknęła z bólu, zamknął jej usta ręką, szepcząc zarazem do ucha:

– Zamknij, panienko, buzię na kłódkę, i to już. Nie widzisz, że robię, co mogę, żeby uratować twoje żałosne życie?



Amber i tak nie byłaby w stanie wymówić słowa. Michael tymczasem rzucił jakiś rozkaz w obcym jej języku, najprawdopodobniej po arabsku, a jednocześnie powalony przez niego mężczyzna zaczął powoli podnosić się z pokładu. Stanąwszy na nogi, wychylił się za burzę, zapewne dając znaki siedzącym w łodzi współnikom, bo po chwili z dołu wytrysnął snop światła.

Michael ponownie przyciągnął do siebie Amber, trzymając ją za włosy.

– To moja zabawa, panno Larkspur. Nikt cię na nią nie zapraszał, zjawiałaś się tu z własnej woli.

Amber nagle wszystko zobojętniało. Czuła, że zaraz zemdleje, a jej ostatnim świadomym doznaniem będzie zapach ciała Michaela.

Każdy mężczyzna ma swój własny niepowtarzalny zapach, a Amber знаła dobrze zapach Michaela Adamsa. Wdychała ten zapach wiele razy, leżąc u jego boku.

Jej serce przeszły dojmujący ból. Jak mógł ją tak podle zdradzić? Kochał ją, pieścił i całował, a teraz trzyma w brutalnym uścisku i grozi odebraniem jej życia?

Bo zapewne czeka ją śmierć. Czy to prawda, że w chwili śmierci jawią się człowiekowi migawki z całego życia? Jej było szczęśliwe. Jako córka wojskowego podróżowała od dziecka po całym świecie, a później obracała się w najwyższych kręgach towarzyskich Waszyngtonu. Chodziła do najlepszych szkół i wydawało się, iż cały świat stoi przed nią otworem. Ale cierpienie też nie było jej obce. Wcześniej straciła matkę, a ostatnio musiała się pogodzić z faktem, że Peter nigdy się nie zmieni i że na próżno poświęciła mu pięć lat życia. Jej wykształcenie, uprzywilejowana pozycja, nawet uroda na nic się nie zdały, toteż postanowiła się z nim rozstać. A

potem zjawił się Michael, i dopiero w jego ramionach zrozumiała, jak zachwycające może być życie.

Nie chce umierać. Będzie go prosić, będzie go błagać, powołując się na wszystko, co ich dotąd łączyło.

Nie, nie upokorzy się przed zdrajcą. Nie ugnie się. Tyle przynajmniej winna jest ojcu. Odwaga była jedną z najważniejszych rzeczy, jakie Ted Larkspur od najwcześniejszych lat wpajał swojej jedynej córce.

Korzystając z tego, że Michael odsunął na moment dłoń od jej ust, Amber wzięła głęboki oddech i krzyknęła z całych sił.

– Niech cię jasna cholera! – zaklął Michael z wściekłością, jeszcze brutalniej niż poprzednio zamykając jej usta. – Ostrzegam, zrobisz to jeszcze raz i...

Wbiła zęby w jego wskazujący palec, ale Michael nawet nie skrzywił się z bólu, tylko podniósł drugą rękę i zaciśniętą pięścią zadał jej cios w szczękę. Amber prawie nie poczuła bólu. Zakręciło jej się w głowie, przed oczami rozbłysły tysiące gwiazd, które natychmiast zgasły, i zapadła ciemność.

Obudziła się z tępym bólem głowy. Pamięć o tym, co się stało, nie od razu dotarła do jej świadomości. Leżała przez długą chwilę, wsłuchując się w monotonne pluskanie wody o burty statku. Potem do jej uszu dotarły stłumione odgłosy rozmowy. Męskich głosów, najprawdopodobniej rozmawiających po hiszpańsku.

Mocno zacisnęła powieki. Ci ludzie chcą ją zabić i zrobią to bez mrugnięcia okiem. Nie będą zważać na jej młody wiek ani na to, że jest kobietą. Mieli porwać senatora, a ona stanęła im na drodze. Jak długo jeszcze pozwolą jej żyć?

Ostrożnie otworzyła oczy. Znajdowała się w jadalnej kabynie dużego jachtu. Bardzo eleganckiego, mającego co najmniej osiemnaście metrów długości. Przy stojącym po drugiej stronie kabiny stole mogło wygodnie usiąść dwanaście osób. Po jej prawej stronie mieścił się kambuz zaopatrzony w kuchenny blat, lodówkę, piekarnik, zmywarę i suszarkę oraz niezliczoną ilość drewnianych szafek. Dalej były drzwi, zapewne prowadzące do kajut.

Amber opuściła ostrożnie nogi na podłogę. Jej sandały znikły, a rajstopy były podarte i brudne. Straciła również swój biały szal. Było jej zimno i miała obolałą szczękę.

Z zewnątrz nadal dobiegały męskie głosy.

Zaczęła się powoli podnosić z kanapy. Mogłaby poszukać kamizelki ratunkowej i skoczyć w morze. Wśród rekinów będzie z dwojga złego bezpieczniejsza niż wśród fanatyków.

Ciekawe, co zrobili z senatorem? Czy już go zamordowali, czy też porwali dla okupu?

Usłyszawszy zbliżające się kroki, chciała położyć się z powrotem i udać, że śpi, ale nim zdążyła to zrobić, w drzwiach kabiny pojawił się ten sam mężczyzna, któremu w trakcie szamotaniny zerwała z twarzy maskę.

– Wstawaj! – rozkazał.

Widać znał angielski, a przynajmniej to jedno słowo. Wyciągnął rękę, jakby chciał poderwać ją na nogi, ale Amber szybko sama się podniosła, aby uniknąć fizycznego kontaktu z porywaczem. On jednak i tak chwycił ją za ramię i popchnął w kierunku wyjścia na pokład.

Po przekroczeniu progu Amber potknęła się na pierwszym stopniu schodów. Na zewnątrz wciąż panowała noc.

W górze rozpościerało się czarne niebo, naprzeciw niej zaś na leżakach i rozkładanych krzeselkach siedziała grupa mężczyzn. Pomyślała, że chyba

niedługo leżała nieprzytomna, bo niektórzy nadal mieli na sobie stroje pletwonurków – z wyjątkiem starszego mężczyzny o smagłej twarzy w długim do stóp białym burnusie, który z uwagą słuchał Michaela.

Pozostali, zapewne jego podwładni, okazywali Michaelowi wyraźny szacunek. Ten zaś stał oparty o reling. Kiedy bosonoga Amber wyłoniła się na pokład, z dumnie podniesioną głową, Michael obrzucił ją szybkim spojrzeniem, nie przerywając rozmowy z mężczyzną w burnusie. Mówił do niego po hiszpańsku, wtrącając niekiedy, jakby dla podkreślenia, słowa w nieznanym Amber języku.

Człowiek, który ją przyprowadził, nagle wybuchnął złością, na co Michael kategorycznym tonem oświadczył po angielsku:

– Tylko ja będę decydował o jej losie.

Wywiązała się ożywiona wymiana zdań po hiszpańsku.

– Co to ma znaczyć? – oburzyła się Amber.

Pewnie sprzeczą się to, czy wrzucić ją do morza od razu, czy najpierw poderznąć gardło. Nie miała wątpliwości, że większość porywaczy domaga się jej śmierci.

– Nikt z was nie ma prawa o mnie decydować! Jesteście zwykłymi bandytami! Żądam uwolnienia, nie tylko mnie, ale i senatora, bo inaczej...

Ale Michael nie pozwolił jej dokończyć. Mówił dalej do mężczyzny w burnusie, jakby jej słowa nie miały najmniejszego znaczenia. Widać było, że tylko oni dwaj mają tu coś do powiedzenia.

– Gdzie jest senator? – nie ustępowała Amber. Teraz wszyscy zamilkli.

– Siedź cicho! – rozkazał jej Michael.

Ona jednak nie miała zamiaru potulnie milczeć. Skoro i tak ma zginąć, to przynajmniej powie przedtem, co o nim myśli.

– Marnie zginiesz, Michael. Dopadną cię prędzej czy później i zadyndasz na szubienicy. Albo rozstrzelają cię jako zdrajcę. Szkoda, że w dzisiejszych czasach nie ćwiartuje się złoczyńców, bo na nic lepszego nie zasługujesz.

Obrzucił ją pełnym politowania spojrzeniem swoich jasnych jak lód oczu.

– Powiedziałem, żebyś siedziała cicho.

– Ani mi się śni.

Podskoczył ku niej i wymierzył jej otwartą dłonią siarczysty policzek, zanim zdążyła się cofnąć. Łzy napłynęły Amber do oczu, a w ustach poczuła krew płynącą z przygryzionej wargi. Ale nie na darmo była córką swojego ojca. Niewiele myśląc, zamachnęła się i z całej siły trzasnęła go w twarz.

Mężczyźni ryknęli głośnym śmiechem.

Ktoś rzucił zdanie, z którego zrozumiała jedno słowo –*puta*. Dziwka. Uznali ją za dziwkę Michaela, a teraz śmieją się, że mężczyzna, którego muszą słuchać, nie potrafi swojej dziwki utrzymać w ryzach. Pewnie się go boją, a teraz znaleźli okazję, by się na nim odegrać.

Ale i ona poczuła przed nim strach. Ze złości i ze strachu zapomniała, że to przecież Michael nie pozwolił jej zabić i że tylko on może ją uchronić od śmierci.

– Mylicie się! – krzyknęła z wściekłością. – Nic mnie z nim nie łączy! Wysłuchajcie mnie!

– Zamknij się! – wycedził Michael przez zęby. Klnąc siarczyście po hiszpańsku, chwycił ją wpół, poderwał z ziemi i przerzucił sobie przez ramię.

Nastąpił kolejny wybuch śmiechu. Tyle że tym razem śmieli się nie z Michaela, ale z niej.

Michael pchnął nogą drzwi i zaczął ją znosić tymi samymi schodkami, którymi wcześniej wydostała się na pokład. Zobaczyła, że mijają kambuz i główną kabinę.

Do tej pory Amber bała się tylko o swoje życie. Nie przychodziło jej do głowy, że mogłaby zostać zgwałcona. Teraz jednak, mając nadal w uszach ordynarne męskie śmiechy, poczuła nowy rodzaj strachu.

Korytarzem za główną kabiną dotarli do ciasnej i dusznej kabiny, do której docierało tylko słabe światło księżyca. Michael rzucił ją jak pakunek na wąską koję. Przestraszona, zwinęła się w kłębek. Po chwili spróbowała wstać, lecz Michael pchnął ją z powrotem na łóżko. Nie widziała jego twarzy, mogła jedynie dostrzec rysującą się niewyraźnie w mroku czarną, groźną sylwetkę. Po chwili usłyszała szmer, zobaczyła jaśniejszą plamę obnażonego ciała i zdała sobie sprawę, że Michael zdjął sweter. Jednocześnie w promieniu księżycowego światła zabłysły zimne oczy, które jeszcze niedawno tak bardzo ją fascynowały.

– Ty bydlaku, zostaw mnie! – krzyknęła zdławionym głosem.

On jednak nie raczył zareagować. Rozpiął skórzany pas i wyciągnął go ze szlufek od spodni. Amber patrzyła przerażona, jak owija sobie jeden koniec pasa wokół dłoni. Czyżby chciał ją biciem zmusić do milczenia?

Kiedy podnosił rękę, wrzasnęła przeraźliwie. Michael tymczasem zamachnął się pasem i... uderzył nim w brzег koi, Amber nic już nie rozumiała.

Roztrzęsiona, bliska łez, wpatrywała się w niego, szepcząc drżącymi wargami:

– O mój Boże, o mój Boże...

Michael zbliżył się do niej z groźnym wyrazem twarzy.

– Wrzaśnij jeszcze raz! – syknął przez zęby.



– Co?

– Krzyknij jeszcze raz!

– Nie, Michael, ja nie... – Krzycz, idiotko!

Przez chwilę spoglądał na nią w milczeniu, po czym chwycił obiema rękami brzeg dekoltu jej sukni i jednym ruchem rozerwał cienki materiał.

– Michael, nie! – wrzasnęła histerycznie. Wszystko, tylko nie to. I nie on.

Białe zęby Michaela błysnęły w szerokim uśmiechu.

– No, teraz dobrze – mruknął z wyraźnym zadowoleniem.

Nie wypuszczając poszarpanej sukienki z rąk, darł ją dalej, aż do samego pasa. A Amber krzyczała, tak jak sobie życzył, i nie tylko krzyczała, ale biła go na oślep i drapała, po rękach, po twarzy, gdzie tylko mogła dosięgnąć.

– Bardzo dobrze – oświadczył, zostawiając nagle ją, w spokoju. Rozdygotana Amber wtuliła się odruchowo w kąt koi, usiłując osłonić się poszarpanymi resztkami koktajlowej sukienki, podczas gdy on usiadł na brzegu koi i zsunął z nóg buty.

– Zatlukę cię własnymi rękami, tylko poczekaj! – wykrztusiła w bezsilnej wściekłości, usiłując rozpaczliwie powstrzymać łzy.

Michael sięgnął tymczasem do tylnej kieszeni, wyjął pistolet i odłożył go na nocny stolik. Amber popatrzyła łakomym wzrokiem na srebrzącą się w świetle księżyca broń. Zaraz jednak przeniosła oczy na Michaela, który najspokojniej w świecie zaczął zdejmować spodnie.

– Michael, nie!

– Ależ kochanie, przecież znamy się nie od dzisiaj. – Tym razem usłyszała w jego głosie nutę rozbawienia.

Pomyślała, że za chwilę zwariuje. Jak on ma czelność przypominać ich dawne, intymne stosunki!

Michael tymczasem położył się obok niej. Próbując się przed nim bronić, wypuściła z rąk brzegi rozdartej sukni i w rezultacie poczuła na piersiach dotyk jego owłosionego torsu. Chciała krzyknąć, ale z jej gardła dobył się tylko cichy jęk.

– Uspokój się, głuptasku – rzekł Michael cicho, muskając palcem jej policzek.

– Nie dotykaj mnie! – wyszeptała, zwilżając językiem wyschnięte wargi.

– Amber, posłuchaj mnie uważnie. Staram się uratować ci życie.

Akurat!

Michael odsunął się i usiadł w nogach łóżka, przeczesując palcami włosy. Sprawiał wrażenie, jakby zapomniał o jej istnieniu, ale po chwili ponownie zwrócił się ku niej, omiatając wzrokiem jej na pół obnażone ciało.

– Rozbierz się – powiedział.

– Michael, nie. Tylko nie...

– Rozbieraj się – powtórzył, nachylając się nad przerażoną Amber. – Albo sama się rozbierzesz, albo ja to zrobię.

– Jeśli cię wcześniej nie dopadną, sama cię zamorduję, przysięgam – wysyczała w bezradnej złości, odpychając go z całej siły. Jednakże Michael zachowywał się tak, jakby jej nie słyszał. Zareagował dopiero, gdy spróbowała sięgnąć po leżący na stoliku pistolet. Złapał ją za rękę, po czym zabrał się do zrywania z niej resztek ubrania.

Zdała sobie sprawę, że stawianie oporu na nic się nie zda. Michael paroma szarpnięciami zdarł z niej strzępy niegdyś eleganckiej sukni, a następnie zrobił to samo z pończochami i resztą bielizny.

– Staram się nie zrobić ci krzywdy, ale jeżeli dalej będziesz usiłowała coś zmalować, nie ręczę za siebie! – wycedził.

Nagle wyprostował się, podszedł na palcach do drzwi kajuty i pochylił głowę, jakby nasłuchiwał. Kiedy po chwili wrócił na pryczę, Amber cicho płakała.

– Przykryj nas pledem i zrób mi miejsce. Szybko! – wyszeptał o wiele łagodniejszym tonem.

– Nie rób...

– Panno Larkspur, na litość boską!

Nazwał ją panną Larkspur! Jakby w sytuacji, w której się znaleźli, było jeszcze miejsce na grzecznościowe formy!

Michael okrył Amber kocem, położył się obok niej na plecach i z założonymi na karku rękami wpatrywał się w sufit. Amber wstrzymała oddech. Ona też zaczęła nasłuchiwać. Z głębi jachtu dochodziły stłumione odgłosy przerywanej wybuchami śmiechu rozmowy.

– Panno Larkspur, jeszcze raz apeluję do pani rozsądku – odezwał się Michael. – Ma pani niepowtarzalną okazję dowieść swojej inteligencji. Proszę robić wszystko, co powiem. Prowadzić grę razem ze mną. Rozumie pani?

Nadal bała się odetchnąć, ale jej płacz powoli ustawał. Bez słowa skinęła głową. Michael popatrzył jej w oczy.

– Usiłuję ci pomóc. Czy możesz to zrozumieć?

– Oczywiście, że rozumiem – odparła zimno. On jej pomaga! Zrywając z niej ubranie! Upokarzając ją!

– Naprawdę bardzo mi przykro, że zostałam w to wplątana.

– Jesteś zdrajcą! – zasyczała.

Michael znieruchomiał na moment. Kiedy potem ją objął, Amber poczuła taki żal, że o mało znowu się nie rozplakała.

– Nieważne, kim jestem. Nie myśl o tym, jeśli chcesz żyć.

Leżała niepokieszona. Tak bardzo nie chciała źle o nim myśleć. Nie chciała wierzyć, że Michael jest współnikiem morderców. Bliskość jego ciała pozbawiała ją odwagi i woli oporu.

– Rób wszystko, co ci powiem – rzekł z naciskiem. – A teraz postaraj się zasnąć – dodał, odwracając się do niej plecami.

Zasnąć, dobre sobie! Amber znowu zaczęło zbierać się na płacz. Musiała wbić zęby w wierzch dłoni, żeby powstrzymać wzbierający szloch. Gdzieś w oddali głośno tykał zegar.

– Wszystko będzie dobrze, Amber – szepnął Michael, spoglądając na nią przez ramię. – Obiecuję.

Chciał dotknąć jej policzka, ale odepchnęła jego rękę.

– Zobaczymy – warknęła. – Tylko mnie nie dotykaj.

– Postaram się... panno Larkspur.

Co za absurdalna sytuacja, przemknęło Amber przez głowę. Leży goła pod jednym kocem z mężczyzną, który parę godzin temu porwał ją i senatora Stanów Zjednoczonych z pokładu pasażerskiego statku!

Michael znowu odwrócił się do niej plecami, ale na wąskiej koi ich ciała nie mogły się nie stykać. Amber przemknęło przez głowę, że wszystko może się dobrze skończyć, bo u boku Michaela nic się jej nie stanie.

Wprawdzie nadal gardziła nim jako zdrajcą, ale pamiętała, iż to on uratował ją od niechybnej śmierci. I tylko on może ją obronić przed zakusami pozostałych porywaczy.

Słuchając tykania odmierzającego czas zegara, modliła się w duchu, aby noc trwała w nieskończoność.

*Waszyngton*

*15 czerwca, godz. 8. 30*

Do Białego Domu wiadomość dotarła dopiero wczesnym rankiem, a pierwszym, który ją odebrał, nie był Ted Larkspur, tylko Ben Hurley. Pospieszył zawiadomić prezydenta, zanim wieść dotrze do mediów, prezydent zaś wezwał Teda.

– Nastąpiło to, czego oczekiwaliśmy. Porwali Iana ze statku. Adams też zniknął.

Ted z powagą pokiwał głową.

– Słuchaj, Ted... – Ben zająknął się. Ted Larkspur popatrzył na niego ze zdziwieniem. – Bo widzisz... Amber też zniknęła.

Ted Larkspur zbladł jak ściana.

– Jak to? Co to znaczy, zniknęła? Przecież jest u przyjaciół w Palm Beach i...

– Niestety nie. Dowiedziałem się przed chwilą od kapitana, że była na pokładzie „Alexandrii”. Wsiadła w Miami.

– Znając Amber, wiem, na pewno dała ci znać – wtrącił prezydent.

Ted jęknął. Rzeczywiście. Nie było go w domu. Amber dzwoniła do niego do biura, ale nie zdążył odpowiedzieć. Był zbyt zajęty, zbyt podminowany, a teraz...

Sam wszystko namotał, a teraz Amber została w to wplątana. Wsiadła na pokład „Alexandrii”. Powinien był ją ostrzec albo pod byle pretekstem ściągnąć do Waszyngtonu.

Zrobiło mu się słabo i musiał usiąść na krawędzi biurka, by nie upaść. Prezydent razem z Benem Hurleyem podprowadzili go do fotela.

– Boże drogi! – jęknął. Czuł, że zaraz się rozplacze. On, stary żołnierz, rozplacze się jak dziecko.

Hurley nie wiedział, co mówić. Na szczęście prezydent nie stracił przytomności umysłu.

– Wiem, stary, jest źle. Bardzo źle. Ale musimy wierzyć w Tchartoffa. Nie dopuści, żeby Amber spadł włos z głowy.

– A cóż on może zrobić? – westchnął zrozpaczony Ted. Jego ukochana córeczka znalazła się w rękach porywaczy.

– Coś wymyśli. Na pewno coś wymyśli.

Ted wolałby zapomnieć o istnieniu tego człowieka.

Sam jest wszystkiemu winien. Gdyby nie pokazał prezydentowi tamtego dossier, Amber byłaby dziś bezpieczna.

Odrzucił głowę do tyłu i zamknął oczy. Zaledwie miesiąc temu sprowadził Adama Tchartoffa – alias Michaela Adamsa – do Waszyngtonu. Tak, to było miesiąc temu.



# ROZDZIAŁ PIERWSZY

*Waszyngton 15 maja*

– Sir, czy mogę?

Ted Larkspur zatrzymał się w drzwiach, ukrywając za plecami przyniesione dossier. Był wojskowym w stanie spoczynku, który po przejściu na emeryturę chętnie przyjął pracę na Kapitolu. W porównaniu z prezydentem był jeszcze człowiekiem stosunkowo młodym.

Gospodarz Białego Domu siedział na dywanie, zajęty obrazkową układanką, która, na ile Ted mógł się zorientować, przedstawiała scenę z Dzikiego Zachodu.

Spojrząwszy na swego gościa z trochę nieobecnym uśmiechem, prezydent wrócił do swojej układanki. Jednakże Ted nie dał się nabrać: wiedział, że stary nadstawia uszu.

– Masz coś do mnie?

– Tak, sir. Chyba znalazłem to, o co panu chodziło.

Prezydent wyciągnął rękę, a Ted podał mu dossier, uważając, by nie nadepnąć na układankę.

Prezydent otworzył teczkę, nie wstając z podłogi, i zaczął szybko przerzucać jej zawartość. Natrafiwszy na fotografię mężczyzny, długo jej się przyglądał.

Twarz była ciekawa, pełna sprzeczności. Krótko ostrzyżone jasne włosy, jasnoblękitne oczy. Twarz szczupła, mimo wystających kości policzkowych. Nos musiał być kiedyś złamany. Usta zaciśnięte, ale pełne. Z oczu i całej twarzy wyzierały czujność, zapal, gotowość.

– Fascynujące – mruknął prezydent, odkładając teczkę i sięgając po fragment układanki.

– Hm, przepraszam, sir, ale wydaje mi się, że ten kawałek powinien iść wyżej. Moim zdaniem, to nie kawałek trawy, tylko nieba.

– Chyba masz rację – mruknął prezydent, wpasowując trzymany w rękę fragment puzzle'a. Ale kiedy podniósł wzrok znad podłogi, Ted zrozumiał, że umysł prezydenta zajęty jest wyłącznie przetwarzaniem nowych informacji. – Tak, Ted, musimy coś z tym zrobić. Ten, jak mu tam... Adam Tchartoff ma teraz obywatelstwo izraelskie, prawda?

– Tak, sir.

– Ale był obywatelem amerykańskim?

– Tak, sir. Dossier zawiera wszystkie...

– Co jest w dossier, to już wiem. Resztę musisz mi dopowiedzieć. Widziałeś go?

– Przelotnie. Nie zostaliśmy sobie przedstawieni.

– Ale go widziałeś. Nie daj się nigdy nabrać na suche fakty, zgromadzone na papierze. Chcąc człowieka naprawdę ocenić, trzeba go zobaczyć na własne oczy.

– To prawda, sir.

– No tak. – Prezydent dźwignął się z podłogi, odprawiając machnięciem ręki przyjaciela, który podskoczył, by mu pomóc. – Potrafię jeszcze stanąć na nogi o własnych siłach. – Okrążył biurko i usadowił się w fotelu. – Jak myślisz, Ted, dlaczego ten twój facet zrezygnował z amerykańskiego obywatelstwa?

– Prawdę mówiąc, nie wiem.

Prezydent poprawił się w fotelu i zerknął na sufit.

– Ojciec biały Rosjanin, matka polska Żydówka, a urodził się w Linzu w Austrii w 1950. W tamtych latach Austriacy nie przyznawali obywatelstwa dzieciom uchodźców.

Teda zdumiało, ile prezydent zdołał wyczytać i zapamiętać z akt, które zaledwie przerzucił.

– Wszystko się zgadza, sir. W 1954 rodzice wyjechali do Stanów Zjednoczonych, gdzie po paru latach chłopiec uzyskał obywatelstwo. A po śmierci ojca w 1967 przeniósł się z matką do Izraela.

– Ale nadal miał amerykańskie obywatelstwo

– wtrącił prezydent. – Najpierw zaciągnął się do naszego wojska.

Ted pokiwał głową.

– Walczył w Wietnamie, a potem zdecydował się przyjąć obywatelstwo izraelskie. Co o tym myślisz?

– Myślę, że komuś, kto walczył w oddziałach specjalnych, nie jest łatwo wrócić po wojnie do cywilnego życia. Po tym, jak miesiącami, a nawet latami uczył się zachowywać jak dziki człowiek...

– Ted nie dokończył. Prezydent zaśmiał się sucho.

– Rozumiem. Trudno wbić się z powrotem w garnitur, zawiązać krawat i pójść pracować na Wall Street. – Prezydent zabębnił palcami o biurko. – Ale on nie uczestniczył w akcjach specjalnych. Był księgowym.

– Początkowo tak, przez kilka lat. Do... nowych zadań został przez swój rząd powołany mniej więcej pięć lat temu. Jego wiedza była przydatna w pewnej nader delikatnej sprawie.

Prezydent nagle się ożywił.

– I wtedy zmieniono mu nazwisko?

– Tak.

– A kiedy stracił żonę i dziecko?

– Dwa lata temu. W wybuchu bomby podłożonej w jego samochodzie, podczas wakacji nad morzem. Jego nazwisko stało się znane. Wsiadł na chwilę, żeby kupić papierosy.

– To potworne.

– Okropne.

Prezydent zamyślił się.

– A obecnie... w sprawie, o którą nam chodzi... jesteś pewien, że nie zostanie rozpoznany?

– Nigdy nie działał jawnie. Od czasu wybuchu samochodu jest znany wyłącznie jako nieszkodliwy urzędnik. Zarazem jednak w pewnych kołach nazwisko Michael Adams obrosło legendą, co pozwoliło mu przeniknąć bez trudu do samego jądra Szwadronu Śmierci. O izraelskim powiązaniu nikt nie ma pojęcia.

– Nie bardzo rozumiem.

– Stopniowo budowano jego legendę. Starannie inscenizowane zdarzenia, głównie zamachy, szły na jego konto. Jak pan wie, Szwadron Śmierci stanowi bardzo urozmaiconą mozaikę. Działają w nim malkontenci z Południowej i Środkowej Ameryki, ale główny człon tworzą fanatycy z krajów arabskich. Wiemy, że ich szkolenia odbywają się na terenie Stanów. Porozumiewają się najczęściej szyfrem hiszpańskim, ale czasami także arabskim. Kiedy Adams podjął próbę przeniknięcia do ich siatki, przyjęto go natychmiast z otwartymi rękami.

– Opowiedz mi więcej o Tchartoffie.

– Do Izraela pojechał ze względu na matkę, a został tam ze względu na żonę. – Ted zawahał się. – A myślę, że potem został dla zemsty – dodał, zniżając głos.

– Chcesz powiedzieć, że kipi w nim złość.

– O tak. Złość i żal. Prezydent przestał bębnić palcami.

– Tak, myślę, że to idealny człowiek do naszych celów. Możesz zaaranżować spotkanie? Oczywiście nie w Waszyngtonie. Rząd Stanów Zjednoczonych nie może być w tę sprawę w żaden sposób uwikłany.

– Oczywiście, sir. Nic nie zostanie na papierze. Nikt nie będzie o sprawie informowany, a osoby bezpośrednio zaangażowane dowiedzą się tylko, co mają robić.

– Muszę odzyskać naszych ludzi. I raz na zawsze rozprawić się z tymi bandytami.

– Tak jest, sir – przytaknął Ted. – Adams powinien już być w Waszyngtonie. Dałem mu znać, żeby przyjechał na uroczyste nabożeństwo w intencji jego dawnej jednostki.

Prezydent popatrzył z uznaniem na Teda.

– To świetnie się składa. Kiedy jest ta uroczystość?

– Jutro o drugiej.

– Mam nadzieję, że nie mam jutro żadnych ważnych spotkań i będę mógł w niej uczestniczyć.

– Oczywiście, sir. Będzie pan miał okazję przyjrzeć mu się z bliska, zanim go panu przedstawię.

– Bardzo dobrze. Miejmy nadzieję, że jego złość nie ostygła i że połknie przynętę. Czy ostatecznie odkrycie naszego wywiadu jest mu znane?

– Że Szwadron Śmierci jest odpowiedzialny za śmierć jego żony?

– Tak.

– Tego nie wiem. Pewnie się domyślał...

– Ale my mamy dowód. – Prezydent rozsiadł się wygodnie w fotelu. – Bardzo jestem ciekaw spotkania z panem Tchartoffem. Ale, ale, podobno jeszcze ktoś miał się dzisiaj zjawić w Waszyngtonie.

– A tak. – Ted szeroko się uśmiechnął. – Amber miała przylecieć z samego rana. Zwiedza teraz muzeum Smithsonian, a potem mamy razem zjeść lunch.

– Chętnie bym ją zobaczył. Co byś powiedział na wspólną kolację u mnie?

– Amber na pewno się ucieszy.

– No to czekam.

Amber Larkspur weszła do rotundy Muzeum Historii Naturalnej i obeszła z wszystkich stron stojącego pośrodku olbrzymiego słonia. Uwielbiała zwiedzać muzea składające się na Smithsonian Institution. Dawno tu nie była. Stęskniła się za Waszyngtonem.

Do rotundy wpadła gromada uczniów i rozbiegła się wokół słonia. Amber uśmiechnęła się, ale na wszelki wypadek usunęła się z drogi. Jako córka wojskowego zaznała w dzieciństwie i młodości wielu przeprowadzek, w sumie jednak najdłużej mieszkała w Waszyngtonie, a właściwie w pobliskiej Alexandrii. Podobnie jak te dzieci, przyjeżdżała ze szkołą zwiedzać waszyngtońskie muzea. Jakież proste i sielskie było wtedy jej życie! Choć w młodości nie umiała tego docenić.

Co prawda jej młodość jeszcze całkiem nie minęła. Niemniej skończyła niedawno dwadzieścia dziewięć lat i chyba właśnie myśl o zbliżającej się trzydziestce skłoniła ją do podjęcia tydzień temu radykalnej decyzji.

Jej uwagę zwróciła para młodych ludzi nieco bezradnie rozglądających się wokół siebie. Pewnie chcieliby, by im zrobić wspólne zdjęcie, ale nie mają śmiałości poprosić, pomyślała i podeszła do nich z uśmiechem.

– Och, jaka pani miła! – ucieszyła się drobna brunetka. – Jesteśmy w podróży poślubnej, ale jak dotąd nie mamy ani jednego wspólnego zdjęcia.



– Nie trzeba się krępować, wystarczy kogoś poprosić. Ludzie są tutaj życzliwi i chętnie pomagają innym.

Zrobiwszy młodej parze kilka zdjęć, doradziła im, co powinni jeszcze obejrzyć, po czym pomachała im na pożegnanie. Takie dzieciaki, pomyślała, mają może po dwadzieścia lat! Spojrzawszy na zegarek, stwierdziła, że na dalsze zwiedzanie nie ma już czasu, ale nie musi się spieszyć.

Był piękny majowy dzień. Niebo było niemal bezchmurne, trawa intensywnie zielona, kwitły czereśniowe drzewa. Stanęła na trawniku i, rozglądając się dokoła, ruszyła niespiesznie do stacji metra. Panowała iście letnia pogoda. I podobny nastrój. Tu młody człowiek bawił się z psem, tam dwie elegancko ubrane panie, pewnie urzędniczki, jadły lunch na trawie, nieco dalej grano w piłkę. Zewsząd słychać było wesołe rozmowy i śmiech.

– To jest życie – powiedziała do siebie. – Na wyciągnięcie ręki, wystarczy tylko zdecydować się w nie wejść.

Poprawiła pasek torebki na ramieniu i przyspieszyła kroku. Na parkowej ławce, którą mijała, siedział mężczyzna. Z niewiadomego powodu obejrzała się, by jeszcze raz na niego spojrzeć. Na pozór nic go nie wyróżniało spośród setek innych mężczyzn, jakich spotyka się na ulicach. Siedział na ławce z rozłożonymi na boki rękami i twarzą podniesioną do słońca.

Ale kiedy się obejrzała, on odwrócił twarz w jej stronę. Wyczuł, że na niego patrzy? Trochę się speszyła, ale nie odwróciła wzroku. Wyczuła w nim coś intrygującego. Był nie pierwszej młodości, ale zarazem nie za stary. Nie za stary na co? Nie był też specjalnie przystojny, ale miał męskie surowe rysy i niezwykle oczy. Oczy, które zdawały się przenikać ją na wskroś. Mimo leniwej pozy emanowała z niego skumulowana energia.

Mężczyzna uśmiechnął się. Nie było jednak w tym uśmiechu zaczepki. Raczej życzliwe zainteresowanie i pewne rozbawienie. Gdyby nie ten uśmiech, uznałaby go pewnie za człowieka niebezpiecznego.

– Cześć! – powiedział.

Amber zrobiło się głupio. Niepewnie skinęła głową. Waszyngton pełen jest interesujących mężczyzn. Silnych i ambitnych. Ten jest na pewno silny, ale chyba nie ambitny, pomyślała. Albo ambitny inaczej niż większość z nich. Zresztą, co ją to obchodzi. Nagle zawstydziła się swojego zachowania. Skoro już się na niego gapi, to powinna przynajmniej odpowiedzieć na pozdrowienie.

– Cześć! – odparła. Odwróciła się i poszła dalej.

Idąc, czuła na plecach jego spojrzenie. Obejrzała się. Rzeczywiście patrzył na nią i nie tylko nie odwrócił oczu, ale pomachał ręką. Odpowiedziawszy mu podobnym gestem, przyspieszyła kroku. Potem, jadąc metrem, usiłowała skierować myśli na spotkanie z ojcem, ale przed oczami miała nadal twarz nieznanego mężczyzny.

Wkrótce o nim zapomnę, powiedziała sobie.

I rzeczywiście, wchodząc do restauracji niemal o nim nie pamiętała. Czekala ją rozmowa z ojcem, któremu postanowiła wyznać całą prawdę. Nie chciała jednak, by się nad nią litował, a zwłaszcza dać mu okazji do powiedzenia: „A nie mówiłem?”. Nie zamierzała udawać, że minione pięć lat nic dla niej nie znaczyło ani że łatwo jej przyszło zdecydować się na rozstanie z Peterem.

Byli umówieni w niewielkiej knajpce Zefferellego blisko Kapitolu. Amber przyszła pierwsza, a sam Zefferelli zaprowadził ją do stolika w głębi sali. Ojciec zjawił się po pięciu minutach. Z dumą patrzyła, jak jej

przystojny, wysoki i smukły ojciec o szlachetnie posiwiałych skroniach wita się z właścicielem, a następnie przez salę idzie do niej.

Uściskali się serdecznie, a potem usiedli po dwóch stronach stołu i patrzyli na siebie, nic nie mówiąc.

Na pytanie Amber, co słyhać w Białym Domu, Ted opowiedział jej ostatnią anegdotę o półtorarocznej wnuczce prezydenta, która, zostawiona sama w pokoju, wyjęła z akwarium wszystkie złote rybki, a potem zalewała się łzami, kiedy okazało się, że rybki są martwe.

Amber roześmiała się, lecz ojciec tylko westchnął i dodał, że sytuacja nie wygląda najlepiej. Nie dalej jak parę dni temu porwano w Rzymie kolejnego dyplomatę.

– To okropne! Czy ma rodzinę?

– Młodziutką żonę i dwie córeczki.

– W porównaniu z ich losem moje problemy mogą ci się wydać mało ważne.

Ojciec ujął jej rękę w obie dłonie.

– Moje dziecko, wszystko, co dotyczy ciebie, jest dla mnie zawsze najważniejsze – oznajmił czule. – Powiedz, co się dzieje. Byłem o ciebie niespokojny.

– Rozstałam się z Peterem.

– Na dobre? – spytał po krótkim milczeniu.

– Z początku nie byłam pewna. Łudziłam się, że jeśli spakuję walizki i zamknę za sobą drzwi, Peter zrozumie, że to nie żarty. – Uśmiechnęła się smutno. – Myślałam, że pobiegnie za mną, ale nic takiego nie nastąpiło.

W oczach ojca malowała się szczerza troska. Od początku nie wróżył temu związkowi przyszłości.

– Chyba niedobrze się stało, że zgodziłaś się z nim zamieszkać.

Amber westchnęła w duchu. Mogła się tego spodziewać.

– Nie, tato, gdybym zmusiła go do małżeństwa, byłoby sto razy gorzej. Zresztą największy problem to wcale nie moje małżeństwo, tylko wiek. Czy zdajesz sobie sprawę, że wkrótce stuknie mi trzydziestka?

Ted stłumił uśmiech cisnący mu się na usta.

Powiedziała to takim tonem, jakby była stuletnią staruszką.

– Jestem przekonany, że Peter naprawdę cię kocha. Gdybym w to nie wierzył, byłbym przeciwny waszemu wspólnemu zamieszkaniu. Jak myślisz, czy spróbuje cię odzyskać?

Amber wróciła pamięcią do tamtego wieczoru sprzed dwóch dni, kiedy zdecydowała się opuścić mieszkanie, w którym spędziła ostatnie pięć lat życia. Zrobiła to po dwóch latach namysłu. Peter nie chciał się żenić i nie chciał mieć dzieci, chociaż na pewno ją kochał.

Starszy od niej o pięć lat Peter był wyjątkowo przystojnym ciemnowłosym mężczyzną o jasnym spojrzeniu typowego Irlandczyka i pogodnej twarzy, na której często gościł uśmiech. Amber zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia. Była wtedy z kimś innym, ale po pierwszym spotkaniu w kregielni myślała wyłącznie o tym, czy Peter do niej zadzwoni.

Zadzwonił, i zaczęli się spotykać. On też miał kogoś, ale Amber oświadczyła, że nie pójdzie z nim do łóżka, dopóki nie będzie miała pewności, iż jest jedyną kobietą w jego życiu. Mimo braku doświadczenia wiedziała, że w przeciwnym razie na zawsze pozostanie tą drugą.

Szkoda, że nie okazała podobnej stanowczości, gdy Peter zaproponował, aby zamieszkali razem. Był czarujący i uprzedzał każde jej życzenie, ale z dwoma wyjątkami – nie chciał się wiązać na stałe i nie zgadzał się na dzieci. Bardzo ją kochał, nie mógł bez niej żyć, ale co do dzieci, to musi się jeszcze zastanowić. Zastanawiał się przez kilka lat.

Pewnie wciąż nie wierzy, że Amber bardzo go kochała, ale marzyła o dzieciach, a równocześnie nie chciała stawiać go przed faktem dokonanym, bo uważała, że dzieci muszą być kochane i oczekiwane przez oboje rodziców. Marzyła o prawdziwym rodzinnym domu z dużym ogrodem, w którym dzieci mogłyby się bawić. Chyba nie pragnęła zbyt wiele? Przyjaciółki po cichu jej zazdrościły. Częstych podróży, świetnego wykształcenia, ojca na wysokim stanowisku w Białym Domu, tego, że ona i Peter bardzo dobrze zarabiali. Miała wszystko z wyjątkiem dzieci. I obrączki na palcu.

– Amber?

– Zamyśliłam się. Przepraszam, papo.

– Pytałem, czy myślisz, że Peter spróbuje cię odzyskać.

– Nie wiem, papo. Ale boję się, że na to już za późno.

Podszedł Zefferelli, przynosząc osobiście dwie porcje *tortellini*. W trakcie dalszej rozmowy powiedziała ojcu, że zrezygnowała z posady zastępcy redaktora naczelnego i na razie robi sobie urlop, a potem poszuka pracy w którejś z waszyngtońskich gazet.

– Bądź spokojna, córeczko, wszystko się ułoży – odparł Ted, zastanawiając się, jak to możliwe, by mężczyzna przy zdrowych zmysłach pozwolił odejść dziewczynie o tak czarującym uśmiechu. Dziewczynie z burzą ciemnozłotych włosów, zielonymi jak morze oczami i najzgrabniejszą figurą, jaką tylko można sobie wyobrazić.

Był oczywiście stronniczy, jak każdy ojciec. Gdyby mógł, doprowadziłby Petera Greenborougha do ołtarza, przykładając mu do głowy pistolet. Ale nie mógł robić niczego wbrew woli Amber. To w końcu jej życie.

– Aha, żebym nie zapomniał. Prezydent zaprosił nas na kolację.

– Bardzo się cieszę! – Była to nieprawda. Nie miała ochoty na kolację w Białym Domu w towarzystwie senatorów i polityków. Posadzą ją pewnie obok jakiegoś nieżonatego faceta i będzie się męczyła przez cały wieczór.

Będzie się męczyła tak czy tak, ale w obecnym stanie ducha wolałaby to robić w samotności. Najchętniej marząc o tym, by Peter przejrzał w końcu na oczy i się zjawił, aby ją zapewnić, iż do niczego bardziej nie tęskni jak do całej gromady dzieci.

Nagle tok jej myśli przerwał dziwny obraz. Zdała sobie sprawę, że zamiast Petera w jej wyobraźni ukazała się całkiem inna twarz. Wyraźnie widziała przed sobą przenikliwe, jasnoniebieskie oczy obcego mężczyzny. Mężczyzny z parkowej ławki, którego interesująca twarz w jakiś niewytłumaczony sposób wryła się jej w pamięć.

Może lepiej z dwojga złego fantazjować na temat obcego człowieka, którego nigdy więcej nie zobaczy, niż dręczyć się myślą o Peterze, uznała Amber, kończąc *tortellini*.

– Chciałabym wybrać się jutro na spacer po starym mieście w Alexandrii – zwróciła się do ojca. – Byłoby mi miło, gdybyś się przyłączył.

– Niestety, jestem jutro zajęty – odparł Ted przez ściśnięte gardło. – Mam być na nabożeństwie żałobnym.

– Za kogo?

– W intencji pewnej jednostki, która walczyła w Wietnamie.

– Wobec tego Alexandria może poczekać. Pójdę z tobą.

Ted poczuł ciarki na plecach.

– Nie musisz. To nie takie ważne – powiedział szybko.

– Jak to nieważne? Idę z tobą, i już.

– No dobrze – zgodził się niechętnie. – Zatrzymasz się u mnie?



Ted Larkspur miał dom w Alexandrii, ale oprócz tego wynajmował niewielki apartament koło Kapitolu. Amber już miała powiedzieć, że woli pobyć sama, ale widząc w oczach ojca radosne oczekiwanie, odparła:

– Zostawiłam rzeczy w Alexandrii, ale przywiozę je i zanocuję w Waszyngtonie.

Zobaczyła radość na twarzy ojca i pomyślała, że zrobiłaby wszystko, byle tylko był szczęśliwy.

Kolacja w Białym Domu przebiegała zgodnie z przewidywaniami. Amber siedziała przy stole między arabskim magnatem naftowym a francuskim dyplomatą. Znała dobrze francuski, ale nie znała słowa po arabsku, nie miało to jednak znaczenia, ponieważ obaj panowie biegle władali angielskim.

W pewnym momencie popatrzyła na siedzącego u szczytu stołu prezydenta, a on podchwycił jej spojrzenie i porozumiewawczo mrugnął okiem.

Przy stole poruszano różne tematy, z wyjątkiem polityki. Z arabskim magnatem Amber rozmawiała o teatrze, a z francuskim dyplomatą o nowych kierunkach w modzie. Potem w salonie ojciec szepnął jej żartem do ucha, że zrobiła na obu panach wielkie wrażenie i może się spodziewać rychłych oświadczeń. Arabski dżentelmen ma już wprawdzie dwie żony, ale prawo zezwala mu na posiadanie czterech, więc w jego namiocie znajdzie się miejsce i dla niej.

Wieczór zakończył się tańcami w ogrodzie. Wśród obecnych było sporo przyjaciół ojca, a także kilka jej przyjaciółek. W sumie spotkanie okazało się nadspodziewanie przyjemne.

– Amber, gdzie się podziewa twój Teksańczyk? – zapytała Myra, jedna z jej najbliższych przyjaciółek.

– No właśnie, dlaczego nie ma zabójczo przystojnego Petera? – dodała Josie.

– Rozstaliśmy się.

– No proszę, a więc jesteś wolną kobietą – rzekła Josie.

– Skoro tak, to nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś pojechała razem z nami – dorzuciła Myra.

– Dokąd?

– Jedziemy na Florydę, do Palm Beach. Co ty na to?

– No nie wiem... – A co będzie, jeśli Peter przyjedzie za nią do Waszyngtonu? Czy potrafi mu się oprzeć? Wyjazd na Florydę mógłby być dobrym rozwiązaniem. – Muszę się zastanowić.

– Zadzwoń do ciebie jutro i powiem, co dokładnie planujemy – zaproponowała Josie.

– Doskonale – odparła Amber. – Będę czekać na telefon.

*Pod pomnikiem Ofiar Wietnamu w Waszyngtonie 16 maja*

Był ciepły słoneczny dzień. Pod pomnikiem zgromadziło się liczne grono osób. Sierżant Culpepper ze swadą i uczuciem wspominał żołnierzy z dywizji Zielonych Beretów, spośród których tylko jedna trzecia wróciła do kraju. Wielu uczestników uroczystości miało łzy w oczach. Amber była do głębi przejęta losem żołnierzy, którzy uczestniczyli w tej prawie zapomnianej wojnie.

Obecność prezydenta ściągnęła tłum dziennikarzy i liczne ekipy telewizyjne. A także ochroniarzy. Amber stała obok ojca w prezydenckiej grupie, otoczona ciasnym kręgiem ubranych w granatowe garnitury agentów.

Kiedy kapelan zaczął odmawiać modlitwę, Amber złożyła ręce i spuściła oczy, lecz po chwili podniosła wzrok na kapelana i otaczających go na podium ludzi.

Mało brakowało, a krzyknęłaby głośno. To on, człowiek z parkowej ławki. Stał prawie na wprost niej i patrzył na nią. Nie odwrócił oczu, nawet kiedy ich spojrzenia się spotkały. Co on sobie myśli? Kim jest?

Postanowiła chwycić byka za rogi i po skończonej ceremonii po prostu do niego podejść. Jest pewnie kombatantem, żołnierzem jednostki. Co prawda nie był w mundurze, tylko w cywilnym ubraniu – sportowych spodniach i białej koszuli. I miał opaloną skórę, ale nie jak ktoś, kto długo opalał się na leżaku, lecz jak człowiek stale przebywający na słońcu. Co za fascynująca, ogorzała od wiatru twarz. Twarz człowieka z charakterem. W sumie, mimo że nie wyróżniał się urodą, miał w sobie coś nieodparcie pociągającego. Amber nie była w stanie oderwać od niego oczu.

Była tak zamyślona, że dopiero gdy powiał silniejszy wiatr i musiała odgarnąć sobie włosy z twarzy, dotarło do niej, iż uroczystość dobiegła końca. Postanowiła podejść do mężczyzny, przedstawić się i zapytać, kim jest. Już miała to zrobić, kiedy ojciec przytrzymał ją za łokieć i powiedział coś, czego nie usłyszała, ale mężczyzna z parkowej ławki zdążył w tym czasie zniknąć.

Po odjeździe prezydenta tłum znacznie się przerzedził. Amber zaczęła rozglądać się za ojcem. Na pewno nie odjechał z prezydencką ekipą. Nie zrobiłby tego bez pożegnania. Wreszcie go dostrzegła – stał daleko od niej zajęty rozmową z jakimś mężczyzną. Na twarzy ojca malowało się nerwowe napięcie. Ojciec rozmawia z mężczyzną z ławki!

Podchodząc do córki, Ted Larkspur rozchmurzył się, lecz widać było, że myślami jest gdzie indziej.

– Co byś powiedziała na kolejny lunch ze starym ojcem? Mam wolne dwie godziny.

– Bardzo chętnie – odparła. – Powiedz, kto to był?

– Kto? – Wyczuła w głosie ojca nieszczerą nutę.

– Mężczyzna, z którym rozmawiałaś. Blondyn o intrygująco jasnych oczach.

Ted z udaną bezradnością pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia. Rozmawiałem z tyloma ludźmi.

Amber trochę się zdziwiła, ale ponieważ ojciec wydawał się bardzo znużony, postanowiła go nie naciskać.

– Jedźmy do twojego mieszkania. Sama zrobię ci lunch.

– Nie, nie. Ja zapraszam.

– Nie ma mowy. – Amber stanowczym ruchem wzięła ojca za rękę. Nie musieli dzisiaj zatrzymywać taksówki, przy krawężniku czekał służbowy samochód.

Amber usmażyła omlety. Ojciec rozpływał się nad ich smakiem, niemniej zjadł niewiele, po czym wstał i ucałował ją na pożegnanie.

– Muszę lecieć. – Zawahał się. – Wszystko w porządku?

– Oczywiście – odparła z uśmiechem. – A jak ty się czujesz?

– Znakomicie. – Przed wyjściem jeszcze raz ją ucałował.

Amber została sama. Pomyślała, że powinna się zdrzemnąć, ponieważ ostatniej nocy źle spała. Ale zamiast zasnąć, zapadła tylko w półsen, podczas którego marzyły jej się dawne dobre czasy, kiedy Peter wracał do domu z butelką jej ulubionego wina, a potem razem uczyli się przyrządzać jagnięcinę.

Zarazem jednak w owych półsennych marzeniach jawiła się raz po raz twarz tajemniczego mężczyzny z parku.

Obudzwszy się z niespokojnej drzemki, podeszła do telefonu i zadzwoniła do Josie. Uznała, że pobyt na Florydzie na pewno dobrze jej zrobi.

RS

## ROZDZIAŁ DRUGI

*Posiadłość prezydenta w północnej Wirginii 16 maja*

O 18. 30 na rozległym trawniku wiejskiej posiadłości w północnej Wirginii osiadł helikopter.

Prezydent czekał na wylądowanie śmigłowca, którym miał przylecieć Adam Tchartoff. Ted Larkspur uśmiechał się pod nosem, patrząc, jak prezydent nie spuszcza oczu z nowo przybyłego, gdy ten ze schyloną głową wybiegł spod wirujących śmigieł helikoptera.

Jak na komandosa, nie był szczególnie wysoki. Miał nie więcej niż metr osiemdziesiąt wzrostu.

Ale jego ruchy były pewne i szybkie. Twarz, twarz mówi wszystko, myślał prezydent. Słowa to tylko atrament i papier. Twarz jest prawdziwą miarą człowieka.

A ta budziła zaufanie. Była inteligentna, zahartowana przez życie. Miała w sobie sympatyczną surowość. Mężczyzna nie był wzorem męskiej urody. Miał bystre, chłodno patrzące, jasnoniebieskie oczy. Tak, to twarz zdecydowanie interesująca, wręcz frapująca. Usta trochę zacięte, w innych okolicznościach mogłyby znamionować wrażliwość. Skóra ogorzała nie od uprawiania sportu, ale od stałego kontaktu z wiatrem i słońcem.

Tchartoff miał na sobie granatową sportową koszulę i nie najnowsze dżinsy. Nie wiedział przecież, dokąd go wiozą i kogo ma spotkać, niemniej prezydent odniósł wrażenie, że gdyby był uprzedzony, przyjechałby równie niedbale ubrany. Na pewno nie przywiązywał wagi do pozorów.

– Witam – powiedział Ted Larkspur, występując naprzód.

– Cześć, Ted. – Tchartoff skinął głową, spoglądając pytająco na stojącego z boku, trzeciego mężczyznę.

– Panie prezydencie, to jest pan Tchartoff. Pan Tchartoff wie, że nasze spotkanie ma pozostać tajemnicą.

– Witam pana! – powitał nowo przybyłego prezydent.

Adam Tchartoff uścisnął jego rękę. Skłonił się przy tym uprzejmie, ale obecność prezydenta nie zrobiła na nim widocznego wrażenia. Równie obojętnie przyjął odprawienie ochroniarza po tym, jak przyniesiono drinki, a on, Ted i prezydent usiedli przy ogrodowym stole.

– Chciałbym przedstawić panu pewną propozycję – odezwał się prezydent.

– Tak przypuszczałem – odparł Adam Tchartoff. – Poproszono mnie, żebym przyjechał tu jako Michael Adams, mogłem się więc domyślić, że jestem panom do czegoś potrzebny. – Powiedział to z lekkim uśmiechem, patrząc prezydentowi prosto w oczy. Siedział w swobodnej pozie, z rękami złożonymi na oparciach fotela.

– Istotnie, wniosek sam się nasuwał. Jak pańska szkocka? – zagadnął prezydent.

– W sam raz, dziękuję – odparł Tchartoff, zapalając papierosa. – Nie chciałabym być nieuprzejmy, ale skoro zadaliście sobie panowie tyle trudu, żeby mnie tu sprowadzić, sądzę, że najlepiej będzie, jeśli przejdziemy od razu do rzeczy. O co chodzi?

Prezydent zerknął na Teda, który nie zdradzał chęci zabrania głosu. Zaczynał czuć się nieswojo. Wstał i zrobił parę kroków ze szklanką whisky w rękę.

– Palenie jest niezdrowe – zauważył.



– Podobnie jak granaty. – Tchartoff się roześmiał, nieznacznie wzruszając ramionami. – Miałem z nimi do czynienia i przeżyłem, to i papierosy mi nie zaszkodzą.

– Słyszał pan na pewno o ostatnich porwaniach amerykańskich wojskowych, dyplomatów, a nawet biznesmenów.

Oczy Tchartoffa stały się czujne.

– Mówi pan o niedawnej fali zamachów terrorystycznych wymierzonych w Stany? Wszyscy o tym wiedzą. Prasa i telewizja o niczym innym nie mówią. Każde takie wydarzenie jest dokładnie relacjonowane. Porwania, napady, wybuchy, podkładanie bomb. Oczywiście, że wiem, co się dzieje. A ponadto obaj wiemy, że za tym wszystkim stoją ludzie, z którymi mam aktualnie do czynienia. – Tchartoff zaciągnął się papierosem, ale nadal patrzył prezydentowi w oczy.

– Mają w swoich rękach pewne ważne osobistości – wtrącił spokojnie Ted Larkspur.

Tchartoff skinął głową.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, mieliście panowie poufne informacje, że porywacze noszą się z zamiarem podjęcia negocjacji. Ja natomiast wiem, że planują najpierw kolejny zamach.

– Owszem, doniesiono nam o tym – przytaknął prezydent. – I zamierzamy odpowiedzieć atakiem na atak.

Tchartoff opadł z uśmiechem na oparcie fotela i z wolna wydmuchał dym. Potem rozejrzał się po trawniku, zanim znów skierował oczy na prezydenta.

– I tu otwiera się pole dla mnie, czy tak? Nie możecie sobie pozwolić na zamachy bombowe i otwartą wojnę, takie rzeczy są oczywiście wykluczone. Z drugiej strony, nie chcecie czekać beczynn timer. Dobrze zgaduję?

Nie możecie poświęcić zakładników, ale równocześnie nie chcecie, aby mówiono, że negocjujecie z porywaczami. Na tym polega dylemat?

Prezydent nie był pewien, czy Tchartoff kpi z niego, czy mówi serio.

– Pan zdaje się zapomina, że każde ludzkie życie jest święte – powiedział w końcu.

Przybysz nawet nie mrugnął.

– Zapewniam pana, że ani na chwilę o tym nie zapominam. A teraz proszę mi powiedzieć, w jakim celu zostałem tutaj wezwany.

– Porwano ośmiu naszych ludzi. Zdolnych, wybitnych ludzi. Jest wśród nich czterech doradców wojskowych, dwóch dyplomatów i dwóch bankowców. Po co im, u diabła, bankowcy! – dodał prezydent, kręcąc ze zdziwieniem głową. – Każdy z tych ludzi ma rodzinę. Ich dzieci, rodzice, bracia, siostry nieustannie dopytują się o los swoich bliskich. A my odpowiadamy, że robimy wszystko, co możliwe. – Zaśmiał się z goryczą. – Stacje radiowe odbierają telefony, w których słuchacze domagają się, aby Stany Zjednoczone zareagowały stanowczo, najlepiej zrównując z ziemią cały Bliski Wschód. Inni natomiast zasypują nas listami, w których nazywają mnie podżegaczem wojennym zasługującym na rozstrzelanie. Ale ja nie chcę wojny. Nie chcę rozlewu krwi i niewinnych ofiar. Chcę dobrać się łajdakom do skóry, przenikając w głąb ich organizacji.

– Trudna sprawa – mruknął Tchartoff. Pochylił się nad stołem, gasząc papierosa, po czym znów się wyprostował.

Prezydent trzasnął pięścią w stół, aż podskoczyły szklanki.

– Nie dam się terroryzować tym krwawym bandytom!

Tchartoff uniósł lekko brwi, ale milczał. Popatrzył tylko spod oka na Teda Larkspura, który jednak wyraźnie nie zamierzał się wtrącać.

– Panie Tchartoff, wiemy, gdzie są przetrzymywani nasi ludzie. Wiemy też, w czyich są rękach.

– To nie posuwa was naprzód – zauważył Tchartoff.

– Są na jednej z wysp Morza Karaibskiego – ciągnął prezydent. – Szwadron Śmierci zbudował tam cały zespół budynków i bunkrów.

– Czyżby zamierzał pan wydać rozkaz wysadzenia wyspy w powietrze? – zapytał Adam Tchartoff, sącząc whisky.

– Dobrze pan wie, że tego nie zrobię. Nie będę mordował własnych obywateli. A jeżeli operacja nie zostanie wykonana w sposób perfekcyjny, oskarżą nas o kolejny akt agresji.

– No tak – skomentował Tchartoff, zapalając następnego papierosa. – Wiecie, kim są przeciwnicy i gdzie ich szukać. Co konkretnie zamierzacie z tą wiedzą zrobić?

– Nie mamy czasu czekać, aż nasi ludzie zdołają spenetrować ich siatkę. Ale pan już w niej jest.

Tchartoff zamilkł na długą chwilę.

– Oczekuje pan, żebym dla ratowania pańskich ludzi poświęcił stosunki, jakie zdołałem z nimi nawiązać? I stanął w pojedynkę przeciwko nie wiadomo ilu przeciwnikom?

– Według naszych informacji jest ich na wyspie dwunastu.

– Pańska wiara we mnie jest doprawdy zdumiewająca!

– Tak, ale nie bezpodstawna. Przyjrzałem się panu.

– Czego konkretnie oczekujecie?

– To chyba rozumie się samo przez się. Uwolnienia naszych ludzi, a następnie zniszczenia bazy terrorystów.

Tchartoff gwizdnął pod nosem.

– Niby dlaczego miałbym dla pana narażać życie? – zapytał. – Przecież to czyste samobójstwo. Nie jestem Amerykaninem, jestem obywatelem Izraela.

– Wiem. Jeśli zostanie pan schwytyany i pańska tożsamość wyjdzie na jaw, oni też się dowiedzą, że mieli do czynienia z Izraelczykiem. Tchartoff zaczął się śmiać.

– Teraz rozumiem. Jeżeli sknocę robotę, Stany Zjednoczone nie będą miały z całą sprawą nic wspólnego.

– Właśnie.

– A jeżeli zakładnicy nie wyjdą z tego żywi, będzie pan mógł z czystym sumieniem złożyć ich rodzinom kondolencje.

– Tak jest. Ale armia Stanów Zjednoczonych udzieli panu wszelkiej pomocy.

– To szaleństwo – mruknął Tchartoff, kręcąc z niedowierzaniem głową. – Ale nie otrzymałem jeszcze odpowiedzi na podstawowe pytanie. A mianowicie, dlaczego miałbym się tego podjąć?

– Był pan kiedyś Amerykaninem. Nasz kraj udzielił panu i jego rodzinie gościny w momencie, kiedy nie mieliście się gdzie podziać.

– Ten dług został już spłacony, sir. Spłacałem go przez trzy lata, przedzierając się przez zaminowane pola ryżowe.

– Ale to Stany Zjednoczone zrobiły z pana żołnierza.

– I nauczyły zabijać. Proszę o tym pamiętać. Nauczyłem się nawet nie dbać o własną skórę.

– Sądzę, synu, że tego akurat nie nauczyłeś się od nas.

Ted Larkspur uważnie obserwował prezydenta, który do tej pory nie wyciągnął swego asa atutowego.

Prezydent wstał i podszedł do Tchartoffa.

– Porywacze, którzy trzymają naszych ludzi na wyspie, są pańskimi, hm... sprzymierzeńcami. To członkowie Szwadronu Śmierci.

– To już zostało ustalone.

– Którzy wysadzili w powietrze nie wiadomo ilu Izraelczyków, w tym pańską żonę i córkę. –W tym momencie twarz Tchartoffa poszarzała. – Mamy na to niepodważalny dowód, panie Tchartoff. Chętnie go panu udostępniemy. I mogę sobie wyobrazić pańskie uczucia, bo po tym, co się ostatnio stało, ja też odczuwam nieodpartą chęć dokonania zemsty. Prawdę mówiąc, nie odstępuję mnie ona ani na chwilę. Podobnie chyba jest z panem. Słowem, daję panu być może niepowtarzalną okazję spłacenia rachunku krwi.

– Macie dowód?

– Tak.

– Chcę się z nim zapoznać.

– Oczywiście.

Adam Tchartoff wstał i trzymając od niechcienia ręce w kieszeniach spodni, zaczął się przechadzać po trawniku. Po chwili zbliżył się do prezydenta.

– Możecie mi przedstawić swój plan?

## ROZDZIAŁ TRZECI

*Nowy Jork*

*20 maja, godz. 23. 30*

Adam kroczył nowojorską ulicą, spoglądając z uśmiechem na jarzące się ze wszystkich stron krzykliwe, na swój sposób piękne w swej jaskrawości neonowe reklamy. Mimo późnej pory panienki lekkich obyczajów nadal urzędowały. U wyjść z teatrów swe czary oferowały eleganckie prostytutki w olśniewających futrach i srebrzystych perukach.

Nowy Jork, Nowy Jork.

Nie ma takiego drugiego miasta na świecie.

Adam nie podzielał zdania tych, którzy uważają, że wszystkie wielkie metropolie są do siebie podobne. Podobieństwa oczywiście istnieją. Wszędzie spotyka się podobnie różnorodną mieszaninę ludzkich typów, języków, podobny pośpiech i gorączkową nerwowość. Jednakże każde wielkie miasto ma swój niepowtarzalny, jemu tylko właściwy charakter, jedyną w swoim rodzaju atmosferę.

Jakaś prostytutka zawołała do niego, uśmiechając się zachęcająco. Kiedy jednak odwrócił się w jej stronę i kobieta spojrzała mu w oczy, jej uśmiech zgasł w jednej chwili.

Adam podniósł kołnierz. Mimo że była już wiosna, pod wieczór robiło się chłodno. Mijając kościół, o mało się nie potknął o rozwalonego na schodach menela.

- Masz pan ćwierćdolarówkę? – zaskamlał leżący.
- Dziesiątka nie wystarczy? – zaśmiał się sucho Adam.
- Inflacja, panie, inflacja.

Adam wyciągnął z kieszeni dolara. A niech mu tam, ma w końcu, po raz pierwszy w życiu, nieograniczone konto w banku.

– Wielkie dzięki! – zawołał uradowany włóczęga.

– Nie ma za co.

Skręcił w aleję. Panował tu mniejszy ruch, mniej było ludzi i samochodów, ulice wyglądały bardziej szacownie. Większość wystaw sklepowych była okratowana.

W pewnej chwili mimowolnie zwolnił kroku. Zdał sobie sprawę, iż wpatruje się poprzez kraty w długie do ziemi popielate futro z nerek tak cudownej miękkości, że przypominało spływający z wystawy srebrny strumień.

Sonia byłaby nim zachwycona, przemknęło mu przez głowę, ale natychmiast skarcił się za to. Powinien przestać o niej myśleć tak, jakby w każdej chwili mogła tu przyjechać i zachwycić się futrem.

Niemniej lekki uśmiech nadal nie zniknął z jego ust. To chyba dobrze, że potrafi myśleć o niej z uśmiechem. O Soni, która z tą samą naturalnością umiała nosić mundur khaki, wiązać włosy w węzeł i biec niefrasobliwie na pierwszą linię frontu, a równocześnie wzdychać z zachwytu na widok wspaniałego futra, tańczyć z wdziękiem księżniczki w jedwabnej sukni i mrużyć jak kotka, kiedy byli w łóżku.

Czas przeszły. To wszystko było i nie wróci.

Dziwne, że nadal musi sobie o tym przypominać. Chyba dlatego, że nie był bezpośrednim świadkiem jej śmierci. Widywał w życiu ludzi umierających na wszelkie możliwe sposoby – od strzału, noża, ognia, wybuchu. I sam zadawał ludziom śmierć na wiele różnych sposobów – jeśli od tego zależało jego własne przetrwanie.



Ale gdy pokazano mu zwęglone szczątki żony i córeczki, nie był w stanie przyjąć do wiadomości faktu ich śmierci. Jego umysł uparcie mówił – nie. To nie były one – to nie była Sonia, to nie była Reba.

Gdyby Sonia zginęła w walce, z bronią w ręku, być może zdołałby się z tym pogodzić. Ponieważ po dziś dzień, po wszystkim, co w życiu przeżył, nadal wierzył, że istnieją rzeczy dopuszczalne i rzeczy niedopuszczalne. Istnieją pola bitew i istnieją miejsca przeznaczone do życia. Miejsca, w których ludzie robią zakupy, piszą i wysyłają listy. Chodzą na długie spacery i bawią się w parkach.

Dzieci, niemowlęta... one powinny być poza...

Wstrząsnął się, czując zimny pot na plecach. Zerknął na zegarek i przyspieszył kroku. Szedł na spotkanie, a był już spóźniony. Jednakże natrętne wspomnienia nie ustępowały. Były tak silne, że znowu przystanął przed wystawą, na której ubrany w dżinsy i bawełnianą koszulkę manekin stał w wyzywającej pozie, z rękami w kieszeniach i przekornym uśmiechem na ładnej twarzy.

Był bardzo podobny do Soni. Kobieta manekin miała nawet podobnie rozwiane ciemne włosy. Kiedy ujrzał ją po raz pierwszy, Sonia miała na sobie takie same dżinsy. Usiłowała zmienić koło w starym volkswagenie. Początkowo nie chciała skorzystać z jego pomocy. W następnej chwili koło wyleciało jej z rąk, a ona sama wylądowała siedzeniem w błocie. Oświadczyła wtedy ze śmiechem:

– Dałabym sobie radę sama, ale skoro już jesteś, to chętnie skorzystam z pomocy!

Noc spędzili razem, chociaż Sonia nigdy przedtem nie była z mężczyzną. Nie ze względu na jakieś opory moralne, ale po prostu zawsze robiła to, na co miała ochotę. A tamtego dnia po raz pierwszy zapragnęła

być z mężczyzną. Właśnie z nim. Do dziś pamiętał, co czuł tamtej nocy. Delikatną miękkość jej skóry. Była młoda, wysportowana, miała niezwykle piękne ciało. W oszołomieniu dotykał jej pełnych piersi. Nigdy wcześniej z żadną kobietą nie zaznał tak głębokiego zaspokożenia jak z nią, lecz najbardziej wryło mu się w pamięć i do dziś nawiedzało jego myśli to, co nastąpiło potem.

Zapytała go, dlaczego jest Amerykaninem, skoro jego matka mieszka w Izraelu. Gdy powiedział, że równie dobrze mógł zostać Rosjaninem albo Polakiem, uznała to za żart. On roześmiał się i zaczął szeptać rosyjskie sprośności. W końcu śmieli się oboje i znowu się kochali, a potem Sonia zarzuciła go pytaniami na temat jego służby w wojsku i walki w dżungli. Wtedy dowiedział się, że Sonia właśnie jest w wojsku. Mówiła o tym jak o czymś najzwyklejszym w świecie.

– Takie już jest nasze życie – powiedziała. – Urodziłam się niedługo po wojnie. Wiedzieliśmy od dziecka, że zawsze będziemy musieli walczyć o nasz kraj i przetrwanie.

Była zdumiona jego znajomością języków, uważała, że to wielki dar.

– Ty jesteś dla mnie największym darem – odparł Adam, a ona roześmiała się i powiedziała, iż wie, co mówił po rosyjsku, ale chce, aby czułości mówił po włosku albo francusku, bo to są języki stworzone dla kochanków.

W ciągu następnych tygodni nauczył się patrzeć na Izrael jej oczami. Któregoś dnia dowódca Soni wciągnął go w rozmowę na temat różnych gatunków amunicji i materiałów wybuchowych. Zauważył przy tym, że Sonia wymienia ze swoim dowódcą porozumiewawcze spojrzenia. Tej nocy, głaszcząc w łóżku jej potargane włosy, zapytał Sonię, czy uwodzi go dla siebie, czy dla izraelskiej armii.

– I dla siebie, i dla armii – odparła z rozbrajającą szczerością. – Jesteś nam potrzebny. Masz naturę wojownika. I jesteś jednym z nas. Masz to we krwi, choćbyś nie wiem jak się tego wypierał. Jesteś nam potrzebny.

– Jakim „nam”? – zapytał z urazą.

– Ja ciebie potrzebuję.

Miała rację. Był potrzebny Soni i był potrzebny Izraelowi. Stany Zjednoczone wydawały się bezpieczne.

Wzięli ślub, i Adam przyjął izraelskie obywatelstwo. Wszedł w skład specjalnej grupy bojowej i znowu poszedł walczyć.

Pięć lat czekali na dziecko. Narodziny Reby uszczęśliwiły Sonię, ale nadal nie chciała rzucić pracy. Pewnego wieczoru, kiedy leżeli we troje w łóżku, Sonia ucałowała z czułością drobną rączkę małej i powiedziała:

– Czy to nie cud, że stworzyliśmy coś tak pięknego? Kocham ją tak bardzo, że aż się tego boję. – Zadrżała na całym ciele, jakby miała złe przeczucia. – Musisz mi przyrzec, że gdyby coś mi się stało, nigdy nie przestaniesz jej kochać. Że będziesz jej strzegł.

Adam roześmiał się niefrasobliwie. Sonia pracowała już wtedy w biurze.

– Nic ci nie grozi. Dożyjemy razem późnej starości, doprowadzając naszą córkę do szaleństwa, bo pewnie do trzydziestki nie pozwolimy jej się spotykać z żadnym chłopakiem.

– Przyrzeknij. Mówię poważnie – powtórzyła.

Widząc, jak bardzo jest przejęta, wziął ją w ramiona i przytulił, obiecując, że będzie się nimi zawsze opiekował i gotów jest oddać za nie życie.

Nie było mu dane dotrzymać obietnicy.

Na chodniku pojawił się przechodzień, który obszedł go szerokim łukiem. Adam zdał sobie nagle sprawę, że stoi z zaciśniętymi pięściami, wpatrując się w manekina w dżinsach. Ruszył w dalszą drogę. Był już bardzo spóźniony.

Teraz naprawdę wyciągał nogi, a już po paru minutach wbiegł na schody eleganckiej restauracji. Toni już była, tak jak prosił – sama. Miał uchodzić za turystę, a turyści zazwyczaj spotykają się z krewnymi. Chodzą do restauracji, dobrze się bawią.

Tyle że tym razem rachunek pokryje Wuj Sam.

– Adam!

Rozpromieniona kuzynka rzuciła mu się na szyję, zanim zdążył dojść do stolika. Uściskawszy ją czule, odsunął się, by na nią popatrzeć. Była jak zwykle trochę za szczupła, lecz poza tym wyglądała ładnie i zdrowo. Miała zaróżowione policzki, błyszczące wesołością oczy i krótko ostrzyżone, modnie nastroszone włosy. W najprawdziwszym nowojorskim stylu, pomyślał Adam, uśmiechając się pod nosem.

Już wcześniej zamówiła mu szkocką bez wody i bez lodu.

– Adam! – zawołała jeszcze raz, siadając naprzeciw niego. Czuł na sobie jej uważne spojrzenie. Nie skomentowała jego wyglądu. Dostrzegł w jej oczach podobne zdziwienie, jak parę minut temu w oczach zaczepiającej go prostytutki. Ale Toni nie przestała się uśmiechać. – Jak się miewasz? – zapytała.

– Dobrze – odparł, sięgając po szklanę. – A ty? – spytał po chwili. – Poszedłem na twoją sztukę. Byłaś wspaniała.

– Naprawdę ją widziałeś? Wytrzymałeś do końca?

– Do ostatniej kwestii.

– Dziękuję – rzekła czule. I zaraz spytała: – A co ty robisz w Nowym Jorku?

Adam zapalił papierosa.

– Nic specjalnego. Odwiedzam stare kąty – odparł wymijająco.

– Szkoda, że mnie nie uprzedziłeś. Mogliśmy zaplanować coś więcej niż drinka po kolacji. Jak długo zostajesz?

– Jutro rano odlatuję. Dostałem tani bilet na charterowy lot do Paryża. Chcę się trochę pokręcić. Może pojedę do Grecji. – Toni nie powinna wiedzieć, że wkrótce będzie z powrotem w Stanach. Kuzynka nie ma pojęcia o istnieniu Michaela Adamsa i tak powinno zostać.

Toni westchnęła, jakby odczuła ulgę.

– To dobrze. Cieszę się, że znowu zaczniesz coś robić. Aktywność to najlepsze lekarstwo. Na pewno wszystko jest w porządku?

– Na pewno – odparł z mało przekonującym uśmiechem.

– Pogodziłeś się z... no wiesz?

– Daj spokój, Toni, chyba wiesz, że są rzeczy, z którymi człowiek nigdy się nie pogodzi. Ale nie wariuję i potrafię normalnie funkcjonować. Nie widać tego po mnie?

– Chyba tak. – Roześmiała się, a po chwili znów westchnęła. – Dla wszystkich byłoby lepiej, gdyby twoja mama została w Stanach. Wtedy nie musiałbyś jechać do Izraela. Wiesz, jak lubiłam Sonię, ale byłoby lepiej, gdybyście w ogóle się nie spotkali.

Spuścił oczy, wpatrując się uparcie w szklanekę. Toni wkroczyła na niebezpieczny teren, którego on sam wołał nie badać.

– Nie mówmy o tym – odezwał się ostrzegawczym tonem.

– Najmocniej przepraszam. Tworzyliście taką wspaniałą parę, ona drobna czarująca brunetka, a ty jasnowłosa, opalony, silny. Ale myślę, że

wiem, na czym, przynajmniej częściowo, polega twój problem. Szukasz kobiety takiej jak...

– Toni! – upomniał ją ostro i spojrzał przy tym tak surowo, że nawet nieustraszona kuzynka na moment struchlała.

Szybko jednak odzyskała rezon.

– Jeszcze raz przepraszam. Co ze mną zrobisz? Zostanę rozstrzelana?

– Toni...

– Och wiem. Naprawdę przepraszam! – Tym razem powiedziała to ze szczerym żalem. Adam zacisnął zęby. Może wreszcie uda się zmienić temat.

– Nie gniewasz się?

– Na ciebie nie umiem się gniewać.

– Powiem jeszcze tylko jedno, a potem obiecuję trzymać buzię na kłódkę. Ale muszę ci powiedzieć, że jeśli szukasz nowej heroiny, to będziesz długo szukać, bo bohaterских kobiet nie sprzedają na pęczki.

– Dosyć tego, Toni, bardzo cię proszę – rzekł cicho, ale zdał sobie zarazem sprawę, że podczas ostatnich słów Toni z jego pamięci wyłoniła się twarz zupełnie innej kobiety. Twarz zielonookiej kobiety o bujnych blond włosach.

Tej, którą po raz pierwszy zobaczył w parku i która następnego dnia stała obok Teda Larkspura w czasie uroczystości pod pomnikiem Ofiar Wietnamu. Pamiętał, że napotkawszy wówczas jego spojrzenie, nie odwróciła oczu. Tym samym jawnie przyznając, że patrzy na niego nie przez przypadek. Była w jej spojrzeniu rzadko spotykana odwaga.

Pamiętał też dokładnie, jak była wówczas ubrana – z elegancką, wyszukaną prostotą prawdziwej damy. Damy z wysokich kręgów waszyngtońskiej socjety. Nie należała do tego typu kobiet, jakimi się ostatnio zadawał. Wygląd kobiet, z którymi szedł do łóżka, niemal przestał

mieć znaczenie. Bo wprawdzie przekonał się, że jego ciało ma swoje elementarne potrzeby i będzie je miało, dopóki tli się w nim życie, ale wiedział, iż jest emocjonalnym wrakiem, który nie ma kobiecie nic do dania. Niemniej zielonooka kobieta wzbudziła jego zainteresowanie. Była niewątpliwie bardzo piękna, ale oprócz urody miała w sobie jeszcze coś. Zdawała się być osobą pełną pasji, energii, życia.

Dobrze się stało, że wyjeżdża ze Stanów. Ta kobieta ma coś wspólnego z Larkspurem, do którego żywił szczerą sympatię. Powinien trzymać się z daleka od bliskich mu osób.

– Adam, obudź się! Nie słyszysz, co do ciebie mówię?

Ocknął się nagle.

– Ależ tak, słyszę. Mówiłaś, że bohaterskich kobiet nie sprzedają na...

A niech cię diabli!

– No to koniec ze mną – westchnęła Toni. – Nie mógłbyś zostać jeszcze parę dni? Tak bym chciała nagadać się z tobą za wszystkie czasy.

– Niestety, nie mogę. Mam już bilet w kieszeni.

– Nie możesz go zmienić?

– Nie – uciał stanowczo. Zaraz jednak dodał serdeczniejszym tonem: – Ale może ty odwiedzisz mnie kiedyś w przerwie między kolejnymi przedstawieniami?

– O nie! – dobitnie oświadczyła Toni. – Podróże do Izraela mam raz na zawsze z głowy. Nie pamiętasz mojej ostatniej wizyty? Zaczęło się od tego, że wylądowałam bez bagażu. Ukradzono mi wszystko, zostałam dosłownie bez niczego. Jakby tego było mało, w drodze powrotnej nie chcieli mnie wpuścić do samolotu i zostałam dokładnie zrewidowana. Byłam podejrzana, bo po trzymiesięcznym pobycie w Izraelu jechałam bez bagażu. Bardzo dziękuję, kocham cię jak brata, ale tamten raz mi wystarczy!



– Od lat nie porwano żadnego izraelskiego samolotu – przypomniał jej lekko zniecierpliwionym tonem. – Nasze linie należą dziś do najbezpieczniejszych w świecie.

Toni spuściła oczy.

– Jestem Amerykanką, Adamie. Tylko i wyłącznie Amerykanką. Nie chcę mieć nic wspólnego z wojną, pustynią, terroryzmem i czym tam jeszcze. Koniec i kropka.

Nie zamierzał jej teraz przekonywać, mieli za mało czasu. Wobec tego wrócił do sztuki, w której grała, a potem zaczęli poruszać ogólne tematy.

– Uważaj na siebie – poprosiła Toni, ściskając go na pożegnanie. – Daj sobie trochę swobody. Obiecujesz?

Usiłował uśmiechnąć się niefrasobliwie, ale nie bardzo mu to wyszło.

– Jasne. Przecież ci powiedziałem, że mam wakacje.

Uszczypnął ją starym zwyczajem w policzek, tak jak to robił w dzieciństwie, korzystając z prawa starszeństwa wobec uwielbiającej go małej kuzyneczki.

*Cannes 22 maja*

Umówienie się na spotkanie z przywódcą szóstej komórki Szwadronu Śmierci – albo organizacji

Wolność Świata, jak przedstawiali się prasie jej członkowie – nie sprawiło Adamowi trudności. Mieli porozmawiać w czasie lunchu w nadmorskiej restauracji ogródkowej Cafe Antoine, w której wielkie parasole w biało–czerwone pasy chroniły gości przed słońcem. Jedząc tu lunch albo popijając kawę, można było obserwować zarówno przechodniów, jak i opalające się na plaży mniej lub bardziej urodziwe, mniej lub bardziej obnażone ciała.

Adam natychmiast dostrzegł Alego Abdula. Wprawdzie w restauracji nie brakowało Arabów, lecz Abdul z daleka wyróżniał się wyglądem. Był to ponad sześćdziesięcioletni mężczyzna w białym burnusie, siedzący niemal bez ruchu, podczas gdy jego zapadnięte oczy lustrowały ulicę. Nie był sam. Towarzyszył mu młodszy, ubrany po europejsku mniej więcej czterdziestoletni brunet o czujnej, napiętej twarzy.

Adam domyślił się, że jest nim Khazar Abdul, syn Alego i jego następcą. W przeciwieństwie do ojca, który znany był z zimnej krwi i opanowania, Khazar uchodził za gorącą głowę. O ile Ali mordował dla sprawy, o tyle Khazarem powodowała żywiołowa nienawiść, która czyniła go osobnikiem w najwyższym stopniu nieprzewidywalnym.

Przystanąwszy u wejścia do restauracji, Adam rozejrzał się po twarzach gości. Abdulowie na pewno przyszedli z obstawą. Przy stolikach siedzieli turyści z różnych krajów: Francuzi, Włosi, Arabowie, Hiszpanie, Niemcy, Szwajcarzy, Anglicy i Amerykanie. Ale na pewno nie wszyscy są turystami. Abdulowie byli na to zbyt ostrożni.

Kiedy Adam ruszył w kierunku stolika Alego, na drodze stanął mu mężczyzna, który jednym szybkim ruchem wyjął mu z kieszeni pistolet, po czym łamaną francuszczyzną przeprosił za niezręczność.

— *De rien*. Nic nie szkodzi – spokojnie odparł Adam, podnosząc ręce na znak zgody.

Podchodząc do stolika, czuł narastające napięcie. Miał przed sobą ludzi odpowiedzialnych za śmierć jego żony i dziecka. Ręce same mu się zaciskały. Muisz się opanować, rzekł do siebie. Nie czas teraz na myślenie o tamtym.

Ali Abdul powitał Adama jak przyjaciela, całując go w oba policzki. Khazar zachował większą rezerwę, niemniej również wykonał przyjazne gesty, mimo że w oczach miał czujność.

Nie ufa mi, przemknęło Adamowi przez głowę. Ale to normalne, ludzie jego pokroju z zasady nikomu nie ufają.

— A więc tak wygląda Michael Adams – spokojnie zauważył Ali, kiedy zajęli miejsca. Miał obwisłą skórę i zapadnięte oczy. Widać zdrowie mu nie dopisuje.

— Tak, to ja.

— Podobno chcesz przyłączyć się do naszej grupy.

– Właśnie.

– Dlaczego? – zapytał Khazar.

Ojciec skarcił go wzrokiem, po czym zwrócił się z powrotem do Adama.

– Faktycznie interesują nas twoje motywy. Wielu naszych ludzi walczy z pobudek religijnych...

– Ale wcale nie wszyscy – wtrącił Adam.

– I jest wielu takich, którzy oczekują od nas pomocy w walce o wyzwolenie swoich krajów.

Adam wiedział, że co drugi latynoski rewolucjonista marzy o przyłączeniu się do Szwadronu Śmierci. Poprawił się na krześle, zawołał kelnera i zamówił espresso. Z wyjaśnieniami poczekał, aż kelner przyniesie mu kawę i się oddali.

– Pieniądze, moi panowie – oświadczył w końcu. – Jestem przekonany, że opinia o mnie jest wam znana, a i ja wiele o was słyszałem. Mam wprawdzie z wiadomym supermocarstwem swoje porachunki, ale tak

naprawdę nie chodzi mi ani o wolność, ani o religię. Dla mnie liczą się wyłącznie pieniądze i... – na chwilę zawiesił głos – ostra walka.

Czuł, że trafił Khazarowi do przekonania. Ten facet rozumie, co to jest potrzeba poczucia władzy. A ponadto samo zabijanie musi sprawiać mu przyjemność. Ali być może uważa, że prowadzi świętą wojnę, ale jego syn jest inny.

Adama przeszedł zimny dreszcz. Khazar jest groźny. Trzeba się przed nim mieć na baczności. Gdyby przed zakończeniem zadania Alemu zdarzyło się umrzeć, Adamowi i zakładnikom groziłoby śmiertelne niebezpieczeństwo.

– Co nam przynosisz? – spytał Ali, Adam z uśmiechem złożył ręce.

– Kontakty, panowie. Władze Stanów Zjednoczonych usiłują mnie rozgryźć. Wolałyby mieć mnie po swojej stronie. Próbują mnie skaptować. Mam dostęp do ludzi, do których najlepsi z was nie są w stanie dotrzeć.

– Skąd mamy wiedzieć, czy jesteś rzeczywiście po naszej stronie? – zaatakował Khazar.

– Chyba będziecie musieli poddać mnie próbie.

– Uhm – mruknął Ali, mierząc Adama badawczym wzrokiem. – Będziemy musieli wystawić cię na próbę.

Położył ręce na stole i nachyliwszy się ku niemu, zaczął spokojnie tłumaczyć, czego od Adama oczekuje, przez cały czas bacznie obserwując wyraz jego twarzy. Miał bystre, przenikliwe spojrzenie. Adam słuchał Alego w napięciu. Pogłoski o kolejnej akcji Szwadronu były prawdziwe. A teraz znał również miejsce planowanego zamachu i wiedział, kto ma zostać porwany.

– Twoja głowa w tym, żeby senator znalazł się w umówionym miejscu o umówionej porze – zakończył Ali.

– A potem... – Khazar zawiesił głos, świdrując Adama zimnym wzrokiem – popłyniesz z nami do bazy. Jeżeli akcja się uda, będziemy wiedzieli, że jesteś jednym z nas. W przeciwnym razie... – Khazar znowu zawiesił głos, a na jego twarz wypłynął okrutny uśmiech. – W przeciwnym razie osobiście się z tobą porachuję. A jestem mistrzem w zadawaniu śmierci.

Adam też się uśmiechnął. Khazar nie mógł wiedzieć, że on również zna się na zadawaniu śmierci. A więc sprawa rozstrzygnie się między nimi dwoma. Nie miał już wątpliwości, że to Khazar jest odpowiedzialny za śmierć jego żony i córki. Alemu ich śmierć nie byłaby do niczego potrzebna. Khazar natomiast lubił zabijać dla samego zabijania.

Dopiwszy espresso, Adam popatrzył na Khazara.

– Dowiodę swojej lojalności – powiedział, a zwracając się do Alego, spytał: – Kiedy mam wyjechać?

– Dziś wieczorem. Senator ma się znaleźć w bazie najpóźniej pierwszego lipca. Jeśli do czwartego lipca moi ludzie nie znajdą się na wolności, pierwszy Amerykanin zginie w Dniu Niepodległości.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

*Waszyngton 28 maja*

Dom Templetonów jarzył się od świateł. W ogrodzie płonęły dziesiątki chińskich lampionów, które odbijały się w wodzie rozległego basenu. Dom pełen był odświętnie ubranych gości. Na modnym przyjęciu, będącym gwoździem letniego sezonu, stawiała się cała waszyngtońska śmietanka. Prezydent nie mógł przybyć, toteż ochroniarzy nie było zbyt wielu, ale obecność licznych kongresmanów kazała przypuszczać, że wśród panów w smokingach nie brakuje agentów ochrony.

Amber przyszła tu niechętnie, głównie ze względu na ojca i przez sympatię do pani domu, Helen Templeton, która mimo swego bogactwa i popularności była niezwykle miłą osobą. Amber myślała już tylko o wakacjach, na które ona, Josie i Myra miały wyruszyć następnego dnia po południu.

Czas oczekiwania na wyjazd okazał się wcale nie tak trudny, jak mogła się spodziewać. Dziwiło ją nawet, że nie jest prawie wcale przygnębiona. Wiele czasu spędzała z ojcem. Poszła z przyjaciółmi na lunch. O Peterze prawie zapomniała.

W snach natomiast prześladował ją tajemniczy mężczyzna z parku, który znikł jej z oczu po uroczystości wietnamskiej. Zapewne nigdy go więcej nie zobaczy. Ale pojawiał się w jej snach. Za każdym razem patrzył na nią z daleka, a ona nie mogła odwrócić od niego oczu. Któregoś ranka zadała sobie zaraz po przebudzeniu pytanie, jak by to było, gdyby poszła z nim do łóżka, i wpadła w popłoch. Nie dość, iż wcale nie boleje nad rozpadem swego dotychczasowego związku, to na domiar złego snuje

marzenia o tajemniczym nieznanym, który znikł z jej życia równie nagle, jak się w nim pojawił. I myśli o nim nawet teraz, tańcząc z ojcem na tarasie rezydencji Templetonów.

– O, jest senator Daldrin – szepnął Ted Larkspur. – Przepraszam cię, córeczko, ale muszę zamienić z nim parę słów.

– Oczywiście, papo. Jestem już duża. Dam sobie radę.

Przeprosiwszy ją jeszcze raz, ojciec oddalił się, a Amber powędrowała do stołu z drinkami. Sięgnęła po szklaną czarę, zamierzając nalać sobie ponczu.

Nagle czyjaś męska ręka wyjęła jej naczynie z dłoni. Amber gwałtownie się odwróciła. Stał przed nią nieznanemu mężczyzna z parku i wietnamskiej uroczystości. Mężczyzna o bladoniebieskich oczach. Nie był zjawą, która rozplynęła się w powietrzu. Stał przed nią obok bufetu i najwyraźniej zamierzał napełnić ponczem jej szklanę.

Jego spojrzenie, takie samo, jakie widywała w swoich snach, podziało na Amber niczym niespodziewany cios.

– Pozwoli pani? – zapytał uprzejmie.

Miał przyjemny głos o miłym, głębokim brzmieniu. W smokingu, nieskazitelnie białej koszuli i białej kamizelce prezentował się niezwykle elegancko. Zdziwiło ją, że człowiek, o którego uroku decyduje w dużym stopniu pewna nonszalancja, tak naturalnie i swobodnie czuje się w wieczorowym stroju i wygląda w nim jeszcze bardziej po męsku.

– Bardzo proszę – odpowiedziała, oddając mu szklanę.

Gdy podawał jej napełnione do połowy naczynie, ich spojrzenia znowu się spotkały. Zdumiał ją ogień palący się w tych tak na pozór chłodnych oczach.



Sącząc poncz, zastanawiała się, czy poprosi ją do tańca. On tymczasem zachowywał się dziwnie. Obrzuciwszy Amber spojrzeniem, zrobił taki ruch, jakby zamierzał odejść. Chcąc go zatrzymać, szybko wyciągnęła rękę.

– Nazywam się Amber Larkspur. Jestem córką Teda. Wiem, że się znacie, widziałam, jak ze sobą rozmawialiście.

Mężczyzna zmarszczył brwi i zawahał się, zanim w końcu uścisnął jej dłoń.

– Tak, wiem. Widziałem was razem.

Amber nie mogła powstrzymać uśmiechu rozbawienia. Zdarzyło jej się spotykać ludzi skrytych, lubiących anonimowość, Waszyngton roił się od tego rodzaju typów, ale z czymś takim jeszcze się nie spotkała.

– Przepraszam, nie chciałabym być nieuprzejma, ale czy pan się jakoś nazywa?

Wreszcie się uśmiechnął! Spodobał jej się ten uśmiech. Był szczery, trochę smutny, i chyba niezamierzony.

– Michael Adams, do usług. Zatańczymy?

– Z przyjemnością.

Wziąwszy ją pod rękę, wyprowadził na taras. Orkiestra właśnie zaczynała grać dobrze znaną, romantyczną balladę. Kładąc mu rękę na ramieniu, Amber poczuła męski zapach zmieszany z lekką wonią wody po goleniu. Jedną ręką objął ją w pasie, blisko, ale nie za blisko, tak, że nie odczuła najmniejszego skrepowania, a drugą ujął jej dłoń i zaczął prowadzić z zadziwiającą lekkością. Ta nieoczekiwana umiejętność zdziwiła ją jeszcze bardziej niż swoboda, z jaką nosił wieczorowy strój.

Uniosła głowę, by spojrzeć mu w oczy, i ponownie uderzyła ją intensywność jego spojrzenia. Było jak ogień. Przyłapała się na tym, że znowu myśli o kochaniu się z nim, i poczuła, iż się czerwieni. Nie знаła go,

nic o nim nie wiedziała, ale w tej chwili, będąc w jego ramionach, czując na sobie jego spojrzenie i dotyk jego palców, była gotowa zapomnieć o wszystkim, co było i co będzie, byle ta chwila trwała wiecznie.

I chociaż wcale nie starał się przyciągnąć jej bliżej siebie, czuła szóstym zmysłem, że jego myśli biegną podobnym torem. Być może starał się zachować dystans, ale i on, wbrew sobie, był w transie – wyczytała to z jego oczu. Może w pierwszej chwili nie chciał jej zdradzić nawet swego nazwiska, ale w tej chwili była przekonana, że gdyby nie otoczenie, gospodarze przyjęcia i ich goście, gdyby nie smokingi i kosztowne toalety, gwar rozmów i światła lampionów – gdyby nie to wszystko, dałby do zrozumienia, iż czuje to samo co ona.

Amber ogarnął strach. Nie zdążyli ze sobą wymienić nawet dziesięciu słów, a tymczasem dzieje się między nimi coś tak zdrożnie intymnego! Powinna wyrwać się z jego ramion i uciekać jak najdalej. Jednakże ciekawość okazała się silniejsza od lęku. Zanim ucieknie, musi się dowiedzieć, do czego to wszystko prowadzi...

Ale przede wszystkim musi się odezwać, powiedzieć coś, cokolwiek, byle przerwać ten dziwny trans. Kiedy jednak znów spojrzała mu w oczy, poczuła, że nie może rozmawiać byle jak i o byle czym. Musi być z nim szczerą.

- Widzieliśmy się w parku – odezwała się.
- Tak.
- Pan pracuje dla rządu? Nie odpowiedział od razu.
- Jeszcze nie wiem. Proponują mi posadę, ale jeszcze się zastanawiam.
- Na pewno w służbach specjalnych, pomyślała. – Byłem długo poza krajem
- dodał tytułem wyjaśnienia.

– W interesach czy dla przyjemności? Znowu zwlekał z odpowiedzią. Miała wrażenie,

jakby się od niej oddalał. W jego oczach pojawiła się chłodna rezerwa.

– Bardzo pani ciekawa.

– Doprawdy? – Byle jak wykręca się od odpowiedzi. Jednocześnie zauważyła, że jej partner obserwuje Iana Daldrina. Chyba zastanawia się, czy zostać jego ochroniarzem.

– Trochę w interesach, a trochę dla przyjemności – odparł wreszcie. – Tu i tam.

– Tu i tam?

– Podróżowałem po świecie, panno Larkspur.

– Mów mi Amber.

– Jak z filmu o „Niezapomnianej Amber”? Czy jesteś równie romantyczna i namiętna jak ona?

– Teraz ty jesteś zbyt ciekawy.

– Faktycznie. Ale ja odpowiedziałem na twoje pytania.

Najwyższy czas skończyć to dziwne spotkanie i pożegnać się raz na zawsze, zachowując jego wspomnienie w sercu jak egzotyczny skarb. Nie zrobiła jednak najmniejszego wysiłku, by to postanowienie wykonać. Tańczyła dalej w jego ramionach, upojona blaskiem wirujących lampionów i bliskością ekscytującego partnera. Miała wrażenie, że ręka obejmująca ją w pasie lekko zadrżała, jakby z trudem opanowywał chęć przytulenia jej do siebie, a lodowaty chłód jego oczu na krótki moment stopniał. Potem rzeczywiście przytulił ją mocniej i przez krótką chwilę tańczyli wtopieni w siebie. Amber zakręciło się w głowie. Nagle wypuścił ją z ramion, a ona zdała sobie sprawę, że muzyka zamilkła.

– Amber! – usłyszała za plecami ostry głos ojca.

Adam zrobił krok do tyłu i złożył uprzejmy ukłon.

– Dziękuję za taniec – powiedział, odwrócił się i odszedł. Po chwili znikł w tłumie.

Muzyka zagrała na nowo, ojciec objął ją i zaczęli tańczyć, lecz ona nadal wypatrywała Adama.

– Amber!

– O co chodzi, papo? – Ojciec wydawał się czymś zaniepokojony.

– Muszę cię prosić... – odchrząknął. To, co miał powiedzieć, nie chciało mu przejść przez gardło. Od wielu lat niczego córce nie nakazywał ani nie zakazywał. – Muszę się prosić, żebyś trzymała się od tego człowieka z daleka.

– Dlaczego? Kim on jest?

– Proszę cię...

– Tajne służby?

– Jeszcze nie wiemy. Proszę cię, Amber, on jest niebezpieczny.

– Nie lubisz go?

– Wręcz przeciwnie. Mam dla niego wiele sympatii. Proszę tylko, żebyś trzymała się od niego, z daleka.

– Ale dlaczego?

– Dlaczego? – powtórzył. – On był w Wietnamie...

– Ależ papo! Połowa moich znajomych była w Wietnamie!

– Nie spieraj się ze mną, Amber, i choć raz zrób to, o co cię proszę! – powiedział ojciec poirytowanym tonem. – Przez wzgląd na mnie i mój spokój ducha. – Wyraźnie zły przerwał taniec i odszedł, zostawiając Amber na środku parkietu.

Jej osamotnienie nie trwało długo. Już po chwili przycisnął się do niej młody deputowany ze stanu Kansas, Timothy Hawkins.

– Cześć, Amber! – zawołał wesoło. – Nie wiedziałem, że wróciłaś do Waszyngtonu. Czy oczy mnie mylą, czy naprawę jesteś sama?

– Nie masz pojęcia, jak bardzo – odparła, przyjmując z ochotą zaproszenie do tańca.

Lubiła tego wysokiego, sympatycznego chłopaka o piegowatej twarzy i szczerym spojrzeniu piwnych oczu. Ale prowadząc z nim przyjacielskie pogawranki, czuła zarazem, jak bardzo odmienny był ten taniec od poprzedniego. Jak niefrasobliwy, zupełnie pozbawiony zapamiętania.

Ojciec uważa, że Michael Adams jest człowiekiem niebezpiecznym, lecz go lubi. Sam to przyznał. Amber nie bardzo wiedziała, co ma o tym myśleć.

Nie może dłużej zostać w tej sali. Nie jest w stanie rozmawiać z Daldrinem albo Larkspurem. Zaopatrzony w szklanekę szkockiej, zbiegł z tarasu i zagłębił się w jedną z parkowych alejek, prowadzącą do ocienionej różaną pergolą żelaznej ławki. Usiadł z westchnieniem ulgi, rozluźniając krawat. Było mu gorąco i duszno.

Z powodu tańca, czy też z powodu kobiety, z którą tańczył? Dlaczego taniec z nią tak na niego podziałał? Jest bardzo ładna, to prawda. Ma piękne blond włosy spadające na ramiona, skórę koloru kości słoniowej i prześliczną figurę. Jest dowcipna, pełna życia, a z jej szmaragdowych oczu wyziera namiętność i zuchwałość. Od pierwszej chwili wiedział, że nie powinien się do niej zbliżać. Lubił Teda Larkspura, a ona jest jego córką. Nie wolno mu stracić dla niej głowy.

Jest człowiekiem wypalonym, w którego sercu nie ma miejsca na miłość. Zarazem pragnął jej, jak dawno nie pragnął żadnej kobiety. Chciał się z nią kochać, zapominając o jutrzejszym dniu. Obserwując ją z daleka, chłonał wzrokiem każdy szczegół: smukłe nogi odsłaniające się, gdy

wirowała w tańcu, pełną czułości wesołość, z jaką spoglądała na ojca. A potem ich oczy się spotkały, a Adam dostrzegł o wiele więcej.

Dostrzegł zmysłową namiętność i zapowiedź tłącego się ognia, gotowego w każdej chwili wybuchnąć gorącym płomieniem. Na moment pociemniało mu w oczach. Wtedy trzeba było niezwłocznie opuścić przyjęcie. Ogarnęła go bezsilna złość. Nie może jej mieć, i musi się z tym pogodzić. Co go opętało, by zapragnąć właśnie jej? Kobieta, którą kochał, zginęła, a inne się nie liczą. Wszystkie są takie same.

Ale nie ta kobieta. Jego fascynacja jest pozbawiona logiki, nie poddaje się zdrowemu rozsądkowi. Z drugiej strony nie może winić Amber za to, że jest piękna i pociągająca, a jej uśmiech przyprawia go o drzenie.

Adam jednym haustem wychylił szklanekę whisky, paląc sobie gardło, wstał z ławki i ruszył z powrotem ku domowi. Zbliżywszy się do tarasu, zobaczył Amber tańczącą z jakimś młodym człowiekiem. Przywołał w pamięci osoby, którym został dziś przedstawiony. Młodym człowiekiem był kongresman z Kansas, Timothy Hawkins. Sympatyczny chłopak, choć jeszcze żółtodziób. Jeśli nabędzie doświadczenia, nie tracąc idealizmu i zachowując uczciwość, może się w przyszłości stać naprawdę kimś.

Amber i Hawkins znakomicie do siebie pasowali. Tańcząc, prowadzili ze sobą wesołą rozmowę. Adam gotów był przysiąc, że w oczach Amber palą się iskry radosnego ożywienia. Jej długie, powiewające w tańcu jasne włosy muskały twarz partnera.

– Szlag by go trafił! – zaklął półgłosem, ale zaraz potem parsknął śmiechem. Toni byłaby zachwycona, gdyby mogła go teraz widzieć. Uznałaby, że nareszcie wraca do życia. – W najmniej stosownym momencie – mruknął pod nosem, ale nadal stał oparty o drzewo, nie odrywając oczu od tańczącej Amber.

W końcu może nie ma nic złego w tym, że na nią patrzy, a nawet jej pragnie? A jednak jest. Z takiego zafascynowania nie może wyniknąć nic dobrego.

Poncz był wyjątkowo mocny. Taniec plus alkohol sprawiły, że Amber zrobiło się gorąco, niemniej chciała się dobrze bawić. Tańczyła, prowadziła rozmowy, żartowała. Spędziła trochę czasu, próbując rozruszać wyraźnie przygnębionego Iana Daldrina. Z Myrą i Josie omówiły wakacyjne plany i ustaliły miejsce spotkania na lotnisku. I wreszcie, po kolejnym tańcu z Hawkinsem, postanowiła udać się na samotny spacer po ogrodzie.

Idąc tonącą w mroku alejką, dostrzegła z boku różaną pergolę. Pochyliwszy głowę, zrobiła krok do przodu i natychmiast zdała sobie sprawę, że nie jest sama. Zobaczyła tylko sylwetkę, ale domyśliła się od razu, że ma przed sobą Michaela. Poznała go po zapachu i ruchach, kiedy wstawał z ławki.

– Przepraszam – bąknęła. – Nie chciałam przeszkadzać.

– Wcale mi nie przeszkadzasz – odparł, mijając się częściowo z prawdą.

Oczy Amber przywykły do ciemności na tyle, by mogła rozpoznać wyraz jego twarzy.

– Chyba jednak przeszkadzam – szepnęła. – Pewnie wolałbyś, żebym stąd znikła.

Milczał przez długą chwilę.

– Tak... – rzekł wreszcie, ale gdy Amber zrobiła ruch, by odejść, chwycił ją za rękę. Ich ciała zetknęły się. –I tak, i nie – dodał. Amber spojrzała na jego usta i wbrew wszystkiemu, co sobie wcześniej postanawiała, zapragnęła poczuć ich smak. – Tak i nie – powtórzył.



Jego wargi dotknęły jej ust. Nie było to czułe, delikatne muśnięcie, lecz zaborczy i namiętny, niemal brutalny pocałunek. Brał jej usta w posiadanie z siłą i bezwzględnością, sugerując, iż chce sobie pozwolić na znacznie więcej. Podniosła rękę, jakby chciała go odepchnąć, lecz nie znalazła na to siły. Pocałunki stawały się coraz gorętsze, a ręce Michaela bezceremonialnie wodziły po jej ciele. W pewnej chwili opadł na ławkę, a ona znalazła się na jego kolanach. Bardzo tym speszona, usiłowała bezskutecznie wyzwolić się z jego ramion.

– Powinnaś wracać do domu – mruknął zduszonym głosem.

– To dlaczego nie chcesz mnie puścić? – wyszeptała drżącymi wargami.

Była zbита z tropu. Michael trzymał ją w ramionach, a zarazem robił wrażenie, jakby miał do niej o coś pretensję.

– Nie rozumiesz? – zapytał. I z gorzką ironią dodał: – Pewnie nie.

Myślała, że teraz pozwoli jej odejść, lecz on znowu zaczął ją całować. Tym razem jednak były to pocałunki czułe i delikatne, podobnie jak pieszczota rąk delikatnie muskających jej włosy, ramiona i piersi. Amber po chwili zapomniała o bożym świecie. Pragnęła jedynie, aby Michael nadal ją pieścił.

On jednak nagle się wyprostował, wypuścił ją z ramion i delikatnie posadził na ławce.

– Tak bardzo cię pragnę – wyszeptał, czule całując jej rękę. – Muszę iść. Zegnaj, Amber.

Wstał i oddalił się szybkim krokiem. Amber została sama. Kompletnie roztrzęsiona nie miała siły podnieść się z ławki. Dopiero po dłuższej chwili opanowała się na tyle, by doprowadzić do porządku włosy i suknię.

Musi o nim zapomnieć, przestać o nim myśleć, mówiła sobie w duchu. To żalosne, by tak bardzo pragnąć mężczyzny, którego prawie nie zna. W dodatku człowieka, przed którym ostrzegł ją własny ojciec. Zachowuje się jak idiotka. I to teraz, kiedy powinna leczyć swoje złamane serce, zastanawiać się nad swoim nieudanym związkiem i latami życia, które zmarnowała u boku Petera.

Zamiast zajmować się Michaeliem, powinna opłakiwać przeszłość. Jest to winna sobie i Peterowi. Ale musi w tym celu uciec stąd i wrócić do domu, gdzie z powrotem stanie się sobą. W końcu jest córką Teda Larkspura, a to do czegoś zobowiązuje. Podniosła się energicznie z ławki, przywołując na twarz konwencjonalny uśmiech. Tim Hawkins zaproponował wspólny rejs po jej powrocie z Florydy. Świetny pomysł. Do tego czasu zdążył odpędzić od siebie myśli o nieznośnym Michaelu Adamsie.

Dwadzieścia minut później Adam przechadzał się po trawniku przed domem. Po chwili dołączył do niego Ted Larkspur, potem zbliżył się senator Daldrin, a po nim łącznik wywiadu Jim Reeves. Trzymając w rękach szklanki z trunkami, stanęli w jasno oświetlonym miejscu, z dala od okalających trawnik krzewów.

– Adam był na spotkaniu z Alim Abdulem, a ten postanowił poddać go próbie polegającej na udziale w porwaniu ciebie – zaczął Ted Larkspur, zwracając się do Daldrina.

Senator z niezmaconym spokojem podniósł szklankę, uśmiechając się przy tym do Adama.

– No, no – mruknął. – Mam być porwany na wyspę?

– Tak. Nie wiem jeszcze, kiedy. Moim zadaniem będzie dopilnować, żeby w momencie porwania był pan w umówionym miejscu.

Daldrin skinął głową.

– To niebezpieczna gra, senatorze – zauważył Ted.

– Odkąd znalazłem się na liście Abdula, moje życie i tak przestało być cokolwiek warte – odparł senator z filozoficznym spokojem, a zwracając się do Adama, dodał: – Ale cieszę się, synu, że jesteś z nami.

– Dziękuję, panie senatorze. Mam nadzieję, że okażę się godny pańskiego zaufania.

– Będziesz mi towarzyszył? – upewnił się Ian.

– Od początku do końca.

– Masz dla mnie jakieś rady, Jim?

– Najważniejsze to zachowaj spokój i nie stawiaj oporu. A gdyby doszło do najgorszego, nie broń się i nie oddawaj ciosów.

– To już przesada! Nie jestem już młodzikiem, ale szlag mnie trafi, jeśli przynajmniej nie spróbuję się postawić.

– I na to przyjdzie czas, panie senatorze, ale później – wtrącił Adam. – Na moje oko, samo porwanie będzie miało względnie spokojny przebieg. Kłopoty mogą się zacząć podczas ucieczki z wyspy, i wtedy bardzo liczę na pańską pomoc.

– Jak ma się to odbyć?

– Podczas rejsu.

Ian Daldrin zmarszczył czoło.

– Na pokładzie będą moi znajomi.

– Panie senatorze, nie mogę, rzecz jasna, dać gwarancji, ale sądzę, że nic im nie grozi – uspokoił senatora Adam. – Abdul nie szuka kłopotów. Chce, żeby porwanie odbyło się sprawnie i cicho, bez rozlewu krwi. Zależy mu, aby odpłynąć jak najdalej od statku, nim ktoś się zorientuje i zaalarmuje straż przybrzeżną. Będę znał termin i mam dopilnować, żeby o określonej

godzinie, oczywiście nocą, znalazł się pan sam na jednym z pokładów. Nikomu nic nie powinno się stać.

Ian Daldrin odetchnął głęboko i wychylił resztę szkockiej.

– No to, przyjaciele, życcie mi szczęścia. Będziemy w kontakcie – oświadczył.

– Złam nogę – mruknął Ted Larkspur. Podnosząc szklanekę i życząc im głośno dobrej nocy, senator Daldrin ruszył z wolna ku domowi, a Reeves poszedł w jego ślady.

– A więc wszystko gotowe – odezwał się Ted Larkspur, nie patrząc na Adama,

– Na to wygląda.

– Uważaj na siebie, Tchartoff.

– Dziękuję za radę. Postaram się.

– Po wejściu na statek nie nawiązuj z nami łączności. Będą cię obserwować. Nie wolno ryzykować.

– Tak jest.

– I nie...

– Z całym szacunkiem, sir, ale znam się na swojej robocie – przerwał mu Adam delikatnie, choć stanowczo.

– Wiem. – Ted Larkspur zrobił krok, jakby chciał odejść, lecz przystanął, jakby się nad czymś namyślał. – Jeszcze jedno.

– Tak?

– Trzymaj się od mojej córki z daleka – rzekł Ted Larkspur, spoglądając mu w oczy. Adam spokojnie wytrzymał jego wzrok. – Nie chcę, żeby została w to wplątana.

Spojrzenie Adama zrobiło się lodowate.

– Nie zamierzam widywać się z pańską córką, sir, i nigdy nie miałem takiego zamiaru. – Teraz on zaczął się oddalać.

– Zaczekaj!

Adam przystanął i powoli zawrócił.

– O co chodzi?

– Nie zrozum mnie źle.

– To znaczy? – zimno spytał Adam. – Nie mogę mieć pretensji o to, że mnie pan nie lubi.

– Wcale tak nie jest – zaprotestował Ted. – Mam o tobie jak najlepsze mniemanie, może lepsze niż ty sam o sobie. Ale widzisz, moja córka jest istotą pełną życia. Ona... ona jest samym życiem. Ma gorące serce. A ty...

– A ja jestem wewnętrznie martwy. I zimny jak lód – dokończył Adam. – Doskonale zrozumiałem, sir. A teraz bardzo przepraszam, ale muszę się trochę przespać. Mój samolot odlatuje jutro wczesnym rankiem.

– Poczekaj! – zawołał Larkspur, wyciągając do niego rękę. – Wróć żywy, synu. Niech Bóg ma cię w swojej opiece.

– Dziękuję, sir – odparł Adam z ponurym uśmiechem, ścisnął rękę Teda, po czym odwrócił się i ruszył przez trawnik.

Tej nocy sen nie był mu pisany. Godzinami przewracał się na łóżku, zapalając kolejne papierosy i wpatrując się w sufit. Raz po raz powracały doń słowa Larkspura: „Ona jest samym życiem. Ma gorące serce”.

A on jest wewnętrznie martwy. W każdym razie często miewał takie uczucie. Aż do dzisiaj. Do momentu, kiedy poczuł ją w ramionach. Nie zamierzał jej pocałować. Wszystko stało się pod wpływem nieodpartego impulsu. Amber była niepowtarzalna; nie przypominała żadnej innej kobiety.

Z głuchym westchnieniem zdusił w popielniczce kolejnego papierosa i znów zapatrzył się w sufit. Zaczął sobie wyobrażać, co by było, gdyby on i Amber znaleźli się sami na plaży – Amber na pustej rozległej plaży, bosa, w jedwabnej powłóczyściej sukni, takiej jak dziś. On zsuwa z niej tę suknię, a potem długo jej się przypatruje, po czym oboje osuwają się na piasek. Oczami wyobraźni widział rozsypujące się wokół jej głowy jasne włosy i wydawało mu się, że czuje ciepło jej ciała. Poderwał się z posłania, starając się odepchnąć od siebie te obrazy. Zamknawszy oczy, przywołał na ich miejsce wspomnienie radosnej twarzy zmarłej żony, jej gesty, dźwięk jej głosu.

– Tak bardzo cię kochałem – wyszeptał.

Ale tamta miłość umarła razem z Sonią. A Larkspur ma rację – on też jest martwy.

Odrzuciwszy pościel, podszedł do barku i nalał sobie whisky. Wychylił ją jednym haustem, czując z zadowoleniem, jak alkohol pali mu gardło i żołądek. Pot pokrywający mu ciało zabłysnął w przedostającym się przez szparę w zasłonach świetle księżyca. Było mu gorąco, chociaż stał na wprost klimatyzatora. Wypił jeszcze jedną szkocką. Potem wsunął się do łóżka, zwinął się w kłębek i zmusił do zaśnięcia.

Do Amber sen również nie przychodził. O drugiej nad ranem wstała i zabrała się za pakowanie. O wpół do trzeciej wypła filiżankę ziołowej herbaty, a kiedy i to nie pomogło, zrobiła sobie mrożoną kawę z likierem.

Kiedy nie pozostało nic więcej do spakowania, usiadła na łóżku i włączyła telewizor, ale już po chwili przesunęła palcami po wargach, przypominając sobie jakże krótki, a zarazem niezwykle gorący pocałunek. Chwyła ze złością poduszkę i cisnęła nią przez pokój, o mało nie strącając telefonu z nocnego stolika. Dopiero teraz zauważyła, że Connie, sekretarka i

gospodyni ojca w jednej osobie, zostawiła jej przy telefonie kartkę z wiadomością. „Dzwonił Peter. Jeśli nie oddzwonisz, spróbuje znowu zadzwonić jutro”.

Peter. Mężczyzna, z którym przeżyła pięć lat, w którym była zakochana. Mężczyzna, za którego chciała wyjść za mąż.

Westchnęła głęboko. Peter, tak, Peter...

Peter nigdy nie całował jej w taki sposób.

Nigdy, ani razu.

*Palm Beach na Florydzie 5 czerwca*

O dziewiątej wieczorem Amber, Myra i Josie zameldowały się w hotelu i odebrały klucze do pokoju. Myra niezwłocznie przystąpiła do badania zawartości darmowego barku.

– Moje ulubione batoniki! – zawołała uszczęśliwiona.

Josie bardziej zainteresowały znajdujące się w łazience szampony i płyny do układania włosów.

– To bardzo miło z ich strony, nie uważacie?

– Rzeczywiście, bardzo miło – przyznała Amber, rozsuwając zasłony i wyglądając przez okno. Mimo późnej pory wokół basenu roilo się od ludzi.

– Ciekawe, do której jest otwarty?

Myra, która właśnie kończyła jeść pierwszy batonik, zajrzała do hotelowej karty informacyjnej.

– Jest otwarty przez całą noc – oświadczyła.

– No to co, dziewczyny, idziemy popływać?

– Jasne – odparła Amber.

Już po paru minutach były na dole. Woda była w sam raz, zwłaszcza w upalną noc – orzeźwiająco chłodna, ale nie za zimna. Przepłynąwszy parę długości basenu, Myra i Josie zapragnęły skorzystać z biczów wodnych,



natomiast Amber z ulgą wyciągnęła się na plażowym łóżku. Patrząc w niebo, pomyślała, że za parę dni będzie pełnia księżyca.

Po jakimś czasie na sąsiednie łóżko klapnęła Myra.

– Widziałaś tego faceta?

– Którego faceta?

– Tego z jasnymi jak len włosami i wspaniałymi bicepsami.

– Daj spokój, Myra, bicepsy to jeszcze nie wszystko.

– Poczekaj, aż go zobaczysz.

Na łóżko po drugiej stronie padła Josie, z trudem utrzymując w pionie trzy szklanki złotawego napoju chłodzącego. Amber szybko usiadła, chwytając niebezpiecznie wychyloną w jej kierunku szklankę.

– Potrzebujesz właśnie takiego blondyna –orzekła Josie.

– Czy możecie się zamknąć? – odparła Amber. – Miałam już jednego blondyna. Kiedy uznam, że powinnam poszukać następnego, nie omieszkam zwrócić się do was o pomoc.

– To miał być sarkazm – skomentowała Josie, spoglądając znacząco na Myrę.

– Zauważyłam – dodała Myra.

– Jesteście bardzo bystre, ale obie jesteście szczęśliwymi mężatkami, więc nie rozglądajcie się za blond samcami o potężnych mięśniach, jeśli nie chcecie, żebym doniosła waszym mężom.

– Nie strasz nas – mruknęła Josie. Myra ostentacyjnie westchnęła.

– Z każdym rokiem robię się coraz grubsza – rzekła smętnie. – Jeśli nie pospieszysz się ze ślubem, będę wyglądała w sukni drużny jak siedem nieszczęść.

– Dajcie mi spokój! – jęknęła Amber. – Przyjechałam, żeby odpocząć, a nie wysłuchiwać waszego gderania.

– No już dobrze – ustąpiła Josie. Nagle poderwała się na nogi, wskazując palcem lagunę. – Popatrzcie, fajerwerki!

Wszystkie się podniosły i pospieszyły w kierunku pobliskiej laguny, gdzie z powierzchni wody wystrzeliwały w niebo wielobarwne sztuczne ognie.

W pewnej chwili potrafiła ją para młodych ludzi, którzy cofnęli się, nie wiedząc, że ktoś stoi tuż za nimi. Przeprósiwszy ją, odeszli w swoją stronę. Amber jednak nie mogła oderwać od nich oczu. Mężczyzna czule obejmował swą partnerkę. To na pewno ich miodowy miesiąc, pomyślała z uśmiechem. I przyszło jej do głowy, że jeżeli kiedyś tutaj wróci, chciałaby być z ukochanym mężczyzną, który dzieliłby z nią piękno otaczającego świata, ale ona byłaby dla niego ważniejsza niż najpiękniejsze widoki.

Zdała sobie zarazem sprawę, iż nie ma na myśli Petera, tylko Michaela Adamsa.

- Amber? – usłyszała głos Josie.
- Tu jestem.
- Co byś powiedziała na drinka w restauracji na dachu?
- Świetny pomysł!

Sączyły drinki, przypatrując się widocznemu przez oszklony dach nocnemu niebu. Poszły spać późną nocą, a następnego dnia zerwały się wczesnym rankiem. Zaczęły dzień na polu golfowym, potem grały w tenisa, a wieczorem poszły na basen.

Wracając do hotelu, Amber ledwo trzymała się na nogach. Niemal zasypiała po drodze, wlokąc się na samym końcu, kiedy, znalazłszy się na właściwym piętrze, szły w kierunku swego pokoju. Oprzytomniała, słysząc głośny okrzyk Josie.

– Co się stało? – zawołała, myśląc, że ktoś napadł na przyjaciółkę. Nie stało się jednak nic złego.

Josie wisała na szyi wysokiego mężczyzny, w którym Amber rozpoznała jej męża, Jima Bainbridge'a.

– Cześć, Amber, cześć, Myra! – powitał je Jim.

– Co ty tu robisz? – zapytała Josie. – Myślałam, że nie możesz się wyrwać z Waszyngtonu.

– Ja też tak sądziłem – odparł jej mąż – a tymczasem zapanował spokój, więc uznałem, że mógłbym wybrać się w rejs, o którym opowiadał Ted Larkspur. Oczywiście, nie sam, ale w waszym uroczym towarzystwie. Macie ochotę polecieć do Miami i pojutrze rano wsiąść na statek?

– No nie wiem... – zaczęła Amber.

– Ale ja wiem. Jestem wolna, przyłączam się! – wykrzyknęła Myra. – George wróci z Londynu najwcześniej za trzy tygodnie. Zdecyduj się, Amber. Josie będzie z Jimem, więc możemy wziąć dwuosobową kabinę. Nad czym się zastanawiasz?

Amber przypomniała sobie, że na przyjęciu u Templetonów widziała, jak Michael Adams rozmawiał z senatorem Daldrinem, i poczuła suchość w gardle. Mógł się zatrudnić do jego ochrony.

– No, Amber, dlaczego się wahasz?

Rzeczywiście, dlaczego? Miała na rejs ochotę, do czego w niemałym stopniu przyczyniło się podejrzenie, że Michael też tam będzie.

– No dobrze – zgodziła się. – Ale pod warunkiem, że Josie natychmiast przeniesie się do Jima i pozwoli mi się porządnie wyspać. Po dzisiejszym dniu dosłownie padam z nóg.

– Już zarezerwowałem dla nas pokój – zapewnił ją Jim.

Bainbridge'owie wynieśli się w ciągu pół godziny. Po wzięciu prysznic Amber wyciągnęła się na łóżku z westchnieniem ulgi, podłożywszy sobie poduszkę pod obolałe nogi. Była jednak zbyt podniecona, by móc zasnąć. Czuła, że na pokładzie statku spotka mężczyznę o jasnobłękitnych oczach. Nie powinna się była zgodzić na udział w tym rejsie.

Ale czy mogła się nie zgodzić?

RS

## ROZDZIAŁ PIĄTY

*Port w Miami 12 czerwca*

Statek nazywał się „Alexandria”, był obszerny i elegancko urządzony. Ale jeszcze piękniejszy był towarzyszący wypłynięciu z portu zachód słońca.

Amber stała oparta o reling, obserwując z zachwytem mieniące się na niebie barwy i ich odbicie w wodzie.

Do Miami przylecieli minionego wieczoru, ale zamiast od razu wejść na statek, zatrzymali się w hotelu, a dzisiejszy dzień spędzili głównie na zakupach. Na pokład zdążyli dosłownie w ostatniej chwili. Amber zostawiła swój bagaż w obszernej dwuosobowej kabinie, którą miała dzielić z Myrą. Pilno jej było wyjść na pokład, by obserwować wyjście statku z portu, toteż oddaliła się od reszty towarzystwa i stała teraz sama, podziwiając delikatną mgiełkę, która unosiła się nad powierzchnią wody, i wdychając w płuca ożywczy zapach morza. Łagodna bryza była miłym urozmaiceniem na zakończenie upalnego czerwcowego dnia.

Statek sunął kanałem ku morzu, mijając po drodze przybrzeżne wysepki, ulice i plaże Miami. W miarę jak słońce zniżało się ku linii horyzontu, różowe refleksy na niebie blakły, rozplywając się w ogólnej szarości. Amber stała nadal na pokładzie, rozkoszując się chłodnym powietrzem. Oto odpowiedni moment, by przemyśleć lata spędzone u boku Petera i zastanowić się nad przyszłością. Bezkres morza zachęcał do takich rozważań. Amber przymknęła oczy i uniosła głowę, sycąc się delikatnym powiewem wiatru.

– Co ty tu robisz, do jasnej cholery?

Słyszając zadane ostrym tonem pytanie, gwałtownie się odwróciła. Potwierdziło się jej podejrzenie, że Michael Adams będzie na statku. Stał oto w rozkroku naprzeciw niej, z rękami opartymi na biodrach. Z jego oczu sypały się iskry. Zbulwersowana agresywnie zadanyim pytaniem, w pierwszej chwili nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

Szybko jednak odzyskała kontenans i, podniósłszy głowę, zmierzyła go wyniosłym spojrzeniem.

– Płynę w rejs, panie Adams. Oto co robię.

– Czy ojciec wie, gdzie jesteś?

Amber lekko się stropiła. Ojciec faktycznie nie wiedział, że zmieniła plany. Od paru dni bezskutecznie usiłowała się z nim skontaktować, prosząc za każdym razem sekretarkę, by powtórzyła ojcu, kto dzwonił. Wreszcie wczoraj napisała list. Ale nie miało to znaczenia, bo ojciec i tak nie spodziewał się jej powrotu w najbliższym czasie. I co to obchodzi Michaela?

– To nie pańska sprawa – odparła wyniośle. – Jak pan zapewne wie, jestem dorosła i nie muszę się nikomu opowiadać.

– Czyli o niczym nie wie! – powiedział z nieoczekiwaną złością, a jednocześnie Amber zdała sobie sprawę, że otaczająca ją atmosfera uległa nieuchwytej zmianie.

Są sami i zapada zmrok. Wszyscy, którzy tak jak ona zegnali stały ład, dawno zeszli pod pokład, aby odpocząć albo przebrać się do kolacji. A przed nią stał rozsierzony facet. Amber robiło się na przemian zimno i gorąco. Czowała się idiotycznie. Żaden mężczyzna nie budził w niej tak silnych, a zarazem tak sprzecznych uczuć. Niepotrzebnie wybrała się w ten rejs. Była jednak zbyt harda, by tłumaczyć się ze swoich poczynań przed byle ochroniarzem.

– Czy byłby pan łaskaw mnie przepuścić? – odezwała się zimno, jeszcze wyżej podnosząc głowę.

Zadowolona, że głos nie odmówił jej posłuszeństwa, już miała odejść, kiedy Michael zepsuł wszystko, przytrzymując ją za ramię i odwracając twarzą do siebie. Stali tak blisko, że ich ciała niemal się dotykały, a zaciśnięta na jej ramieniu dłoń Michaela była gorąca, napięta i lekko drżała.

– Muszę mieć jasną odpowiedź. Czy ojciec wie, że płyniesz tym statkiem?

Amber bała się podnieść oczy. Trzymał ją na tyle mocno, że bez wyrywania się nie mogła odejść. Wreszcie popatrzyła Michaelowi w twarz, zastanawiając się, co sprawia, iż potrafi połączyć w sobie tyle chłodu z tak namiętną pasją. Nie umiała tego pojąć. Wiedziała tylko, że jest gotowa stracić dla niego głowę i w związku z tym powinna trzymać się jak najdalej od niego. Nie chcąc jednak stracić resztek godności, postanowiła się z nim nie szarpać.

– Chciałabym odejść. Czy mógłby pan puścić moją rękę?

– Nie. W czyim jesteś towarzystwie? Westchnęła, udając znudzenie, choć w duchu pękała ze złości.

– Jestem razem z kongresmanem Bainbridge'em, jego żoną i Myrą Norman. A czy pan nie powinien być teraz gdzie indziej? Domyślam się, że jest pan na statku służbowo. Jeszcze raz proszę puścić moją rękę.

Ku jej zaskoczeniu tym razem usłuchał. Opuścił nagle rękę, odwrócił się na pięcie i zbiegł pod pokład.

Amber musiała usiąść na najbliższym leżaku, tak bardzo trzęsły się pod nią nogi. Kiedy się wreszcie pozbierała na tyle, by dojść do kajuty, Myry już tam nie było. Wzięła prysznic i przebrała się do kolacji. Ona i jej



przyjaciele mieli jeść kolację trochę później, ale nie mogąc usiedzieć w kajucie, postanowiła wyjść i zajrzeć do kasyna.

Korytarz był pusty, nie licząc dwójki odświętnie ubranych dzieci w wieku ośmiu i dziesięciu lat, które ścigały się, a właściwie chłopiec ścigał dziewczynkę, nie zważając na uroczyste stroje obojga – mały był w smokingu, a jego siostra w różowej koronkowej sukience i różowych pantofelkach. Uciekająca dziewczynka zderzyła się z Amber. Przestraszona cofnęła się o krok i rozejrzała na boki, ale na szczęście rodziców nie było w polu widzenia.

– Bardzo panią przepraszam – wybąkała, pochylając główkę i spoglądając na Amber spod oka.

– Nic się nie stało – odparła Amber z uśmiechem. – Ale na przyszłość bądźcie ostrożniejsi, bo ktoś może się poskarżyć na wasze harce.

Mała z uśmiechem skinęła główką.

– Będziemy uważać – przyrzekła, po czym, nie przestając się uśmiechać, dodała: – Pani jest bardzo ładna.

Amber roześmiała się.

– Dziękuję. Ty też.

Chłopczyk zbliżył się i wziął siostrę za rękę.

– Jeszcze raz przepraszam. Chodźmy, Arabello.

Wdzięczna parka odeszła, odprowadzana wzrokiem ubawionej tym zdarzeniem Amber. Kiedy po chwili podniosła oczy, o mało nie krzyknęła. Na końcu korytarza, pod tablicą informacyjną, stał Michael Adams. On też zdążył przebrać się do kolacji. Tym razem nie miał na sobie smokingu, tylko ciemny garnitur, ale i tak prezentował się znakomicie.

Amber wyprostowała się i ruszyła przed siebie z podniesioną głową.

– Dobry wieczór panu – powiedziała zaczepnie, mijając go.

– Dobry wieczór pani.

Fakt, że nie dodał nic więcej, trochę ją rozczarował, nie dała jednak tego po sobie poznać. Wszedłszy do kasyna, rozejrzała się po sali pełnej elegancko ubranych osób, po czym podeszła do kasy i wymieniła niewielką sumę na ćwierćdolarówki. Siedząc przed automatem do gry, bezmyślnie wrzucała monety, ale złośliwe obrazki ani rusz nie chciały się ustawić w odpowiednim szyku. Odwróciła się, chcąc odejść, i stwierdziła, że przy sąsiedniej maszynie siedzi Michael Adams. W dodatku patrzy na nią. Poczowała się nieswojo.

– Jestem dorosła, a dorosłym wolno uprawiać hazard – oświadczyła lekko zirytowanym tonem.

– Całkowicie się z panią zgadzam. – Widząc, że Amber wstaje, zapytał: – Tak łatwo rezygnujesz?

– Dosyć już przegrałam.

– No nie wiem. Upór na ogół popłaca. – Podeszedł i wrzucił do jej automatu ćwierćdolarówkę. W maszynie zaświstało, zagwizdało i ku zdumieniu, ale i oburzeniu Amber zaczął się z niej wysypywać strumień ćwierćdolarówek.

Michael popatrzył na nią z szelmowskim uśmiechem.

– Moje gratulacje – powiedziała ze złością.

– To twoja wygrana. Ja tylko pożyczyłem ci monetę.

– O nie! Nie chcę twoich pieniędzy.

– A ja twoich.

– Przepraszam, ale skoro tak, to chętnie je zabiorę – odezwał się stojący z boku gruby facet z cygarem.

– Mamy tu około pięćdziesięciu dolarów, które można by oddać na jakiś dobroczynny cel. Co ty na to? – zaproponował Michael.

Cała jej irytacja minęła w jednej chwili.

– Doskonale – odparła, podając mu nazwę swojej ulubionej fundacji charytatywnej.

– Bardzo dobrze – zgodził się.

Udała się do kasy wymienić monety, a kiedy wyszła z kasyna, okazało się, że Michael czeka na nią na korytarzu.

– Pora iść do jadalni – powiedział.

– O! Mamy kolację o tej samej porze? – zdziwiła się.

– Nie tylko o tej samej porze – odparł z lekkim uśmiechem. – Pani przyjaciółka Myra zajęła się rozdziałem miejsc. Siedzimy wszyscy przy stole senatora.

No tak, Myra znowu usiłuje ją wyswatać. Na pewno dowiedziała się, że Michael Adams jest wolny, i posadziła go obok niej. Ale przecież sama tego chciała. Choć tak naprawdę już nie wiedziała, czego właściwie chce. W miarę jak poznawała Michaela, nabierała coraz silniejszego przekonania, że chyba nigdy go nie zrozumie. Nie mogła pojąć jego postępowania; był jak kameleon: to starał się do niej zbliżyć, to znów odpychał ją jak najdalej.

– Gdzie mieszkasz? – zapytał, prowadząc ją w dół schodów.

– W tej chwili?

– Nie mieszkasz w jednym miejscu?

– A ty?

– Ja nie – odparł. – A ty?

– Właśnie przeprowadziłam się do Waszyngtonu.

– Skąd?

– Z Atlanty.

– Aha – skomentował dziwnym tonem.

– Co to miało znaczyć?

– Domyślam się, że masz za sobą poważny, ale i trudny związek. W takich momentach szuka się pocieszenia, a to bywa niebezpieczne.

– Nie szukam pocieszenia.

– Nie byłbym tego pewien. – Zatrzymał się nagle u stóp schodów, zagradzając jej drogę. – Istnieje dość powszechne przekonanie, że po takim zerwaniu wiele kobiet czuje potrzebę przeżycia szybkiej niezobowiązującej przygody. Z mężczyzną, o którym łatwo potem zapomnieć. Najlepiej mało jej znanym, ale na tyle atrakcyjnym, żeby zaspokoić najbardziej elementarne potrzeby. Dlatego ostrzegam, że mnie taka rola nie odpowiada.

Amber niemal odebrało głos.

– Co ty sobie myślisz! – zawołała oburzona.

– Chciałem tylko... – zaczął, ale w tej samej chwili Amber odepchnęła go. – Amber, próbuję tylko...

– Lepiej nic nie próbuj! – Zmierzywszy go piorunującym spojrzeniem, poszła szybko do jadalni. Na szczęście w drzwiach nie było tłoku, co dało Amber nadzieję, iż zdoła wejść spokojnie i z godnością, całkowicie ignorując jego obecność. Ale nie, nie może tego tak zostawić. Zrobiła gwałtowny zwrot w tył. – Posłuchaj, co ci powiem. Myślę, że jesteś najbardziej zadufanym facetem, jakiego w życiu spotkałam. I jeszcze ci powiem, że nie szukam pocieszenia, nie szukam przygody, a już na pewno nie mam zamiaru przespać się z tobą.

Znowu stali tak blisko siebie, że ich ciała niemal się dotykały, i patrzyli sobie w oczy. W spojrzeniu Michaela ogień w jakiś niepojęty sposób łączył się w lodowatym chłodem.

– To dobrze – powiedział cicho. – Bo widzisz, ja miałem wielką ochotę przespać się z tobą, a to byłby wielki błąd. Bardzo wielki błąd.

Powiedziawszy to, minął ją i wszedł do jadalni, a Amber, zaskoczona tym wyznaniem, stała przez długą chwilę oniemiała. Potem jednak znów poczuła przypływ złości. Miała powyżej uszu tych niezrozumiałych, obraźliwych zachowań, po których odchodził nagle, zostawiając ją samej sobie.

Zdołała opanować się na tyle, by spokojnym krokiem wejść do jadalni, gdzie została zaprowadzona do stołu senatora Daldrina. Wszyscy już siedzieli, tylko jej miejsce, oczywiście obok Michaela Adamsa, było puste. Panowie wstali na jej powitanie, a Michael uprzejmie odsunął krzesło. Amber podziękowała mu równie uprzejmym skinieniem głowy. Zajmując miejsce, poczuła na szyi jego oddech.

– Miło cię widzieć, Amber – odezwał się Ian Daldrin, smarując masłem bułeczkę. Ona jednak wyczuła, że z jakiegoś niezrozumiałego powodu jej obecność wcale go nie ucieszyła.

– Mnie również, panie senatorze – odparła.

– Czy ojciec wie, że tu jesteś? Amber w milczeniu przygryzła wargi.

– Nie jestem pewna. Może już dostał mój list, a może nie.

Na stole stała butelka wina. Michael Adams właśnie napełniał jej kieliszek.

– Ach, rozumiem – mruknął senator. Tylko ona nadal nic nie rozumiała.

– Nie planowałyśmy podróży. statkiem – wyjaśniła Josie, obdarzając męża promiennym uśmiechem. – Miałyśmy spędzić dwa tygodnie na stałym lądzie, aż nagle pojawił się Jim z propozycją uczestnictwa w tym rejsie.

– Znakomity pomysł, Jim, po prostu znakomity – mruknął pod nosem senator Daldrin.

– Dopiero przedwczoraj okazało się, że mogę wyjechać na parę dni z Waszyngtonu – wyjaśnił Jim Bainbridge.

– A więc płyniemy razem – zakończył senator, sięgając po menu. – A właśnie, nie wiem, Amber, czy znasz młodego człowieka, który siedzi po twojej lewej stronie?

– Tak, poznaliśmy się niedawno w Waszyngtonie.

– O! No to w porządku. Zobaczymy, co tu można zjeść. Mięso z orki albo delfina, homar, kotlet z jagnięcia, stek. Niezły wybór.

Rozmowa zesłała wkrótce na politykę. Jej temperatura wzrosła do tego stopnia, że Ian Daldrin uznał w pewnej chwili za konieczne położyć jej kres.

– Dajmy już temu spokój – oświadczył, lekko podnosząc głos. – Jesteśmy na wakacjach. – Wstał od stołu i podszedł do Amber. – Zgodzisz się zatańczyć ze starym znajomym? Na dyskotekę jestem już za stary, ale słyszałem, że w Salonie Neptuna gra niezła orkiestra.

Jeśli nawet z jakiegoś powodu nie był z jej obecności zadowolony, jako dawny przyjaciel ojca będzie jej okazywał niezmienną uprzejmość.

– Oczywiście, senatorze. Zatańczę z przyjemnością.

Musieli przemierzyć kilka korytarzy i zejść w dół, aby dotrzeć do salonu, w którym grała do tańca rzeczywiście bardzo dobra orkiestra. Amber przetańczyła z senatorem kilka tańców. Dowiedziała się od niego, że pierwszy postój statku zaplanowano w pobliżu niewielkiej wyspy na Bahamach, która jest wprawdzie prywatną własnością, ale pasażerowie „Alexandrii” będą mieli prawo spędzić cały dzień na jej rozległej dziewiczej plaży.

– Cudowna perspektywa – ucieszyła się Amber.

– Szukasz samotności?

– O tak. Marzę o samotności na pustej plaży!

– Ale nie oddalaj się zbyt od reszty towarzystwa.

– Dlaczego?

– Na wszelki wypadek. Naprawdę, Amber. Nie odchodź sama.

Sama? Przecież ona chce tylko uniknąć towarzystwa Michaela Adamsa. Wstanie z samego rana, ubierze się w kostium kąpielowy, spakuje potrzebne rzeczy i odpłynie na wyspę pierwszą motorówką. Jeśli Myra i Josie zechcą się przyłączyć, nie będzie miała nic przeciwko temu, ale nie pozwoli, żeby ten irytujący człowiek popsuł jej najpiękniejszy dzień wakacji.

– Dobrze, będę uważać.

Senator sprowadził ją z parkietu. Reszta towarzystwa siedziała wokół dwóch stolików. Michael Adams palił papierosa, prowadząc z Josie ożywioną rozmowę, ale Amber odnosiła wrażenie, że przez cały czas obserwuje ją i senatora.

– Michael, jestem trochę zmęczony. Bądź tak dobry i zastąp starszego pana – powiedział Ian Daldrin.

Pod Amber ugięły się nogi. Najchętniej wczłgałaby się pod stół.

– Prawdę mówiąc, ja też mam już dosyć. Wolałabym...

– Z przyjemnością. Czy mogę panią prosić?

Michael już stał przed nią i prowadził ją na parkiet. Wirując w jego ramionach, zadała sobie pytanie, jak to się dzieje, że taniec z nim staje się tak intymnym przeżyciem. Ale chociaż bardzo chętnie zaprosił ją do tańca, teraz na parkiecie znowu robił wrażenie, jakby miał do niej o coś pretensję.

– Diabli cię nadali, Amber! – mruknął w pewnej chwili.

– Nie rozumiem, o co się tak wściekasz – odparła.

– Dobrze wiesz.

– No to nie prosz mnie do tańca i nie zbliżaj się.



– Nie jesteśmy sami. Nie mogę obchodzić cię z daleka, skoro należymy do tego samego towarzystwa.

– Ani ja ciebie.

– Ale ostrzegłem, czego nie możesz się po mnie spodziewać.

– O tak, i to bardzo dobitnie. Możesz być spokojny, nie rzucę ci się na szyję.

– Jesteś tego pewna?

Pytanie było wręcz obraźliwe. Zanim jednak Amber zdążyła zareagować, Michael wziął ją za rękę i sprowadził z parkietu, po czym, zamiast wrócić do stolika, skierował się do wyjścia i dalej, aż na pokład. Amber była zbyt zaskoczona, by zdobyć się na protest.

Otaczał ich mrok, którego latarnie statku nie były w stanie rozproszyć. I byli zupełnie sami. Nagle zdała sobie sprawę, że stoi oparta plecami o reling, a Michael obejmuje ją i zaczyna gorączkowo całować. Pomyślała, że powinna położyć temu kres, ale nie miała siły. Nie tylko nie miała ochoty się bronić, ale zarzuciła mu rękę na ramiona

I przywarła do niego całym ciałem, namiętnie odwzajemniając pocałunki. Poczwała, że ręka Michaela zsuwa się w dół po jej ciele, sięga dołu sukni, unosi ją i zaczyna wspinać się po jej udzie. Jeszcze chwila, a weźmie mnie tutaj na stojąco, przemknęło Amber przez głowę. W tym celu przyprowadził mnie pod reling, myślała w panice, nie bardzo wiedząc, czy ją to oburza, czy jeszcze bardziej podnieca. Ale nie musiała sobie na to pytanie odpowiadać, bo sekundę później Michael głucho jęknął, odsunął ją od siebie i cofnął się o krok.

– Na litość boską, nie zbliżaj się do mnie!

Za chwilę znowu zostawi mnie samą, pomyślała w panice.

– O nie! – oświadczyła kategorycznym tonem. A gdy zaskoczony Michael znieruchomiał, wyminęła go i pobiegła ku schodom. W ostatniej chwili obejrzała się i dodała: – To ty więcej się do mnie nie zbliżaj!

Zbiegła na dół jak burza. Jaskrawe światło oślepiło ją w pierwszej chwili, więc zwolniła kroku. Po wejściu do kabiny zatrzasnęła za sobą drzwi i wzięła głęboki oddech.

Czeka ją upiorna noc.

Myra nie miała ochoty wstawać wczesnym rankiem, by na bezludnej plaży zażywać ciszy i spokoju. Amber zaś nie przeszkadzała samotność – pozwoliłaby jej zastanowić się nad swoim życiem. Wstała, włożyła dwuczęściowy kostium i luźną bawełnianą koszulkę. Stroju dopełniał pleciony ze słomki kapelusz, tenisówki i ciemne okulary.

Wrzuciwszy do plażowej torby olejek do opalania, butelkę wody mineralnej i ręczniki, wymknęła się z kabiny. Na pokładzie zjawiała się w pół do ósmej, jako jedna z pierwszych. Motorówki miały odpłynąć dopiero za kilka minut, a gdy na tymczasowym bufecie pojawiła się kawa, z napełnioną filiżanką podeszła do relingu, aby przyjrzeć się wyspie. Była nietknięta cywilizacją, porośła zielenią i otoczona szerokim pasem niemal białej, piaszczystej plaży.

– Dzień dobry, Amber.

Odwróciwszy się, ujrzała gotowego do drogi, ubranego również w strój kąpielowy senatora. Był, jak na swój wiek, w nadzwyczaj dobrej formie.

– Dzień dobry, senatorze.

– Mam nadzieję, że nie zamierzasz spędzić dzisiejszego dnia w zupełnej samotności?

– Nie wiem, po prostu wybieram się na wyspę. Tymczasem na pokładzie zrobiło się rojno.

Zauważyła kilka osób z otoczenia senatora. Jej prześladowca też się pewnie wybiera. Nie pomyliła się. Michael Adams siedział przy jednym ze stolików. Miał na sobie kąpielówki i rozpiętą koszulę. Pomachał do niej ręką. Niech go wszyscy diabli!

– Proszę mnie nie traktować jak dziecko. – Popatrzyła na senatora. – Niedługo stuknie mi trzydziestka.

– Niemożliwe! Popatrz, ile to już lat. A pamiętam, jak byłaś małą dziewczynką.

– Dawno zdążyłam dorosnąć. Pływam jak ryba i bardzo bym chciała pobyć dzisiaj trochę sama.

– No cóż, rozumiem. – Skinąwszy z uśmiechem głową, zostawił ją w spokoju.

Zobaczyła, że podchodzi do Michaela Adamsa, coś do niego mówi, a tamten potakuje ruchem głowy. Zirytowana odwróciła się w inną stronę. Motorówki szykowały się do odjazdu. Uznała, iż byłoby niegrzecznie, gdyby swoją potrzebę samotności posunęła zbyt daleko, wsiadając do osobnej motorówki. Chcąc nie chcąc, przyłączyła się do senatorskiej grupy i usiadła na ławce naprzeciw Iana Daldrina.

Po paru chwilach motorówka ruszyła.

– Panie i panowie, ostatnia motorówka na statek odpływać o ósma wieczór. *SU* Być ostrożni, bawić się dobrze, ale być ostrożni. *Si?* Uwaga, nikt nie zostać na wyspa. Na wyspa podajemy drinki, a wy nie prowadzić samochodu i dobrze się bawić. Ale uważać i nie zgubić się. *Si?* – informował pasażerów prowadzący motorówkę młody Latynos, przekrzykując huk silnika.

Ktoś zachichotał, rozległ się gwar rozmów. Amber zorientowała się, że Michael Adams siedzi tuż za nią, a inny mężczyzna szepcze mu coś do ucha.

– Mam ci powiedzieć, że jeszcze nie dziś. Zawiadomię cię, jak przyjdzie czas.

– Na pewno nie dziś?

– Na pewno.

Nadstawiła uszu, mając nadzieję, że dowie się czegoś więcej, lecz oni zamilkli.

Tymczasem motorówka przedzierała się przez przybrzeżne płycizny, wznosząc fontanny wodnego pyłu. Członkowie załogi wyskoczyli za burtę i wciągnęli ją na plażę. Amber wysiadła szybko, nie czekając, aż ktoś poda jej rękę, lecz senator Daldrin dogonił ją, zanim zdążyła się oddalić.

– Nie odchodź, Amber, bardzo cię proszę.

Już miała powtórzyć, że wolałaby pobyć trochę sama, kiedy Micheal Adams nieoczekiwanie przyszedł jej z pomocą.

– Zapewniam, senatorze, że dziś nie będzie żadnych niespodzianek. Pannie Larkspur nic na wyspie nie grozi.

Senator rozłożył ręce.

– W takim razie życzę ci miłej samotności.

Ucałowawszy go w policzek, ruszyła brzegiem plaży. Pasażerowie rozchodzili się w różne strony, szukając najdogodniejszych miejsc. Jeśli się nie pospieszy, nie znajdzie nic ustronnego dla siebie.

Upłynął kwadrans, a ona wciąż szła. Większość pasażerów zdążyła rozlokować się na plaży, tylko Amber wędrowała coraz dalej. Mimo nieprzespanej nocy, czuła się wypoczęta i pełna energii. Najchętniej biegłaby przed siebie, aż do ostatecznego zmęczenia. Może wtedy pozbyłaby się niepokoju i napięcia.

Po następnych dziesięciu minutach zwolniła kroku. Jej wędrówka w pełni się opłacała. Pasażerowie statku zostali daleko w tyle, a przed nią rozpościerała się niewielka zaciszna zatoczka osłonięta z jednej strony wydmami, a z drugiej skalnym usypiskiem. Rosnące po bokach krzewy i cherlawe sosenki dostarczały cienia, ale pośrodku rozciągał się spory obszar nasłonecznionej i nieskazitelnie czystej plaży.

Natychmiast odłożyła torbę, zrzuciła z nóg tenisówki, pozbyła się bluzki i wbiegła do morza. Z rozkoszą zanurzyła się w chłodnej jeszcze, odświeżającej wodzie, zanurkowała, po czym długo płynęła kraulem w głąb morza, by potem, płynąc na plecach, zawrócić do brzegu. Płynęła z taką samą determinacją, z jaką wcześniej szła. Dotarłszy do przybrzeżnej płyčizny, wyprostowała się i rozejrzała wokół.

I stwierdziła, że w swoim małym rajku nie jest sama. Michael Adams złożył w nim wizytę. Był w samych kąpielówkach. Amber pierwszy raz ujrzała jego obnażony tors i ramiona. Wyglądał tak, jak sobie wyobrażała. Widać było, iż swojej fizycznej formy nie zawdzięcza siłowni. Świadczyły o tym nie tylko znakomicie rozwinięte mięśnie – jego ciało było poznaczone widocznymi nawet z daleka bliznami.

Długo wpatrywała się w niego, nim zdecydowała się podejść bliżej. Była wściekła. Mijając go, przekonała się, że jej prześladowca ocieka wodą, ale się nie odezwała. Dopiero gdy dotarła do torby i wyjęła ręcznik, odwróciła się do niego.

– Podobno to ja miałam się trzymać od ciebie z daleka! – krzyknęła ze złością. – A tymczasem co? Jakim prawem wdzierasz się na moją plażę?

– Nie nazwałbym tego twoją plażą.

– Ale musiałam przejść kawał drogi, żeby znaleźć to miejsce, i chyba dałam wystarczająco jasno do zrozumienia, że chcę być sama.

– Nie zamierzałem zakłócać twojej samotności, ale pan senator miał w tej sprawie inne zdanie.

– O ile mi wiadomo, masz ochraniać jego, a nie mnie.

– Może nie masz najlepszych informacji.

– Nie wiem, co masz na myśli, ale bądź łaskaw zostawić mnie w spokoju – oświadczyła, wyjmując ręcznik, krem i okulary i układając się na piasku tylko po to, by czymś się zająć i nie pokazać, jak bardzo jest roztrzęsiona.

Popełniła fatalny błąd, oddalając się od reszty pasażerów. Gdyby z nimi została, nie mogłoby dojść do tego niebezpiecznego spotkania w ustronnym miejscu.

– Ale z ciebie nieznośna pannica! – rzekł Michael z irytacją. – Przez to twoje nurkowanie o mało nie dostałem zawału. Bałem się, że toniesz, a ja nie zdążę do ciebie dopłynąć. A ty tymczasem jak gdyby nigdy nic odwracasz się na plecy i najspokojniej płyniesz z powrotem.

Amber usiadła na ręczniku, ze złością zrywając okulary.

– Nie prosiłam, żebyś mnie pilnował.

– Nawet najlepszym pływakom zdarza się utonąć.

– Chciałam być sama.

– A nie pomyślałaś, że komuś może na tobie zależeć? Naprawdę, czuję się jak...

– No jak? Jak się czujesz? Wykrztuś to z siebie!

– Zaraz się dowiesz! – odparł, postępując krok w jej stronę. Amber nie miała pojęcia, jakie ma zamiary, ale wołała się o tym nie przekonywać. Wrzasnąwszy przeraźliwie, wzięła nogi za pas.

Na odludnym odcinku plaży, w tak starannie przez nią samą wybranym ustronnym zakątku, nie było nikogo, kto usłyszałby jej krzyk.

Uciekając co sił w nogach po miękkim piasku, poczuła nagle opasujące ją mocne ręce i runęła jak długa, przygwożdżona do ziemi ciężarem Michaela.

W jednej chwili przewrócił Amber na plecy. Teraz on krzyczał, nazywając ją pozbawioną zdrowego rozsądku, rozkapryszoną jedynaczką, która jeszcze się nie nauczyła, co jest bezpieczne, a co nie.

– Jakoś sobie radziłam przez trzydzieści lat bez twojej pomocy, i nie potrzebuję dobrych rad goryla–wykrztusiła z wściekłością, bezskutecznie usiłując się wyswobodzić z żelaznego uścisku. – Puść mnie, do jasnej cholery!

– Amber, nie próbuj...

Nie kończąc zdania, uwolnił nagle jej ramiona, przeciągnął dłońmi po jej rękach, by na koniec spleść ich palce. Kiedy pochylił się nad nią, wiedziała, że zaraz ją pocałuje, i to dość brutalnie. Ku jej zaskoczeniu usta Michaela delikatnie musnęły jej wargi. Ich pieśczoła przypominała dotknięcie skrzydeł motyla. Była w jego pocałunku nieskończona czułość, która przejęła ją do głębi. Złość i strach wyparowały w jednej chwili. Gdy zarzuciła mu ręce na szyję, Michael westchnął cicho i oboje przetoczyli się po piasku.

– To nie powinno się zdarzyć – usłyszała jego szept.

Ma rację, to nie powinno się zdarzyć. Wiedziała, że wkracza na zakazany teren, ale nie potrafiła się już cofnąć. Jej palce wędrowały po szyi i ramionach Michaela. Spojrzeli sobie prosto w oczy i wyczytali w nich obustronne przyzwolenie.

– Nie mogę ci nic obiecać, zrozum. Nie mam nic do dania – powiedział przez ściśnięte gardło.

Co miała na to powiedzieć? W tej chwili była w stanie jedynie ulec zmysłom. Jej ciało przylgnęło do niego, a on, jakby w oczekiwaniu na taką



odpowieź, zaczął pokrywać pocałunkami jej szyję, piersi i brzuch. Nie miało znaczenia, że z nieba leje się żar, a ich mokre ciała oblepia chrzęszczący piasek. Pieszczoty Michaela stawały się coraz bardziej gorączkowe.

Był nadal czuły, lecz Amber odgadywała, że bez wahania zmierza do celu. Osunął się jeszcze niżej, wodząc rękami po jej biodrach i udach, niecierpliwym ruchem ściągając dolną część jej kostiumu. Kiedy uniósł się na łokciu, zdejmując kąpielówki, sądziła, że zaraz ją weźmie. Czekwała na to z utęsknieniem. On jednak długo zwlekał, pieszcząc ją i całując. Połączył się z nią, dopiero gdy zaczęła krzyczeć, nie mogąc dłużej znieść oczekiwania.

Nadal słyszała szum fal uderzających o brzeg i głosy ptaków na drzewach, choć nie była pewna, czy z ich głosami nie mieszają się jej własne krzyki. Rozkosz, jaką przeżywała, przeszła wszelkie oczekiwania. Nigdy w życiu nie doznała czegoś podobnego. Siła jego namiętności przenosiła ją w inny wymiar. Odbierała zdolność myślenia. Wynosiła na najwyższe szczyty. A potem z jej gardła wydobył się krzyk i znowu zdała sobie sprawę, że świeci słońce, od morza wieje lekki wiatr, a wokół rozciąga się plaża.

Bardzo długo leżeli obok siebie w milczeniu. Nagle Amber zrobiło się głupio. Zmieszana i skrepowana usiadła na piasku, zasłaniając się rękami i szukając kostiumu.

– O co ci chodzi? – zdziwił się Michael. Usiadł i pogłaskał ją delikatnie po policzku. – Jesteś zbyt piękna, żeby zachowywać się w ten sposób – dodał lekko karcącym tonem.

Nie była pewna, czy bardziej czuje się urażona, czy po prostu zła. Podniosła się na nogi, nie próbując ukrywać swej nagości. Na to było już za

późno. Stało się i nic tego nie odwróci. Podniósłszy porzucone części kostiumu, ruszyła ku morzu. Michael jednak dogonił ją i zatrzymał.

– Dlaczego jesteś zmieszana? To nie ma sensu. Jesteś piękna i namiętna. Jesteś cudowna. Zbyt cudowna. I zbyt... niewinna.

– Skończyłeś już?

– Przepraszam, Amber. Przecież powiedziałem, że nie mogę ci nic dać.

– Skąd ci przyszło do głowy, że czegoś od ciebie oczekuję?

Zacisnął wargi.

– Rozumiem – odparł. – Po prostu szukałaś urozmaicenia. Niezobowiązującej przygody bez zaangażowania. Nieważne, z kim.

Cała złość nagle z niej wyparowała.

– Nie szukałam przygody – odparła, patrząc mu w twarz. – Pragnęłam ciebie.

Powiedziawszy to, puściła się biegiem w kierunku morza, pragnąc zanurzyć się jak najszybciej w chłodnej wodzie.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Patrzył na nią jak zaczarowany. Fascynowały go jej ruchy, wyniosła sylwetka, proste ramiona, długa szyja. Czuł, że gdy na nią patrzy, wstępuje w niego nowe życie. Zaklął ze złością. Miał ochotę wytargać się za uszy, co, oczywiście, niczego by nie zmieniło.

W niczym nie przypominała Soni, która była drobna, ale miała bujne kształty, ciemne kręcone włosy i czarne oczy. Amber Larkspur była wysoką, smukłą blondynką, której oczy bywały czasem szaroniebieskie, czasem zielone, a niekiedy niebieskozielone. Wiedział od pierwszej chwili, że za żadne skarby nie powinien był się do niej zbliżać.

A jednak to zrobił. Nie tylko postąpił karygodnie, ale dopuścił się zdrady wobec Soni. Czuł się tak, jakby zapomniał o ich miłości. Dopiero teraz, chociaż miewał już wcześniej inne kobiety. To prawda, ale tamtych było wiele, a Amber jest tylko jedna. Żadnej nie pragnął aż tak mocno.

I żadna nie dała mu aż tyle szczęścia. Od początku wiedział, jaka będzie: czuła, namiętna, poddająca się rozkoszy. Od pierwszej chwili, gdy ją ujrzał, zachwyciła go jej uroda, lecz to nie uroda najbardziej go w niej pociągała. Na świecie nie brakuje pięknych kobiet. Podobał mu się uśmiech, jakim zareagowała na rozdokazywane dzieci, lubił dźwięk jej głosu, gdy się śmiała. Najbardziej jednak podobało mu się w niej to, że w każdej sytuacji potrafiła śmiało spojrzeć mu w oczy. Cokolwiek powiedział, wysłuchiwała go z uwagą i odpowiadała czasem wyzywająco, ale zawsze szczerze; nie była potulna i niczego nie udawała.

Amber zdążyła tymczasem odpłynąć daleko od brzegu. Może pragnie w morskiej wodzie zmyć z siebie wspomnienie ich płomiennego aktu. Lecz

jej porzucony kostium leżał na piasku, a spod wody raz po raz wychylały się jej piersi i pośladki, a w nim na nowo narastało pożądanie. Ani poczucie winy wobec Soni, ani świadomość własnego położenia nie były w stanie zapanować nad podnieceniem. Wiedział, że nie powinien mu ulec. Za kilka dni odejdzie z jej życia. Zniknie ze statku razem z porywaczami i z Daldrinem i nigdy więcej się nie zobaczą. Nie będzie mógł do niej wrócić, gdyż człowiekowi, który żyje z bronią w ręku i w każdej chwili może zginąć, nie wolno podejmować zwykłych ludzkich zobowiązań. Kiedyś to mu nie wystarczało; oczekiwał od życia o wiele więcej. Ale to już przeszłość. Przeszłość, która odeszła wraz ze śmiercią Soni.

Dzisiaj żyje w niepewności, starając się dowiedzieć jak najwięcej o płynących „Alexandrią” ludziach Alego Abdula, wiedząc, iż wciąż nie do końca mu ufają i mają go na oku. O terminie porwania Daldrina dowie się w ostatniej chwili. Do ostatniego momentu będzie żył w napięciu. A ten moment niebawem nadejdzie. Jednak jeszcze nie dziś.

Obserwując pływającą w morzu kobietę, powtarzał sobie, że jego serce należy do innej, tej, której już nie ma. Nie może Amber niczego zaofiarować, nie miał prawa się z nią kochać, i postąpi niegodnie, jeśli znowu spróbuje się do niej zbliżyć.

Niemniej nogi niejako same niosły go w kierunku wody. Amber nie jest dzieckiem, a on uczciwie postawił sprawę, nie zwodził jej czczymi obietnicami. Ona też była z nim szczerą. Coś się między nimi nawiązało. Pragnęła go, a ich zbliżenie było zbyt prawdziwe i zbyt piękne, aby uważać je za wyłącznie złe.

Przybrzeżna fala obmyła mu stopy. Wchodził coraz głębiej w morze, a kiedy woda sięgnęła mu ramion, odbił się od dna i popłynął. Amber, która unosiła się na powierzchni, usłyszawszy go, stanęła w wodzie, która w tym

miejscu do połowy okrywała jej piersi. Stali przez długą chwilę, patrząc na siebie. Wreszcie na twarzy Amber pojawił się lekki uśmiech.

– Chyba nie potrafimy trzymać się od siebie z daleka.

– Na to wygląda – odparł.

Amber podniosła ręce, by odgarnąć mokre włosy z czoła, i jednocześnie jej piersi wynurzyły się z wody.

– Powiedziałaś, że chciałaś się ze mną kochać.

– Jego samego zaskoczyła czułość, jaką usłyszał we własnym głosie. – Ze mną, a nie po prostu z kimś. I nie dlatego, że akurat byłem pod ręką, ale ponieważ między nami, odkąd się poznaliśmy... nawiązało się... uczucie.

– Nie powiedziałam aż tyle, ale masz rację – odparła cicho. – To właśnie miałam na myśli.

– Chodź do mnie – poprosił. Sądził, że go nie posłucha.

Mylił się. Podeszła do niego, pokonując opór wody. Adam chwycił ją w ramiona i zaczął całować. Smak ust Amber mieszał się ze smakiem słonej morskiej wody. Przytulił ją jeszcze mocniej, a jego pocałunki stawały się coraz gorętsze.

– Pragnę cię – wyszeptał, podnosząc głowę.

– Tutaj? – spytała cicho.

– Tak, tutaj. Nie wychodząc z morza. – Jego ręka powędrowała w dół, muskając wnętrze jej ud. – Natychmiast. Teraz i tutaj. Chodź.

Obiema rękami podniósł ją za pośladki i posadził na swoich biodrach. Kochali się w wodzie, która pluskała wokół nich, coraz szybciej i coraz gwałtowniej. Siedziała na nim z odrzuconą do tyłu głową, jej piersi dotykały jego torsu, podniecając go do szaleństwa. W szczytowym momencie z gardła Amber wydarł się głośny okrzyk, jeszcze raz kurczowo oplotła go nogami, po czym jej głowa opadła bezwładnie na jego ramię.

Trzymał ją w objęciach nieskończenie długo. W końcu Amber podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

– Powinniśmy się ubrać. W końcu nie jesteśmy na prywatnej plaży.

Skinąwszy głowę, ostrożnie postawił ją w wodzie. Szybkimi ruchami popłynęła do brzegu, on jednak stał dalej i patrzył, jak wychodzi na piasek i wkłada kostium. Potem wyprostowała się, wypatrując czegoś na plaży, podniosła jego kąpielówki i zeszła na skraj wody. W jej ruchach był całkowity spokój i opanowanie, nie okazywała ani śladu wstydu czy skrępowania.

– Senator tu idzie – oznajmiła, rzucając mu kąpielówki.

Daldrin. Ciekawe, co by sobie pomyślał, gdyby zjawił się parę minut wcześniej? – przemknęło Adamowi przez głowę. Wciągnąwszy kąpielówki, wyszedł na brzeg.

– No, nareszcie was znalazłem. – W głosie Daldrina brzmiała ulga, jakby nieobecność Amber i jego ochroniarza trwała nie wiedzieć jak długo.

– Ależ senatorze, nic złego nie mogło mi się przytrafić – zaprotestowała Amber. – Byłam przecież pod opieką pana Adamsa, któremu pan sam polecił, aby się mną opiekował.

– W pewnym sensie tak – przyznał Daldrin.

– Jesteśmy oboje cali i zdrowi.

– Bardzo mnie to cieszy, ale trzeba wracać. Na plaży rozstawiają grill, za chwilę będzie lunch. I będzie grał zespół kalipso. Aha, i podadzą znakomite koktajle z rumem. – Senator podał Amber rękę, a ona ruszyła z nim, nie oglądając się za siebie.

Senator jednak obejrzał się przez ramię i z nieskrywanym zdziwieniem przyjrzał się swemu ochroniarzowi.

Adam ruszył za nimi w milczeniu. Nie bardzo rozumiał, co mogło senatora aż tak bardzo zaskoczyć. Dla niego wszystko było jasne i oczywiste.

Jedli hamburgery, hot dogi i popijali rumowe koktajle.

Amber dziwiła się samej sobie. Nie dalej jak pół godziny temu jej życie fiknęło gigantycznego koziołka, a ona tymczasem siedzi jak gdyby nigdy nic na kocu w towarzystwie Daldrina i prowadzi błahe rozmowy, zamiast rozpamiętywać swoją winę. Na to jednak nie miała najmniejszej ochoty.

Michael Adams trzymał się z boku. Nie mogła odgadnąć, co sobie myśli, bo ukrył oczy za ciemnymi okularami.

Czuła jednak, że ją obserwuje. Ją i senatora. Od czasu do czasu włączał się do ogólnej rozmowy. Zorientowała się, że dobrze zna Szwajcarię i Austrię, a także świetnie się orientuje w historii Anglii. Ilekroć się odezwał, przechodził ją zimny dreszcz. Zakochała się w człowieku, który był dla niej zagadką.

Długo siedzieli na plaży, podziwiając niewiarygodnie piękny zachód słońca. Wydawało się, że są sami na świecie. Oprócz cichej, jakby melancholijnej wyspy i widocznego w oddali statku nic nie mąciło spokoju ciągnącego się po horyzont morza. Amber czuła, że nigdy nie zapomni tego dnia ani tej wyspy.

Na statek wrócili tuż przed kolacją, lecz Amber nie była głodna. Zamiast wieczorowej sukni, po wzięciu prysznicą włożyła nocną koszulę, wsunęła się do łóżka i zaczęła się nad sobą zastanawiać. Na samo wspomnienie Michaela zrobiło się jej gorąco.

Nie czuła jednak wstydu. Nie obchodziło jej, kim jest jej kochanek i czym się zajmuje. Wszystkie wcześniejsze spięcia między nimi prowadziły



w naturalny sposób do tego, co dzisiaj się zdarzyło. A to, co się zdarzyło, było wspaniałe. Oby tylko nie pomyślał, że zrezygnowała z kolacji z zażenowania. Po prostu po tak burzliwym dniu czuła nieprzepartą potrzebę spotkania się z samą sobą, aby jeszcze raz przeżyć w myślach ich zbliżenie.

Zapadła noc, ale sen nie przychodził. Amber wstała, włożyła pierwszą lepszą sukienkę i wymknęła się z kabiny. Dotarłszy na pokład, zaszyła się w ciemnym kącie w cieniu łodzi ratunkowych.

Noc była czarna choć oko wykol. W absolutnej ciszy słyhać było tylko plusk wody i dalekie, przytłumione dźwięki grającej w salonie kapeli. Nagle zza zasłony chmur wychynał księżyc i posrebrzył powierzchnię wody delikatną poświatą.

Amber myślała o tym, że powinna się zastanowić nad swoją przyszłością. I powinna sprawdzić, co dzieje się z Peterem. Od wielu lat była zawsze do jego dyspozycji, a to był błąd. Ich związek nie rozpadł się z braku uczuć; byli oboje głęboko zaangażowani. Jej główny błąd polegał na tym, że zamiast pozwolić Peterowi stanąć na nogi o własnych siłach, była zawsze gotowa pomóc mu wydzwignąć się z nękających go depresji. Może teraz nauczy się samodzielności i spożytkuje w pełni swoje możliwości. Czy to prawda, że jeszcze niedawno czekała, aby przyjechał po nią do Waszyngtonu? Chyba tak. Jej marzenie o domu i dzieciach nie było snem. Było realne i bardzo silne. Tyle że teraz sama już nie wiedziała, czego pragnie.

Widocznie jej miłość do Petera nie była tak mocna, jak sądziła. W przeciwnym razie spotkany przygodnie mężczyzna nie wzbudziłby w jej sercu tak gwałtownych uczuć. I nie kochałaby się z nim z takim zapamiętaniem. Ani nie tęskniła tak bardzo za pieczątką jego ciała.

Usłyszawszy jakieś odgłosy, rozejrzała się dokoła. W sylwetce mężczyzny w białym ubraniu rozpoznała senatora Daldrina. Z papierosem w ręku przystanął niedaleko od niej, spoglądając w morze. Widocznie on również łaknął samotności.

Amber skryła się dokładniej w cieniu, aby swoją obecnością nie zakłócić mu spokoju. Jednakże od strony dziobu dobiegł ją kolejny szmer i zdała sobie sprawę, że oprócz niej i Daldrina na pokładzie jest ktoś jeszcze. To Michael Adams stał w ciemnościach, zapewne obserwując senatora. A może ją.

Dostrzegłszy Amber, nie wycofał się ani nie udał, że jej nie widzi.

– Dobry wieczór, Amber.

– Dobry wieczór – odrzekła.

Zadrżała, czując chłodny powiew wiatru. Jej tajemniczy kochanek nadal stał na pokładzie, kiedy podeszła na palcach do schodów i zbiegła pod pokład.

*Nassau 14 czerwca*

Ubrana w biały strój do złudzenia przypominający kostium tenisistki, z wielkim jak młyńskie koło słomkowym kapeluszu na głowie i gigantyczną torbą w ręku, Myra była gotowa do wyjścia.

– Zamierzam robić zakupy do upadłego oświadczyła. – Przyłączysz się?

– Owszem – odparła Amber z uśmiechem. – Ale ostrzegam, że zakupy szybko mnie męczą. Wytrzymam najwyżej do lunchu, a potem wracam na statek. Dobrze?

– Nie ma sprawy. W końcu jesteśmy na wakacjach.

Statek miał wkrótce zawinąć do portu. Czekając, aż to nastąpi, udały się do zainstalowanego na podkładzie bufetu, gdzie podawano śniadanie.

– Przed wyprawą na zakupy warto się posilić – oznajmiła Myra, napełniając swój talerz po brzegi.

Amber skinęła głową, lecz zadowolona się filiżanką kawy. Znalazły sobie wolny stolik, przy którym Myra rzuciła się ze smakiem na jedzenie, jednocześnie przypatrując się uważnie przyjacielce.

– Za kim się rozglądasz?

– Słucham?

– Pytałam, kogo szukasz.

– Nikogo.

– Czyżby?

– Oczywiście. Po prostu obserwuję współpasażerów. Lubię przypatrywać się ludziom. Interesują mnie.

– Ludzie w ogóle, czy ktoś w szczególności? Nie rozglądasz się przypadkiem za tajemniczym panem Adamsem?

– Nie. Skąd ci to przyszło do głowy?

– Bo podczas wczorajszej kolacji miałam wrażenie, że mu ciebie brakowało. Oczywiście nie okazywał tego, ale ja mam dobre oko. To dziwny facet, na pozór zimny jak lód, ale dałabym głowę, że w środku pali się ogień. Bardzo interesujący. Nie mów mi, że nie zwróciłaś na niego uwagi.

– Rzeczywiście, jest interesujący – przyznała Amber. – Senator Daldrin musi się przy nim czuć bezpiecznie.

– Trudno, żeby nie czuł się bezpiecznie. Statek aż roi się od agentów.

– Naprawdę?

– To jasne. W końcu Daldrin ma poważne szanse zostać za osiem lat prezydentem. To jeden z najważniejszych ludzi w Senacie. Prawdziwy

wieloryb w morzu pełnym grubych ryb. Chyba nie muszę ci tłumaczyć, co z tego wynika.

– Wiem oczywiście, że jest szczególnie chroniony – w zamyśleniu odparła Amber, przypomniawszy sobie człowieka, z którym Michael Adams rozmawiał wczoraj w łodzi, kiedy płynęli na wyspę. Czy on też należał do ochrony?

Myra starannie wytarła usta serwetką, po czym wyjęła puderniczkę i poprawiła makijaż.

– Ruszamy? – spytała z zachęcającym uśmiechem.

– Jasne.

Ani rano na pokładzie, ani przy schodzeniu na ląd, ani podczas wędrówki po sklepach nie natknęły się na Michaela. Amber kupiła ciekawą rzeźbę dla ojca, a dla jego gospodyni i siebie po flakonie perfum. Myra natomiast niezmiernie zapełniała swą przepastną torbę wyrobami ze słomy i wszelkiego rodzaju miejscowymi pamiątkami. Nabyła też wielką glinianą fajkę z figurką ryczącego niedźwiedzia.

– Mój mąż będzie nią zachwycony – oświadczyła, uprzedzając krytykę przyjaciółki.

– Ja nic nie mówiłam.

Około dwunastej uznały, że czas pomyśleć o lunchu. Zastanawiając się, dokąd pójść, usłyszały za sobą warkot kilku motorowerów i gwałtownie się odwróciły. Ku ich zdziwieniu na pierwszym motorowerze jechał senator Daldrin, tuż za nim podążał Michael, a w tyle grupa mężczyzn. Pewnie ochroniarzy.

– Nie macie ochoty na lunch? – spytał Daldrin. – A może już jadłyście?

– Nie, umieramy z głodu – odparła Myra. – Ma pan coś konkretnego na myśli?

– Znam pewną małą knajpkę kawałek stąd. Parę lat temu jadaliliśmy w niej z Katherine.

Amber wiedziała, że senator nadal ciężko przeżywa śmierć żony, zmarłej przed dwoma laty. Pewnie na jej cześć chce odwiedzić restaurację, w której kiedyś bywali.

– Jeśli to daleko, to jak tam dotrzemy? – zapytała Myra.

– Wsiadaj na siodelko!

– Za panem? – z niedowierzaniem upewniła się Myra.

– Czemu nie? Nie bój się, jestem specem od jazdy na motorowerze. A ty, Amber, wsiadaj z Michaeliem. Jazda zajmie najwyżej parę minut.

Nieco więcej czasu zajęło usadowienie na siodelku Myry i rozmieszczenie jej sprawunków. Amber jechała z Michaeliem, obejmując go rękami w pasie.

Kiedy ruszyli i wiatr rozwiął jej włosy, przytuliła się, kryjąc twarz za jego plecami.

– Jak ci się jedzie? – wykrzyknął.

– Znakomicie! – odkrzyknęła.

Rzeczywiście czuła się świetnie, z lubością wdychała zapach jego skóry. Niestety jazda trwała o wiele za krótko. Zanim się obejrzała, byli na miejscu. Znaleźli się przed byle jak skleconą drewnianą szopą.

– Wygląda skromnie, ale podają tu najlepszą zupę żółwiową na świecie – zapewnił Daldrin, prowadząc Myrę do środka. Amber z Michaeliem podążyli za nimi.

Usiedli na drewnianych ławach. Amber zamówiła duszone owoce morza i przyrzekła senatorowi skosztować jego żółwiowej zupy. W

oczekiwaniu na jedzenie popijali miejscowe wino, rozkoszując się miłą atmosferą leniwego spokoju.

Rozmowa toczyła się wokół egzotycznych potraw z różnych stron świata, a następnie zeszła na teatr. Amber niewiele się odzywała. Obserwując z upodobaniem silne ręce Michaela, przypomniła sobie, co czuła, kiedy wędrowały po jej ciele.

– A ty? – usłyszała raptem pytanie Myry.

– Co ja? – spytała spłoszona.

– Widziałaś „Żółte róże”?

– Nie, co to takiego?

– Eksperymentalne przedstawienie wystawione poza Broadwayem. Fantastyczne, naprawdę fantastyczne. Michael też je widział. Gra w nim jego znajoma.

Amber zerknęła na Michaela.

– Tak, byłem na przedstawieniu. Znam jedną z aktorek – odparł.

Podczas gry Myra rozwodziła się nad sztuką, Amber patrzyła na Michaela, który robił wrażenie dziwnie skrepowanego. Trochę się zdziwiła, ale uznała, że chyba ponosi ją wyobraźnia.

Po lunchu panowie odwieźli Amber i Myrę na statek, a sami pojechali oddać wypożyczone motorowery. Amber przebrała się w kostium kąpielowy i poszła na basen.

Michael pojawił się tam późnym popołudniem, lecz nie podszedł do niej, tylko położył się na leżaku po drugiej stronie. Raz wszedł na chwilę do wody, poza tym prawie się nie ruszał, i chociaż nie zdejmował ciemnych okularów, Amber była przekonana, że przez cały czas obserwuje senatora Daldrina. I ją pewnie też.

O zachodzie słońca znikł bez słowa. Amber wróciła do kabiny trochę tym rozczarowana. Wzięła chłodny prysznic, pomalowała sobie paznokcie, w końcu włożyła elegancką koktajlową sukienkę i wyszła na poszukiwanie znajomych. Zanim zdążyła dojść do końca korytarza, usłyszała za sobą szcęk otwieranych drzwi, a kiedy się obejrzała, na progu kabiny zobaczyła owiniętego ręcznikiem Michaela.

– Cześć!

– Cześć! – odparła, mierząc go zdziwionym wzrokiem.

– Pasz się zaprosić? – zapytał, po czym, nie czekając na odpowiedź, wciągnął ją szybko do kabiny i zatrzasnął drzwi.

Objął ją, nie natrafiając na opór. Wprawnym ruchem rozpiął błyskawiczny zamek i zsunął z jej ramion czarną suknię, która opadła na ziemię.

Michael aż cofnął się z wrażenia. W skąpej czarnej bieliźnie, czarnych pończochach i pantoflach na wysokim obcasie Amber wyglądała jak uosobienie erotyzmu. Dopiero po chwili ukląkł przed nią i drżącymi rękami zaczął pieścić jej ciało. Zaraz jednak wstał, ich usta się spotkały, a w chwilę później padli razem na łóżko, gdzie Michael niecierpliwymi ruchami zerwał z niej bieliznę i pończochy. Amber krzyknęła, kiedy jego usta sięgnęły miejsca między jej udami. Chwyciła go za włosy i przyciągnęła ku sobie. Michael stracił poczucie czasu.

Należałoby się pewnie ubrać i pójść do jadalni na kolację, pomyślał później, kiedy nieco oprzytomniał i powrócił do rzeczywistości. Cóż, kiedy nie chciało mu się ruszyć.

– Michael?

Zatopiony w błogim rozmarzeniu, w pierwszej chwili nie zareagował na przybrane imię.



– Michael? – powtórzyła Amber, podnosząc się na łokciu i zaglądając mu w twarz. Jasne włosy tworzyły wokół jej głowy świetlistą aureolę. – Możesz mi powiedzieć, skąd pochodzisz?

– Skąd pochodzę? Zewsząd i znikąd.

Po chwili również podparł się na łokciu i patrząc na nią, zapytał:

– Więc to nie jest przygoda? Ale jak to możliwe, żeby tak piękna kobieta była sama? – Napotkawszy jej szczere spojrzenie, zawstydził się swojej tajemniczości.

– Do niedawna nie byłam sama. Byliśmy zaręczeni. Mieszkałam z nim w Atlancie, pracowałam w redakcji. Ale... odeszłam.

– Dlaczego?

– Bo straciłam nadzieję, że nasz związek spełni moje oczekiwania. – Zamyśliła się. – Byliśmy zaręczeni bardzo długo, ale nigdy nie udało się nawet ustalić daty ślubu. Pragnęłam mieć dzieci, a Peter... on uważał, że nie może skazywać dzieci na życie w dzisiejszym świecie, a poza tym bał się, czy wojna nie zostawiła w nim zbyt głębokich śladów. Może po prostu nie dojrzał jeszcze do posiadania dzieci.

– Kochałaś go?

– Tak.

– A co byś zrobiła, gdyby zmienił zdanie?

– Sama nie wiem. Tamto wszystko wydaje mi się takie dalekie, odkąd ty się pojawiłeś. Skąd jesteś? Kiedy wspomniałeś o znajomej aktorce, pomyślałam, że pochodzisz z Nowego Jorku, chociaż nie masz nowojorskiego akcentu. Ani nosowej wymowy ludzi ze środkowego zachodu. I nie przeciągasz samogłosek, jak południowcy. Więc co, Kalifornia?

Michael podniósł jej rękę do ust.

– Nie zadawaj zbyt wielu pytań. Już ci powiedziałem, jestem zewsząd i znikąd.

– Angielski nie jest twoim pierwszym językiem, prawda?

Pytanie przestraszyło go. Skąd jej to przyszło do głowy? Zawsze mu się wydawało, że mówi jak rodowity Amerykanin.

– Oczywiście, że jest – skłamał. – Ostrzegałem cię, Amber, że nie mam ci nic do zaoferowania. I nie zadawaj mi więcej osobistych pytań.

Przymknęła oczy. Czuł, że ją uraził, i było mu przykro. Sam jest sobie winien. Po co się do niej zbliżał? Musi się mieć przed nią na baczności. Przy swojej inteligencji i intuicji mogłaby odkryć jego sekret, a do tego nie może dopuścić. Nie powinien spotykać się z Amber na osobności. Cóż, kiedy jej bliskość przywracała mu życie i leczyła duszę.

– A o czym mogę z tobą rozmawiać? – spytała cicho.

Pochylił się i odgarnął włosy z jej twarzy.

– Na przykład o Paryżu – odparł z czułym uśmiechem. – O Paryżu latem, wiosną, zimą albo jesienią. I o tym, jak wygląda Kapitol o zachodzie słońca.

– Lubisz Waszyngton?

– Bardzo.

– A Wirginię?

– O tak. Uwielbiam pejzaż Wirginii. Nie ma chyba piękniejszych miejsc na świecie. Chociaż nie. Jest jedno miejsce jeszcze piękniejsze.

– Jakie?

– Wczorajsza plaża. Plaża, na której wziąłem cię w ramiona. Na której kochaliśmy się po raz pierwszy. – Tak, kochał się z nią. Po raz pierwszy od lat naprawdę kochał się z kobietą.

Wybacz mi, Soniu, pomyślał, choć wiedział przecież, że ona dawno by mu wybaczyła. To on nie potrafił sobie wybaczyć, nie potrafił się rozgrzeszyć. Być może rzucone Szwadronowi Śmierci wyzwanie uwolni go w końcu od poczucia winy.

– Ale późno! – zawołała nagle Amber, spoglądając na zegarek. – Od dziesięciu minut podają kolację. – Zerwała się z łóżka i zaczęła zbierać bieliznę. Po chwili okazało się, że ma trudności z zapięciem stanika.

– Pomogę ci – zaproponował, ale gdy tylko jej dotknął, palce zaczęły mu drżeć tak mocno, że zmienił zamiar. – Może jednak nie. Nie wiadomo, jak by się to skończyło – mruknął.

Amber uśmiechnęła się. Michael pocałował ją szybko i sięgnął do szuflady po koszulę. Przed wyjściem z kabiny sprawdzili nawzajem swój wygląd, niby para psotnych uczniów, po czym pospieszyli w kierunku schodów. Michael zatrzymał się przed wejściem do jadalni.

– Może wolisz wejść sama? – zapytał.

– Ja nie, chyba że ty. Pokręcił głową, niemniej spytał:

– Wiesz pewnie, że twój ojciec nie życzył sobie kontaktów między nami?

– Tak, wiem. Czy możesz mi wyjaśnić, dlaczego?

– Nie.

Przez chwilę patrzyła mu w oczy.

– W porządku, wierzę ci. Ale i tak chcę wejść z tobą.

Michael wziął ją z uśmiechem pod rękę.

Na jej widok panowie podnieśli się z krzeseł. Amber przeprosiła za spóźnienie, nie podając przyczyny. Nie zamierzała się przed nikim tłumaczyć. Myra zauważyła uprzejmie, że podczas przyjemnościowego rejsu nie ma potrzeby trzymać się ściśle godzin posiłków, a senator

skwitował jej uwagę uśmiechem. Niemniej Amber odniosła wrażenie, że przyjrzał się jej i Michaelowi z pewnym zaniepokojeniem.

Po kolacji towarzystwo udało się do kasyna. Senator uwielbiał hazard, ale jako wytrawny dyplomata grał bardzo spokojnie, aby nie narazić się na zarzut ekstrawagancji.

Michael Adams okazał się mniej rozważny. Obstawiał dosyć wysoko, zachowując kamienny wyraz twarzy niezależnie od tego, czy wygrywał, czy przegrywał. Częściej jednak wygrywał.

Amber wymknęła się na pokład, zanim Michael odszedł od stołu gry. Chciała ze swego ulubionego miejsca w cieniu łodzi ratunkowych popatrzeć na morze.

Parę minut później zorientowała się, iż senator Daldrin również wyszedł na samotny spacer po pokładzie.

Michaela nie było widać, ale Amber podejrzewała, że musi być gdzieś w pobliżu. Istotnie w chwilę po pojawieniu się Daldrina znowu usłyszała czyjeś kroki i ukryła się w cieniu. Zobaczyła, jak Michael podchodzi do senatora.

– Masz nowe wiadomości? – zagadnął ten ostatni.

– Nie, nadal nic.

Wiedziała, że nie powinna podsłuchiwać, lecz jakiś instynkt kazał jej nie ujawniać swojej obecności.

– Co się dzieje między tobą a Amber Larkspur? Nie widziała jego twarzy, ale była pewna, że

Michael zmarszczył brwi. I na pewno chłodnym spojrzeniem ostrzega senatora, aby nie wtrącał się w nie swoje sprawy.

– Pozwolę sobie zauważyć, że to pan, senatorze, zlecił mi dbać o bezpieczeństwo panny Larkspur.

- Tak, ja. Ale nie miałem na myśli...
- Czego, jeśli wolno zapytać?
- Nie wiem. Myślałem, że ty mi wyjaśnisz.
- Z całym szacunkiem, panie senatorze, ale to wyłącznie moja sprawa.

Moja i Amber.

Senator długo nic nie mówił.

– Jestem do niej bardzo przywiązany – odezwał się wreszcie. – I wiem, ile znaczy dla Teda. Nie chcę, żeby spotkało ją coś złego.

– Ani ja.

Amber poruszyła się i niechcący zawadziła o jedną z łodzi. Obaj mężczyźni odwrócili głowy. Wyszła więc z cienia, niepewna, czy ma się przyznać, że słyszała ich rozmowę. Nie powinna była podsłuchiwać, lecz i oni nie mieli prawa wtrącać się w jej życie. Nie, nie przyzna się.

– Co za spotkanie! – powiedziała z uśmiechem.

– Czyż nie cudowna noc?

– Bardzo piękna – przyznał Ian Daldrin.

– Szkoda, że tak mało osób ma okazję ją podziwiać. Mam wrażenie, że tylko my troje pojawiajemy się wieczorami na pokładzie.

– I niech tak zostanie – roześmiał się Daldrin.

– Co byś powiedziała na mały kieliszek przed snem? A ty, Michael?

– Czemu nie? – odparła po krótkim zastanowieniu.

Wybrali mieszczący się w najwyższej części statku bar „Pod Gwiazdami”. Na ostatnim odcinku schodów Daldrin wyprzedził Amber, a ona odwróciła się i przystanąła, zdając sobie sprawę, że nie słyszy za sobą kroków Michaela. Stał na pokładzie, zajęty rozmową z jednym z członków załogi. Zeszła parę stopni w dół.

– Jutro późnym wieczorem – dotarły do jej uszu słowa marynarza, wypowiedziane z obcym akcentem. Załoga statku składała się z ludzi rozmaitego pochodzenia.

– Na pewno? – zapytał Michael.

Marynarz odpowiedział w nieznanym Amber języku, ale Michael najwyraźniej go rozumiał. Wymieniwszy jeszcze jedno czy dwa zdania, ruszył w kierunku schodów.

– Co tu robisz? – spytał zirytowany.

– Czekam na ciebie.

– No to chodźmy!

– Senator pewnie się dziwi, co się z nami stało.

Weszli po schodach na górę, ale przed drzwiami baru Michael nagle zastąpił jej drogę.

– Co usłyszałaś? – zapytał.

– Nic.

– Nieprawda.

Amber odrzuciła włosy do tyłu.

– Fakt. Coś usłyszałam. Co będzie jutro późnym wieczorem?

– Umówiłem się na pokera. Bez ciebie. W całkiem innym towarzystwie. Jasne? – odparł, zaciskając palce na jej ramieniu.

– Przestań, boli! Można by pomyśleć, że to jakaś tajemnica wagi państwowej. Nie bój się, nie powiem nikomu o pokerze z marynarzami.

– Przepraszam – odparł, opuszczając rękę. – Wolę, żeby nikt o tym nie wiedział.

– Chyba przesadzasz.

– Po prostu tak wolę. Wystarczy?

Czy to ten sam człowiek, który jeszcze niedawno okazywał jej czułość? Teraz miał w oczach lód, a w głosie stalową bezwzględność. Odwróciła się bez słowa. Był trudnym i chyba niebezpiecznym kochankiem, ale sama go wybrała. Na razie jednak woli z nim nie rozmawiać.

Pchnęła drzwi baru i weszła do środka.

Senator Daldrin zdążył wybrać stolik, z którego rozciągał się cudowny widok na nocne niebo oraz morze. W dali migotały światła innego pasażerskiego statku.

– Co was zatrzymało? – zapytał senator.

– Spotkałem stewarda, który chciał mi powiedzieć, że odnalazł moją zgubioną spinkę od mankietu.

Amber była zaskoczona łatwością, z jaką Michael skłamał, patrząc Daldrinowi prosto w oczy.

– No proszę, co za obowiązkowy steward! – uśmiechnął się senator, po czym wezwał kelnerkę. Zamówił dla siebie koniak, Amber wybrała likier miętowy, a Michael szkocką bez wody. Senator wyjrzał przez okno, skąd widać było niebo. – Jutro księżyc będzie nadal prawie w pełni.

– Tak – zgodził się Michael. – Jutro w nocy księżyc będzie nadal w pełni.

Senator lekko się wzdrygnął. Amber odniosła wrażenie, że między nim a Michałem nastąpiło jakieś tajemne, całkowicie dla niej niepojęte porozumienie.

Kiedy podano drinki, Daldrin wznosił toast:

– Za wspaniałe morskie rejsy, za wolność, nocne morze i księżyc w pełni!



Amber i Michael podnieśli kieliszki. Senator był posepny, natomiast Michael nie okazywał specjalnych emocji ani w barze, ani kiedy po wypiciu drinków odprowadzał Amber do jej kabiny. Przed drzwiami ujął jej dłonie.

– Dobranoc, Amber – powiedział.

Mruknąwszy coś pod nosem, podniósł jej rękę do ust, a potem chwycił ją w ramiona i zaczął całować tak gorąco, że zabrakło jej tchu. Pragnęła równocześnie, aby pocałunek nigdy się nie skończył. On jednak równie gwałtownie wypuścił ją z ramion, pogłaskał po policzku, odwrócił się na pięcie i odszedł.

*Montego Bay, Jamajka 15 czerwca*

Nazajutrz rano Amber nie spotkała Michaela ani senatora. Razem z Josie i jej mężem wybrała się na ląd. Po długim spacerze gwarnymi uliczkami Montego Bay postanowili zwiedzić Różany Dom – wspaniałą siedzibę legendarnej Białej Czarownicy, która wspaniała się okrucieństwem wobec pracujących na jej plantacji czarnych niewolników. Posiadłość była imponująca, przewodnik mówił interesująco i zabawnie, niemniej Amber wciąż myślała o Michaelu, zastanawiając się, gdzie może się podziewać.

W pewnym momencie miała dosyć zwiedzania i wymknęła się do ogrodu. Rozglądając się po rozświetlonym jaskrawym słońcem krajobrazie, poczuła na sobie czyjeś spojrzenie. I rzeczywiście, o parę metrów od niej stał Michael. Miał na sobie obcięte nad kolanami džinsy, koszulkę polo i ciemne okulary.

Czekała w milczeniu, aż pierwszy się odezwie. Zbliżył się do niej wolnym krokiem.

– Nie widziałam cię wśród zwiedzających – zauważyła.

– Bo wolałem zostać w ogrodzie.

– A gdzie senator?

– Jest jeszcze w środku. A Bainbridge'owie?

– Też jeszcze zwiedzają dom.

Michael skinął głową.

– Obserwujesz mnie? – spytała.

– W tej chwili tak.

– Nie to miałam na myśli.

– Senator niepokoi się o ciebie.

– Uważa się za mojego opiekuna?

– Powinnaś to wiedzieć lepiej ode mnie.

Do ogrodu wyszli z domu Josie z Jimem. Josie rozpromieniła się na widok Michaela.

– Wybieramy się na drinka do hotelu nad laguną. Tego z basenem.

Przyłączysz się?

Z powodu ciemnych okularów Amber nie widziała wyrazu jego oczu.

– Niestety nie mogę. Czekam na senatora. Miała wrażenie, że powiedział to z żalem.

– Poczekamy tam na was – odparła Josie.

Michael skinął głową. Patrzył na Amber, kiedy z parą przyjaciół wyszła z ogrodu i wsiadła do wynajętego samochodu.

Ku zdziwieniu Amber senator Daldrin w towarzystwie Michaela i paru innych osób rzeczywiście zjawił się po pewnym czasie w hotelowym barze. Wszyscy rozebrali się do kostiumów i weszli do basenu. Amber położyła się na pływającym pomoście i przymknąwszy powieki, unosiła się na powierzchni wody, poddając się pieszczocie słońca. Ogarnęło ją uczucie błogości i w końcu się zdrzemnęła. Kiedy znowu otworzyła oczy, Michael siedział z drinkiem w ręku po drugiej stronie basenu i patrzył na nią. Nie podpłynęła do niego, ani on do niej. Pewnie chciał, by to ona zrobiła

pierwszy krok. Wobec dezaprobaty, z jaką Daldrin odnosił się do jego bliskich stosunków z Amber, wolał nie okazywać inicjatywy, pozostawiając jej swobodę wyboru. Cóż, kiedy ona w tej chwili sama już nie wiedziała, czego tak naprawdę chce.

Jakiś czas potem wrócili na statek, który miał wypłynąć z portu przed zapadnięciem zmroku, aby skierować się ku brzegom Meksyku. Po powrocie do kabiny Amber wzięła prysznic i szybko się przebrała – tym razem w białą suknię z naszywanym koralikami stanikiem i szeroką, rozwiewającą się przy każdym ruchu spódnicą. Pogadawszy chwilę z Myrą, która nieco później wróciła do pokoju, wyszła sama na korytarz.

Szła z bijącym sercem, nie zastanawiając się, co zamierza zrobić, ale nogi same niosły ją do kabiny Michaela. Stała pod jego drzwiami, przymknęła oczy i zastygła na chwilę z podniesioną ręką, zanim zdecydowała się zapukać. Chcę się z nim kochać, po to przyszedłam, pomyślała ze wstydem.

Michael otworzył drzwi. Najwidoczniej wyszedł świeżo spod prysznic. Był w samych spodenkach, z resztkami kremu do golenia na policzkach. Spojrzał na nią z dziwną powagą. W jego oczach malował się nieokreślony żal.

Zaraz jednak wciągnął ją do kabiny, zatrzasnął drzwi i chwycił ją w objęcia. Natychmiast zapomniała o wstydzie. Tego dnia Michael rozbierał ją bardzo powoli, a potem kochał się z nią jeszcze czulej i namiętniej niż kiedykolwiek dotąd. Kiedy zmęczeni miłością leżeli wtuleni w siebie, Michael nadal czule pieścił jej ciało.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo będzie mi ciebie brakowało – wyszeptał.

Chłód przeszył jej serce. Tyle już razy ostrzegał, że nie ma jej nic do zaoferowania. Wiedziała o tym, na nic nie liczyła i niczego od niego nie oczekiwała. Ale nadal nie miała pojęcia, co chce zrobić ze swoim życiem. Jeszcze miesiąc temu jedynym jej marzeniem było to, aby Peter wyznał, iż nie może bez niej żyć, wyznaczył datę ślubu i zaczął poważnie mówić o dzieciach. A dziś nie mogła sobie wyobrazić rozstania z Michaeliem, utraty tego, czego przy nim doznała, niemożności dalszego obcowania z zakłęta w nim energią. Zwilżyła wargi, gdy pochyliwszy się nad nią, koniuszkiem języka muskał jej piersi.

Nie należał do niej. Nie mogła go zatrzymać. Ale przecież rejs dopiero się rozpoczął. Objęła jego głowę, przeczesując palcami płowe włosy. Chciała coś powiedzieć, lecz nim zdążyła się odezwać, Michael się wyprostował.

– Och, Amber! – rzekł z goryczą. – To nie powinno było nigdy się zdarzyć!

Podерwał się na równe nogi, a ją przejął nagły chłód. Poczowała się osamotniona, dezorientowana, świadoma swojej nagości. Szybko wyskoczyła z łóżka, drżącymi palcami zbierając rozrzucone ubranie. Michael nadal wiązał krawat, kiedy ona, wsunawszy stopy w pantofle, skierowała się ku drzwiom.

– Amber!

– Co?

Właśnie naciskała klamkę, kiedy Michael na powrót zatrzasnął uchylone drzwi.

– Pozwól mi... – zaczęła ze złością.

Pocałunkiem zamknął jej usta. Był to w pierwszej chwili pocałunek władczy, agresywny i namiętny, który jednak stał się natychmiast

przejmująco czuły, całkowicie pozbawiający ją woli oporu. Potem Michael równie niespodziewanie oderwał się od jej warg, i choć nadal czule trzymał ją w ramionach, widziała w jego oczach szalejące furie.

– Diabli cię nadali, Amber! Dlaczego muszę cię tak strasznie pragnąć?

– Wypuścił ją z objęć, a ona odwróciła się i wybiegła z kabiny.

Kolacja upłynęła w ciężkiej atmosferze. Senator siedział milczący i zamyślony, podobnie jak Michael. Po posiłku towarzystwo szybko się rozproszyło. Przy stole pozostali tylko Michael, senator i Amber.

– Masz jakieś plany na wieczór? – zwrócił się do niej Daldrin.

– Plany? – zdziwiła się. – Nie mam szczególnych planów. Może pospaceruję po pokładzie, a potem zajrzę do któregoś salonu.

– Idź od razu do salonu albo do baru – niemal rozkazującym tonem oświadczył Michael, kładąc rękę na jej dłoni.

Amber przyjrzała się jego opalonej skórze. Co on zamierza robić dziś wieczorem? Ach, prawda, ma tę swoją sekretną partię pokera.

– Nie musisz się o mnie martwić – odparła z uśmiechem. – Potrafię sama znaleźć sobie zajęcie.

– Oczywiście. Niemniej nie powinnaś spacerować sama późnym wieczorem po pokładzie. Pójdź na drinka, a potem połóż się wcześniej spać.

Daldrin odchrząknął.

– Amber jest dorosła, potrafi się rozsądnie zachować.

Słowa senatora też brzmiały jak ostrzeżenie. Chyba zaczynam wariować, pomyślała Amber. Nie rozumiała, o co im chodzi, dlaczego zachowują się tak dziwnie, jakby starali się coś przed nią ukryć. Równie niepojęte było dzisiejsze postępowanie Michaela. Zawsze ją zaskakiwał, lecz dziś czuła się bardziej niż kiedykolwiek zdezorientowana. Postanowiła

wyjsć na pokład. Łagodny szum morza i chłodny powiew wiatru powinny ukoić dręczące ją niepokoje.

– Dziękuję za waszą troskę – powiedziała, odsuwając krzesło i uśmiechając się do nich miło. – Chyba wybiorę się do kina.

Michael podniósł się, gdy wstawała od stołu. Pomyślała przez moment, że za nią pójdzie, lecz nic takiego nie nastąpiło. Kiedy odchodziła, powiedział coś do senatora, a gdy się obejrzała, opuszczał jadalnię innymi drzwiami.

Pospieszyła prosto na pokład. Noc była wyjątkowo piękna. Otoczyły ją nieprzeniknione ciemności i cisza, w której słycać było jedynie szept morza.

Do diabła z Michealem, pomyślała ze złością.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

*Na pokładzie "Alexandrii", na wodach międzynarodowych*

*15 czerwca, godz. 0. 45*

Był spóźniony. I zły na siebie. Lepiej było zostawić sprawy własnemu biegowi, mniej się przejmować, a nade wszystko nie okazywać zdenerwowania i nie mówić jej, co ma robić, a czego nie. Na tak wielkim statku, oferującym pasażerom liczne atrakcje, Amber sama znajdzie sobie bezpieczne schronienie. Nie ma powodu obawiać się, że trafi akurat w oko cyklonu.

Wszedłszy do kabiny, sprawdził godzinę. Rankiem otrzymał wiadomość, że łódź przybije do statku między wpół do pierwszej a pierwszą w nocy. Wtajemniczenie senatora miało tę dobrą stronę, że nie musiał niczego wobec niego udawać. Wystarczyło podać mu godzinę i miejsce akcji. Ale choć akcja miała się rozpocząć za kilka minut, nie potrafił się na niej skoncentrować. Zamiast myśleć wyłącznie o czekającym go zadaniu, miał w głowie zamęt. A wszystko przez nią. Będzie za nią tęsknił...

Ale teraz zbliża się moment zapłaty. Długo nie miał pewności, lecz teraz już wie, kto był winowajcą. Może przy tym zemścić się na wrogu, dokonując zarazem szlachetnego czynu – uwolnić Bogu ducha winnych zakładników. Czterech doradców wojskowych, dwóch dyplomatów i dwóch bankowców. Nie mówiąc o Daldrinie i nim samym. Senatorowi nie powinno stać się nic złego. Jest odważny. Nie każdy podjąłby ryzyko oddania się we władzę Szwadronu Śmierci.

Zrzuciwszy pospiesznie wieczorowe ubranie, włożył czarne dżinsy, sportowe obuwie i czarny golf. Wyjął spod materaca rewolwer i wsunął go



za pasek spodni, a nóż ukrył w nogawce. Przed wyjściem z kabiny sprawdził jeszcze, czy o czymś nie zapomniał, kiwnął głową i wybiegł na korytarz. Powinien być na pokładzie przed pojawieniem się porywaczy. Nigdy nie wiadomo, czy nie nastąpią nieprzewidziane komplikacje.

Wybiegi na górny poziom statku. Śpiesząc korytarzem w kierunku drzwi prowadzących ku dziobowej części pokładu, gdzie mieściły się szalupy ratunkowe, usłyszał donośne dźwięki muzyki dobiegające z najbliższej sali. Rzucił okiem na zegarek. Najwyższy czas.

Otwierając drzwi na pokład, usłyszał krzyki. Cholera! Stało się to, czego najbardziej się obawiał. Amber!

Leżała na ziemi, przygwożdżona do pokładu przez rzeźmieszka, który trzymał w górze sztylet. Niewiele myśląc, Michael rzucił się z furją na napastnika, chwycił go za kark, poderwał z ziemi i cisnął nim pod reling.

Działał w całkowitym zapamiętaniu. Na moment zapomniał, kim jest i po co tu przyszedł. Z chwilą, gdy usłyszał jej krzyk i zobaczył błysk noża, wszystko prócz niej przestało się liczyć. Nawet od dawna wyczekiwana zemsta i los ośmiu zakładników.

Oprzytomniał jednak, kiedy minęło bezpośrednie zagrożenie. Nie zwracając dłużej uwagi na Amber, w ostrych słowach zwrócił winowajcy po hiszpańsku uwagę, że o mało nie złamał rozkazu Abdula, który nie życzył sobie rozlewu krwi na pokładzie. Przy okazji przypomniał zamachowcom, nie przebierając w słowach, że to on kieruje akcją i muszą mu się podporządkować.

Usłyszał szept Amber:

– Michael!

O mało nie krzyknął: „Uciekaj! Ja ich zatrzymam!”.

– Michael... jak to dobrze, że się zjawileś – wyszeptała, wstając z ziemi i rzucając mu się z ufnością w ramiona.

Widział jej rozszerzone przerażeniem oczy i rozwiane, potargane włosy. Widząc to, oprawcy Abdula zaczęli się śmiać i robić na jej temat nieprzyzwoite uwagi.

Diabli nadali! Że też musiała akurat teraz wybrać się na przechadzkę po pokładzie! Nie może dodać jej otuchy, bo to by go zdradziło. Nie wolno mu okazać, co do niej czuje. Ani tym bardziej rozkoszować się ciepłem jej ciała i rozpaczliwie zastanawiać się, jak ją ratować. Cóż, kiedy patrzyła na niego tymi swoimi pięknymi oczyma, w których obok przerażenia pojawił się nagle niepokój, a nawet gniew.

– Mylisz się, Amber – powiedział cicho. – Jestem tu nie po to, żeby cię ratować.

– Ty łajdaku!

Jej okrzyk sprawił mu straszny ból, jakby pchnęła go nożem w samo serce. Pochyliwszy się nad nią, wyszeptał:

– Ty głupia, szalona dziewczyno, dlaczego nie uciekłaś?

Odskoczyła od niego i rzuciła się w kierunku schodów, lecz nie pozwolił jej uciec. Zamachowcy tylko czekali na okazję, aby pozbawić ją życia. Żeby temu zapobiec, złapał ją za włosy i przyciągnął do siebie, po czym, nie zwalniając uścisku, rzucił jej ostre, ostrzegawcze spojrzenie.

– Trzeba ją zaciukać – odezwał się jeden z zamachowców po hiszpańsku.

– Nie! – odparł Adam, jeszcze mocniej przytrzymując szarpiącą się dziewczynę. Musi ją za wszelką cenę uspokoić.

– Puść mnie! – wrzasnęła.

Zakrył jej brutalnie usta ręką.

– Zamknij się! Nic nie mów i przestań się szarpać – rzekł ostrym tonem. – Nie rozumiesz, że staram się ratować twoją skórę? – Wiedział, że dla swego i jej dobra musi się z nią obchodzić surowo i brutalnie. Niedoszły zabójca Amber zdążył tymczasem wstać i stał teraz przy relingu, wyglądając za burzę. Ci, którzy już wcześniej zabrali senatora z pokładu, muszą się dziwić, co się tam na górze dzieje. – Dajcie znać, że schodzimy na dół z dodatkową zakładniczką – rozkazał zamachowcom, dla dodania sobie autorytetu przechodząc na język arabski.

Porywacze na szczęście usłuchali go bez szemrania. O zostawieniu Amber na statku nie było mowy – na to ludzie Abdula nigdy by nie poszli. Jedyne wyjście to zabrać ją razem z senatorem, a potem kombinować, jak nie budząc podejrzeń, wytłumaczyć swoją decyzję.

Bał się o Amber, a równocześnie był na nią wściekły. Dlaczego wbrew radom jego i senatora musiała wyleźć na pokład? I to w najbardziej nieodpowiednim momencie?

Trudno, stało się. Nadal trzymał Amber w żelaznym uścisku. Musi ją sobie w jakiś sposób podporządkować, jeśli dziewczyna ma wyjść cało z opresji.

– Teraz ja wyznaczam reguły gry, panno Larkspur. Skoro sama w to wlażłaś, musisz tańczyć, jak ci zagram – mruknął jej ze złością do ucha. Jednak gdy tylko odjął rękę od jej ust, natychmiast zaczęła krzyczeć. – Ty idiotko! – zaklął, zakrywając jej z powrotem usta. – Masz być cicho! – syknął. Bał się, że jeśli Amber znowu zacznie wrzeszczeć, któryś z zamachowców w końcu ją zasztyletuje.

– Ostrzegam, jeśli jeszcze raz...

Ugryzła go w rękę.

Nie miał wyboru. Zaciśniętą pięścią zdzielił ją w szczękę. Straciła przytomność i osunęła mu się w ramiona.

– Na co się gapicie? – krzyknął ostro do zamachowców, przechodząc z powrotem na hiszpański.

– Schodzimy! – dodał, wskazując zwisającą z relingu w dół burty grubą linę.

Mężczyźni zwinnie zjechali jeden po drugim do niewielkiej motorówki. Dźwigającemu bezwładną Amber Adamowi zabrało to nieco więcej czasu. Zeskakując na dno łodzi, przewrócił się, ale tak, aby upadła na niego. Łódź chwiała się i kołysała, kiedy czołgał się ostrożnie, aż dotarł na dziób i usiadł na ławce twarzą w kierunku jazdy. Naprzeciw niego, między dwoma zamachowcami, siedział milcząco Daldrin. Mężczyzna, który groził Amber sztyletem, mierzył Adama nienawistnym wzrokiem. Trzeci zajął miejsce za jego plecami, a kolejny uruchomił silnik i motorówka pomknęła w ciemną noc.

Po jakichś dwudziestu minutach dopłynęli do burty pasażerskiego statku. Był on znacznie mniejszy niż „Alexandria”, lecz całkiem okazały jak na ten typ jednostki. Adam zmierzył jego kadłub wzrokiem i doszedł do wniosku, że musi mieć ze dwadzieścia metrów długości.

Gdy motorówka dobiła do celu i z burty statku spuszczone na dół drabinkę linową, na pokładzie pojawił się Ali Abdul. Przywódca Szwadronu Śmierci, nie zważając na panującą w tropikach wilgoć, miał na sobie swój ulubiony pustynny strój.

– A to co takiego? – zdziwił się na widok zwisającej z ramion Adama dziewczyny.

– Kobieta, która znalazła się przypadkiem na pokładzie.

– Trzeba było ją załatwić – odezwał się czyjś głos.

Był to głos Khazara, który wyłonił się zza pleców ojca, mierząc nieprzytomną bezlitosnym wzrokiem.

– Zakazałem gwałtów i rozlewu krwi – spokojnym, lecz nie znoszącym sprzeciwu tonem upomniał go Ali.

– Jeżeli coś się jej stanie, możecie równie dobrze zabić także mnie – po raz pierwszy od czasu porwania odezwał się Daldrin. – Jeśli tej kobiecie spadnie włos z głowy, moja osoba straci wszelką wartość przetargową.

– Nie ty będziesz o tym decydował – warknął Khazar.

– Ani ty – odparł Adam. – Kobieta należy do mnie, wziąłem ją na własną odpowiedzialność i osobiście odpowiadam za jej zachowanie.

– No nie, ojcze! – oburzył się Khazar. – Odkąd to amerykańscy politycy i ich szumowiny dyktują ci, jak masz postępować?

– Dowiodłem swojej lojalności – oświadczył Adam, nie tracąc spokoju. – Macie mnie w rękach i macie Daldrina. Wykonałem swoje zadanie. Bez mojej współpracy mielibyście ostrą przeprawę z ochroną senatora.

– Ostrzegam, jeśli tej kobiecie spadnie włos z głowy... – zaczął znów Daldrin, lecz Adam nie pozwolił mu dokończyć zdania. Nadal trzymając na ramieniu nieprzytomną Amber, chwycił wspinającego się po linie senatora za rękę.

– Wyłaż, stary – powiedział.

– Zaprowadzić go do kabiny na dziobie, zamknąć na klucz i postawić straż – rozkazał Ali. Jego polecenie zostało natychmiast wykonane. Dopiero wtedy zwrócił się do Adama, mierząc go taksującym spojrzeniem. – Ty też masz wykonywać moje polecenia – oznajmił sucho. – A teraz zanieś ją do kambuza. Potem będziesz się tłumaczył.

Za grotmasztem i kołem sterowym mieściła się zejściówka. Adam po kilku stopniach zniósł Amber do kambuza, a następnie położył na wyścielanej ławie pod ścianą. Ślad po zadanej jej ciosie nie był jeszcze widoczny. Dziewczyna leżała spokojnie, jakby spała. Modlił się w duchu, aby udało mu się nie stracić zaufania Alego Abdula. Wolał nie myśleć o tym, jaki los spotkałby Amber, gdyby stało się inaczej.

Chwilę stał nad nią bez ruchu, nie mogąc zapomnieć wyrazu gorzkiego rozczarowania w jej oczach.

– Adam! Wracaj na górę, musimy się rozmówić.

Był to głos Alego. Adam odwrócił się od leżącej Amber i wybiegł na pokład.

Ali siedział na fotelu w otoczeniu swoich podwładnych, gotowych na jedno skinienie wykonać każdy jego rozkaz. Było wśród nich czterech uczestników porwania na pokładzie „Alexandrii”, nadal w ociekających wodą kombinezonach, oraz dwóch nieco starszych mężczyzn o śniadych twarzach.

– Khazar udał się w odwiedziny do naszego gościa, pana senatora – poinformował Adama Ali. – Jak ci zapewne wiadomo, Raphael, Juan, Jose i Jaime należą do naszej frakcji południowoamerykańskiej – oznajmił, wskazując kolejno każdego z nich. – Ten tu to Mohammed, a tamten nazywa się Aladin. Obaj są ze mną od wielu lat. Starzy, wypróbowani przyjaciele. A teraz wyjaśnij, co ta kobieta robi na pokładzie.

– I dlaczego ma należeć tylko do ciebie? – dorzucił mężczyzna przedstawiony jako Juan.

– Odpowiadam wyłącznie na pytania Alego Abdula – oświadczył Adam.

Ten przyjrzał mu się, po czym skinął głową.

– Dobrze. Odpowiadasz wyłącznie przede mną. Słucham.

– Jest moją kochanką.

– Kto ci dał prawo zabierać swoją kochankę?

– Nie miałem takiego zamiaru. Została moją kochanką po tym, jak udało mi się przeniknąć do najbliższego otoczenia senatora. Ułożyłem sprawy tak, żeby podczas akcji znajdowała się gdzie indziej, ale przyszła jej ochota wyjść na pokład. Na miejsce akcji trafiła przez przypadek. Niemniej należy do mnie i biorę całkowitą odpowiedzialność za jej zachowanie.

Ali długo się zastanawiał.

– Jutro dotrzemy do wyspy – powiedział w końcu. – Masz dopilnować, żeby nie sprawiała kłopotu. W przeciwnym razie umrze. Zrozumiałeś?

– Tak jest.

– Juan, zejdź na dół i zobacz, co się z tą kobietą dzieje, i sprowadź ją tutaj, jeżeli odzyskała przytomność – rozkazał Ali, a gdy Juan znikł pod pokładem, zwrócił się z powrotem do Adama.

– Twoim następnym zadaniem będzie uświadomienie Amerykanom, co się stanie czwartego lipca, jeśli do tego czasu nie spełnią naszych żądań.

– To wiem. Nie wiem tylko, jak mam się z nimi skomunikować.

– Wyślę cię do Meksyku, skąd nawiązesz kontakt.

Adam usłyszał za sobą jakiś ruch i obejrzał się. Juan wyprowadzał Amber na tylny pokład. Mimo że była boso, potargana i w wymiętej sukience, głowę miała wysoko podniesioną, a jej oczy ciskały błyskawice. Była nadal tą samą co zawsze, nieodparcie pociągającą i dumną kobietą. Adamowi wystarczyło jedno spojrzenie, aby się zorientować, że Juan podobnie jak on ocenia urodę prowadzonej przez siebie zakładniczki.

– Przypomnij mi, że kobieta należy tylko do mnie – zwrócił się do Alego.



– Co ty sobie wyobrażasz? – oburzył się Juan.

– Gdzie twoje poczucie braterstwa? Czyż nie powinniśmy dzielić się wszystkim jak bracia? W dodatku nikt jej tutaj nie prosił.

– To wyłącznie moja sprawa – zaprotestował Adam. – Moja, i tylko moja.

Rozgorzała ogólna dyskusja. Juan upominał się o prawo do nieproszonej kobiety, podczas gdy starsi towarzysze Abdula utrzymywali, że należy do Adama.

Do kłótni nieoczekiwanie wtrąciła się Amber.

– Co to ma znaczyć? – krzyknęła. – Jak śmiecie rościć sobie do mnie jakiegokolwiek prawo? Jesteście zwykłymi bandytami! Macie mnie natychmiast uwolnić, mnie i senatora, bo w przeciwnym razie...

– Ali, pozwól, że się nią zajmę – przerwał jej tyradę Adam. Chciał jak najszybciej znaleźć się z nią sam za sam, ale wiedział też, iż przynajmniej na razie nie może odkryć przed nią swojej prawdziwej roli. Po pierwsze, pewnie by mu nie uwierzyła, a gdyby nawet uwierzyła, mogłaby go niechcący zdradzić. Tak czy owak, źle by się to skończyło dla nich obojga. Jeśli spokojną perswazją nie zdoła jej uspokoić, będzie się musiał uciec do bardziej drakońskich środków.

– Gdzie jest senator? – upierała się Amber.

– Zamknij się!

Ani myślała go posłuchać.

– Zawisniesz na stryczku, ty łajdaku! Prędzej czy później dopadną cię i zrobią z tobą porządek. Najpewniej rozstrzelają jako zdrajcę. Jesteś...

Musiał za wszelką cenę położyć temu kres.

– Zamknij się w tej chwili! – krzyknął po raz drugi.

– Nie będę milczeć!

Zamachnął się i, nim zdążyła się zorientować, co zamierza, wymierzył jej policzek. Zrobił to z bólem serca, wiedząc, iż nie ma wyjścia. Musi za wszelką cenę zmusić tę krnąbrną dziewczynę do posłuchu.

Amber na chwilę znieruchomiła z wrażenia. Ale tylko na chwilę, bo już w następnej oddała mu cios, i to tak mocno, że Adamowi zadźwięczało w uszach.

Podniósł się śmiech. A raczej głośny rechot. Juan ryczał, że Adamowa *puta* ma pod spódnicą jaja. Amber najwidoczniej zrozumiała słowo *puta*, bo równie głośno zaprotestowała:

– To nieprawda. Nic mnie z tym człowiekiem nie łączy. Posłuchajcie...

– Zamknij się! – ryknął Adam.

Nie może pozwolić, by powiedziała bodaj słowo więcej. Zamknawszy Amber usta jedną ręką, drugą chwycił ją wpół i przerzucił sobie przez ramię. Musi odzyskać szacunek tych ludzi, pokazać im, kto tutaj jest mężczyzną.

– Macie dla mnie kabinę? – zwrócił się do Alego.

A gdy stary mężczyzna skinął głową, poniósł swój wierzgający, i szamoczący się ciężar ku zejściu do kambuza i dalej, prowadzącym w głąb statku korytarzem. Tam otworzył pierwsze drzwi, za którymi mieściła się niewielka kabina z jedną wąską koją. Rzucił Amber na koję, lecz ona natychmiast się poderwała. Była wciąż w bardzo wojowniczym nastroju.

Przewrócił ją z powrotem na łóżko i zerwał z siebie sweter. Chcesz walki, to będziesz ją miała, pomyślał ze złością. Zobaczymy, kto wyjdzie z niej pokonany.

Amber nagle znieruchomiła, obserwując w milczeniu, jak Adam się rozbiera. W mrocznej kabinie widział tylko zarys jej twarzy w aureoli jasnych włosów. Niczego w tej chwili bardziej nie pragnął, jak wziąć ją w ramiona. Całą siłą woli odepchnął od siebie tę niebezpieczną pokusę.

– Masz mnie stąd wypuścić, ty łajdaku!

Rozpiął pas od spodni, wyciągnął go ze szlufek i owinał sobie jednym końcem wokół ręki. Widząc to, Amber wrzasnęła na cały głos. Zacisnąwszy zęby, uderzył pasem z całej siły w kant koi, ona zaś wpatrywała się w niego oniemiałym wzrokiem.

– O mój Boże... – wyszeptała. Podeszedł bliżej i szarpnął ją ku sobie.

– Krzycz! – rozkazał.

– Co?

– Krzyknij jeszcze raz!

– Michael, ja nie...

– Powiedziałem: krzycz. Nie rozumiesz, co się do ciebie mówi?

Ona jednak zamilkła ze strachu i tylko wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami. W pierwszej chwili poczuł się bezsilny, szybko jednak wpadł na pomysł, jak zmusić ją do krzyku. Pochyliwszy się nad nią, sięgnął do jej dekoltu i paroma szybkimi szarpnięciami rozdarł na niej sukienkę aż po pępek. Tym razem poskutkowało. Słyszając jej wrzask, uśmiechnął się pod nosem.

– Bardzo dobrze – pochwalił, drąc dalej.

Amber skuliła się pod ścianą, rozpaczliwie próbując okryć swą nagość strzępami poszarpanej sukienki i uratować resztki godności. Adam tymczasem, dokonawszy aktu zniszczenia, usiadł na brzegu koi i zabrał się do zdejmowania butów.

– Zamorduję cię własnymi rękami! – wykrztusiła.

Zdjął w milczeniu dzinsy i spodenki. Nóż schował pod ubraniem, a rewolwer odłożył na nocny stolik. Gdyby ktoś zajrzał w nocy do kabiny, nie będzie miał wątpliwości, co robili tej nocy w jednym łóżku.

Kiedy jednak spojrzął na Amber i w jej oczach obok przerażenia dostrzegł pełne nienawiści oburzenie, zrobiło mu się nieprzyjemnie. Dopiero teraz dotarło do jego świadomości, że Amber musi w tej chwili odbierać ich nagość zupełnie inaczej niż on. Ale czy ona nie pojmuje, że on stara się ratować jej życie, czy nie zna go na tyle, by nie przypisywać mu złych zamiarów?

– Michael, nie... – wyszeptała.

– Ależ moja droga, wszystko już widziałaś – zakpił.

Rzuciła się na niego jak dzika kotka. Nic nie pomagały prośby i groźby ani tłumaczenia, że zachowując się w ten sposób, działa na swoją niekorzyść. Musiał się ponownie uciec do przemocy. Przewrócił Amber na plecy i przygwoździł ją własnym ciałem do łóżka. Próbowwała się jeszcze szamotać, ale po chwili jęknęła błagalnie:

– Nie, tylko nie to.

– Posłuchaj mnie, Amber. Słuchaj uważnie. Robię, co mogę, żeby uratować ci życie.

Nic z tego. I tak go nie usłucha. Zobaczył to w jej oczach. A niech tam. Puścił ją i usiadł na łóżku, przeczesując w zamyśleniu włosy palcami. Trudno, powiedział sobie w duchu, niech sobie myśli, co chce. Nie zakochał się w niej, nigdy nie mówił, że ją kocha, czuł do niej tylko silny fizyczny pociąg. I sympatię. Nadal ją lubił, a nawet podziwiał. Ale to nie jest miłość; jego jedyną prawdziwą miłością na zawsze pozostanie Sonia. Amber może o nim myśleć, co jej się podoba.

Byle nie sprawiała kłopotu. Nieważne do jak okrutnych sposobów będzie się musiał uciec, ważne jest tylko, żeby przywołać ją do porządku.

Usłyszał jej westchnienie i obejrzał się. Była półnaga, wokół jej głowy kłębiły się potargane włosy, a z pięknych, pełnych gniewu oczu wyzierała

bezwzględna dezaprobata. No cóż, pewnie tak czy tak czeka go wieczne potępienie.

Z sukni Amber zostały strzępy. Nadawała się do wyrzucenia. Jeżeli ktoś złoży im w nocy wizytę...

– Zdejmij to z siebie – rozkazał.

– Michael, nie. Ja nie...

Wciąż nie chciała się poddać. A on był na skraju nerwowego wyczerpania. Chwycił ją za włosy i przyciągnął do siebie. Ich jedwabisty dotyk tylko wzmógł narastającą w nim furję. Bo mimo wszystko nadal jej pragnął, pragnął jej jeszcze bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Ale to już nie wróci. Nigdy więcej się nie powtórzy.

I wtedy Amber splunęła mu w twarz.

Adam zastygł w bezruchu i poblądł, przeżywając w milczeniu gniew, gorycz i szarpiące nim pożądanie. Nie zareagował, kiedy ponownie zagroziła, że zabije go własnymi rękami. Ocknął się dopiero, gdy sięgnęła po leżący na stole rewolwer. Z zimną, ponurą determinacją zerwał z niej resztki ubrania. Uczyniwszy to, podszedł do drzwi i począł nasłuchiwać dochodzących z zewnątrz odgłosów.

Ile z tego, co tu się działo, doszło do uszu ludzi na pokładzie? Czy wystarczająco dużo, aby ich przekonać, iż zdołał swoją krnąbrną kobietę przywołać do porządku? Chyba tak. Amber tymczasem rozplakała się. Wiele było trzeba, żeby ją do tego doprowadzić. Adam miał ochotę schować się ze wstydu w mysią dziurę.

No nie, zreflektował się. Amber nie jest tutaj jedyną osobą, której życiu grozi niebezpieczeństwo. Na pokładzie znajduje się jeszcze senator Daldrin, a na wyspie ośmiu ludzi czeka na uwolnienie.

Ale widzieć, jak wzdryga się przed jego dotykiem...

Zacisnął pięści. Oby się to wszystko jak najszybciej skończyło i ta kobieta raz na zawsze znikła z jego życia!

Cóż, kiedy miał ją nadal tuż obok siebie. Dzisiejszą noc będą musieli spędzić na jednym wąskim łóżku.

– Okryj się kocem i odsuń pod ścianę – zakomenderował. Musiał to powtórzyć ostrzejszym tonem, żeby w końcu usłuchała.

Położył się i znowu nastawił uszu. Ludzie na pokładzie przestali mówić o nim i Amber. Zastanawiali się teraz, co zrobi prezydent Stanów Zjednoczonych, kiedy pozna ich najnowsze żądania i pogroźki.

Amber odsunęła się jak najdalej od niego. Przyszło mu do głowy, że wiele ryzykuje, pozostając z nią sam na sam w kabinie, w której znajduje się naładowana broń.

– Tylko nie próbuj żadnych sztuczek, bo może się to dla ciebie źle skończyć. Jesteś podobno inteligentna. Masz okazję to udowodnić. Rób to, co ci powiem. Jeżeli zacznę coś udawać, udawaj razem ze mną. Zrozumiano?

– Czeka cię stryczek – oświadczyła mściwie. – A jak nie stryczek, to kulka w łeb.

Zamknął jej usta ręką. A więc o jakimkolwiek porozumieniu nie ma mowy. Musi zachować czujność. Przynajmniej na razie jest skazany na walkę nie tylko z wrogami, ale i z własnym sojusznikiem.

– Ale zanim to nastąpi, mogę się jeszcze zabawić – odparł złośliwie, głaszcząc stopą jej nogę. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy brać jej siłą, lecz ona nie mogła mieć co do tego pewności. Amber stężała, ale się nie odezwała.

Tak bardzo pragnął pogłaskać ją po głowie i pocieszyć. Wziąć w ramiona i obiecać, że wszystko dobrze się skończy. A nade wszystko

sprawić, aby przestała na niego patrzeć z tą nienawistną pogardą. Niestety, nie mógł sobie na to pozwolić.

- Chcę ci pomóc – szepnął. – Nie możesz tego zrozumieć?
- O tak, na pewno – odparła z gorzką ironią.
- Przepraszam, Amber. Przepraszam, że zostałam w to wplątana.
- Jesteś zdrajcą!

Zacisnął konwulsyjnie rękę na jej dłoni. Jeżeli jego misja się nie powiedzie i na wyspie spotka go śmierć, cały świat przyzna jej rację, pomyślał ze zgrozą. Ogarnęła go na moment bezsilna złość.

– To, kim jestem, nie powinno cię obchodzić – zauważył. – W każdym razie, jeśli chcesz wyjść z tego żywa.

Amber milczała, a jemu po chwili minęła złość. Gdyby tylko nie była taka dzielna, gdyby miała mniej odwagi...

Usłyszał jej szloch. Ugodził go w samo serce.

Nie potrafił spokojnie słuchać jej płaczu. Jeszcze wczoraj trzymał ją w ramionach, pieścił i całował. Jeszcze wczoraj byli kochankami. Delikatnie pogłaskał ją po policzku.

- Wszystko będzie dobrze, obiecuję. Odepchnęła jego rękę.
- Możesz mówić, co chcesz, tylko mnie nie dotykaj.

Nie chciała, żeby jej dotykał. A przecież... Teraz nawet jego ręce stały się jej wstrętne. Ale czy w obecnej sytuacji może się temu dziwić? W pewnym sensie było to nawet wygodne.

- Postaram się – oświadczył chłodno.

Nie mógł jednak dotrzymać obietnicy. Leżeli na wąskiej koi tuż obok siebie, a on znał na pamięć każdy szczegół jej ciała, każdy ton jej głosu, zapach...



Odwrócił się do niej plecami, ale i to niewiele pomogło. Czuł nadal jej bliskość, a wyobraźnia podsuwała mu obraz jej czarującej twarzy. Była w nim i przy nim, niezależnie od tego, czy patrzył na nią, czy nie.

Czuł ciepło jej ciała, jego niepowtarzalny zapach. Wiedział, że nie zniknie i zobaczy ją, gdy tylko się odwróci.

Czeka go długa, trudna noc.

A po nocy jeszcze dłuższe i trudniejsze dni.

RS

## ROZDZIAŁ ÓSMY

*16 czerwca*

Głośny trzask otwieranych drzwi wyrwał Amber z głębokiego snu, w który zapadła nad ranem. Momentalnie oprzytomniała i poderwała się przerażona. Jednakże Michael w tej samej chwili przycisnął ją do pościeli i przykrył szczelnie kocem. Już otwierała usta, by mu się sprzeciwić, gdy ujrzała w drzwiach wysokiego, smagłego mężczyznę i głos jej zamarł w gardle. Michael wrzasnął na niego po arabsku.

Intruz wyglądał imponująco. Miał czarne jak noc oczy, płomienne spojrzenie, ciemnooliwkową cerę i regularne rysy, które mogłyby być piękne, gdyby nie szpecił ich wyraz bezwzględnej okrucieństwa. Biedną Amber przeszedł zimny dreszcz. Nie mogła sobie przypomnieć, by widziała go wczoraj na pokładzie wśród innych zamachowców. Gdyby tam był, na pewno by go zapamiętała.

Od razu wyczuła wyraźną wrogość między nim a Michaeliem. Trwała między nimi ostra wymiana zdań, niemal skakali sobie do oczu. Michael był napięty i zdenerwowany. Miała wrażenie, że gdyby nie ona, a także obecność innych ludzi na statku, ci dwaj mężczyźni rzuciliby się na siebie jak dwa rozjuszony tygrysy. A gdyby do tego doszło...

Za nic w świecie nie chciałyby się znaleźć we władzy ciemnowłosego mężczyzny. A ze sposobu, w jaki wskazywał ją palcem, zorientowała się, iż to ona jest w tej chwili przedmiotem sporu. Czowała na sobie wściekłe spojrzenie czarnych oczu. W końcu mężczyzna wyszedł, trzasnąwszy drzwiami, i w kajucie zapadła cisza.

Amber poczuła, że Michael nadal trzyma rękę na okrywającym ją kocu, i odruchowo cofnęła się pod ścianę.

Opadł na poduszkę, chwytając się za głowę.

– No nie! – jęknął. – Czy musisz się tak zachowywać?

Nawet na nią nie spojrzawszy, wbił ponure spojrzenie w sufit. Sprawiał tak żałosne wrażenie, że Amber mimo woli zrobiło się go żal. Musiała sobie przypomnieć, że ma do czynienia z niegodnym współczucia zdrajcą. Wreszcie odwrócił się w jej stronę.

– Nie igraj z ogniem – rzekł z wyrzutem. – Nie wiem, jak ci tłumaczyć i czym grozić, żebyś w końcu zrozumiała swoją sytuację. Jeśli chcesz wyjść z tego cało, musisz robić, co ci każę.

Amber leżała bez ruchu. Miała ochotę wybuchnąć płaczem albo rzucić się na niego z pazurami, ale była jak sparaliżowana. Z trudem przełknęła ślinę.

– Kto to był? – zapytała.

– Khazar Abdul. Syn Alego Abdula.

Serce ścisnął jej strach. Słyszała o Alim Abdulu. Wielokrotnie czytała o nim w gazetach. A także o jego synu. Khazar jest na pewno szaleńcem, człowiekiem pozbawionym cienia szacunku dla ludzkiego życia. Zdolnym zabijać z zimną krwią

I wysyłać swoich ludzi na samobójcze misje, obiecując im w zamian wolny wstęp do nieba.

Michael podniósł się na łokciu. Choć starała się leżeć jak najdalej od niego, czuła bijące od niego ciepło.

– Powiedziałem mu, że nie ma prawa wchodzić bez pytania do mojej kabiny, ale on ma to w nosie. Dlatego ostrzegam cię jeszcze raz: jeśli nie chcesz zawrzeć bliższej znajomości z Khazarem i jego latynoskimi

przyjaciółmi, powinnaś pohamować swój temperament i trzymać się jak najbliżej mnie. Czy to jest jasne?

Amber milczała. Miała ochotę krzyknąć, ale głos uwiązł jej w gardle. Nadal nie mogła się pogodzić z tym, że człowiek, w którym jeszcze wczoraj była gotowa się zakochać, okazał się takim łajdakiem.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, Michael usiadł na koi i zaczął się ubierać, nie zwracając na nią uwagi.

– Włóż coś na siebie i siedź tutaj jak mysz pod miotłą. Ale gdyby któryś z nich przyszedł i próbował cię napastować, zacznij wrzeszczeć na całe gardło.

– Co mam na siebie włożyć? Przecież podarłeś mi sukienkę.

– Faktycznie. No to owiń się na razie kocem.

To powiedziawszy, wyszedł z kajuty, a ona w bezsilnej rozpaczynie wtuliła twarz w poduszkę i rozplakała się. Po miarowym kołysaniu statku zorientowała się, że są nadal na morzu. Wypłakawszy się, usiadła i pomyślała, że nie ma wprawdzie sukienki, ale może przynajmniej włożyć bieliznę. Następnie owinęła się kocem i rozejrzała wokół w poszukiwaniu czegoś, co w razie czego mogłoby posłużyć do obrony. Spotkał ją jednak zawód.

Michael nie omieszkał zabrać rewolweru, a w kajucie nie było żadnych ruchomych sprzętów.

Zrezygnowana usiadła na koi i w tej samej chwili otworzyły się drzwi. Podskoczyła ze strachu, lecz na widok Michaela odetchnęła z ulgą, co z kolei wywołało w niej złość na samą siebie. Bo jakkolwiek trudno jej było się z tym pogodzić, Michael jest takim samym szubrawcem jak oni wszyscy.

Niósł pod pachą jakieś ciuchy, które rzucił na koję.

– Masz tutaj spódnicę i bluzkę. Są czyste, jeszcze nie noszone. Jaime kupił je tydzień temu w Meksyku w prezencie dla swojej siostry. Powinnaś mi podziękować.

– Za co? Za to, że mnie porwałś i podarłeś mi sukienkę?

Jego twarz przybrała zacięty wyraz.

– Za to, że nie musisz chodzić goła. I nie musisz spędzać nocy z Khazarem. – Odwrócił się na pięcie, zamierzając wyjść.

W Amber coś pękło. Poderwała się z krzykiem, podbiegła i zaczęła z furią okładać go pięściami. Została jednak natychmiast obezwładniona.

– Nie rzucaj się na mnie w samej bieliźnie, jeśli naprawdę nie chcesz, żebym cię dotykał – oświadczył chłodno, trzymając oba jej nadgarstki w żelaznym uścisku.

Twarc Amber oblała się rumieńcem.

– Jesteś bydlę!

Adam odepchnął ją od siebie i wyszedł z kajuty.

Amber sięgnęła po przyniesione ubranie. Była to biała bawełniana bluzka ozdobiona ładnym haftem i granatowa spódnica. Nigdy by nie pomyślała, że terrorysta może mieć siostrę, dla której w wolnych chwilach robi zakupy.

Obie rzeczy były czyste i zupełnie nowe, toteż Amber chętnie się w nie ubrała. Kiedy lekko drżącymi palcami zdołała pozapinać wszystkie guziki, usiadła w nogach koi, położyła ręce na kolanach i zaczęła się zastanawiać nad swoim położeniem.

Nikt do kajuty nie zaglądał. Zmęczona czekaniem nie wiadomo na co, położyła się w końcu i zapadła w płytki sen. Kiedy się obudziła, była nadal w kajucie sama. Chwilę wpatrywała się w drewniany sufit, potem jej wzrok padł na zasłonięty bulaj. Odsunawszy firankę, wyjrzała na zewnątrz.

Statek był na morzu, ale najwidoczniej wypłynął niedawno z jakiegoś portu, ponieważ dostrzegła w oddali zarys lądu i pełną najrozmaitszych łodzi przystań jachtową.

Przyszło jej do głowy, by wybić szybę w oknie i zawołać o pomoc, ale doszła do wniosku, iż z tej odległości nikt by jej krzyków nie usłyszał. Westchnąwszy z zalem, opadła z powrotem na koję. Z pokładu dobiegały męskie głosy, lecz nie mogła wychwycić sensu rozmowy. Potem usłyszała za drzwiami czyjeś kroki i zamarła. Czy to Michael? A może ktoś inny? Czy to nie wszystko jedno?

Drzwi się otworzyły. Zamiast Michaela ujrzała jednego z biorących udział we wczorajszym zamachu ciemnowłosych mężczyzn. Niósł przykrytą lnianą serwetką tacę. Wchodząc, uśmiechnął się lubieżnie i postawił tacę na koi.

– Ty jeść – powiedział. Amber ani drgnęła. Mężczyzna dotknął palcem rękawa białej bluzki.

– Ładna, nie? – Amber znów nie zareagowała.

– Do zobaczenia – mruknął, wzruszając ramionami.

Odwrócił się i wyszedł, zostawiając ją samą. Była zbyt zdenerwowana, by odczuwać głód, uznała jednak, że musi zachować siły na wypadek, gdyby nadarzyła się okazja ucieczki, i podniosła z tacy serwetkę.

Znalazła kubek gorącej kawy, chleb, masło, plaster wołowiny i banany. Serwetka była świeżo wyprana i wyprasowana. Rozejrzawszy się po kajucie, stwierdziła, że i tu panuje nieskazitelna czystość. Uznała więc, że Ali Abdul musi być człowiekiem na swój sposób cywilizowanym.

Wypiła łyk kawy, potem spróbowała wołowiny, która okazała się nader smaczna. Amber odzyskała apetyt i w rezultacie spałaszowała wszystko, co jej przyniesiono.

Gdzieś na statku trzymają senatora Daldrina, pomyślała. Miała nadzieję, że i jemu zaniecono jedzenie. Podniosłoby ją na duchu, gdyby zdołała do niego dotrzeć. Mogliby się wspólnie zastanowić nad ewentualną ucieczką.

Pokrzepiona solidnym śniadaniem, podeszła do drzwi i nacisnęła klamkę. Ustąpiły, nie były zamknięte na klucz. Wyszła ostrożnie na korytarz i spojrzała w lewo. W kambuzie stał ktoś przy zlewie. Popatrzyła w prawo i zobaczyła korytarz z szeregiem drzwi do innych kajut. Zerkając przez ramię na mężczyznę w kambuzie, zaczęła zaglądać do kolejnych pomieszczeń. Kiedy trzy pierwsze okazały się puste, doszła do wniosku, że senatora trzymają pewnie w innej części statku.

Otworzyła czwarte drzwi. Na koi leżał automatyczny pistolet. Szybko weszła do środka.

– *Chica*, nie! – usłyszała.

Obejrawszy się szybko, ujrzała mężczyznę z kambuza, tego samego, który przyniósł jej śniadanie. Sięgnęła po broń, lecz on był szybszy. Rzucił się do przodu, odepchnął Amber i zabrał automat. Nie czekała, co będzie dalej. Jednym susem wypadła na korytarz, przebiegła przez kambuz i schodami wydostała się na pokład. A na pokładzie było pełno zamachowców. Jeden stał przy sterze, podczas gdy inni wylegiwali się na leżakach albo stali oparci o reling. Zamiast kombinezonów mieli dziś na sobie dzinsy albo szorty.

Nawet Ali Abdul zrezygnował z długiego burnusa. Patrzył teraz na Amber ze zdziwieniem i zaciekawieniem. Michael stał na dziobie, odwrócony do niej plecami.



Amber rozglądała się chwilę, oceniając odległość dzielącą ją od Khazara. Z zejściówki dobiegał ostrzegawczy okrzyk mężczyzny, który odebrał jej pistolet.

Jest osaczona ze wszystkich stron.

Niezupełnie. Wypatrzywszy wolny kawałek relingu, przeskoczyła go i rzuciła się za burtę. Pogrążyła się w zimnej, słonej wodzie, ale szybko wypłynęła na powierzchnię i energicznymi ruchami zaczęła płynąć na zachód, gdzie, jak sądziła, powinien znajdować się ląd. Nie miała odwagi spojrzeć za siebie. Będą ją oczywiście gonić. Mogą nawet zastrzelić.

Ciężka od wody spódnica hamowała jej ruchy. Próbując ją zdjąć, musiała zwolnić, a przy okazji dostrzegła ścigającego ją pływaka i krzyknęła głośno, rozpoznając w nim Michaela.

Była bez szans. Michael wkrótce ją dogonił i chwyciwszy za włosy, pociągnął z powrotem na statek. Wrzeszczała, wyrywała się i parskiała wodą, ale on nic sobie z tego nie robił.

W parę minut później paru mężczyzn wciągnęło ich oboje na pokład. Pokonana i upokorzona, leżała nieruchomo, nie mając siły wstać.

– Nie próbuj więcej takich sztuczek! – usłyszała nad sobą głos Michaela.

W końcu podniosła się z trudem i stanęła z opuszczoną głową.

– Nie będzie miała więcej okazji – oświadczył Ali Abdul. Mówił po angielsku z lekkim akcentem. – Dopływamy do Wyspy Potępionych.

Amber spojrzała we wskazanym kierunku. Rzeczywiście zbliżali się do niewielkiej wyspy pochodzenia wulkanicznego. Zdziwiła się, że wyspa leży tak blisko stałego lądu, ale nie знаła przecież dobrze geografii tych terenów. Na wyspie wznosiła się góra porośnięta lasem.

Ali Abdul nazwał ją Wyspą Potępionych. Nazwa właściwie oddaje jej przeznaczenie, pomyślała zgnębiona Amber. Nie miała wątpliwości, co ją tutaj czeka. Znalazła się w tajnej kryjówce terrorystów i tu zapewne zginie.

Wszyscy obserwowali w milczeniu ostatnie manewry statku, który minął przybrzeżny obszar raf koralowych i płycizn, a następnie wpłynął w wąski kanał między dwiema wysokimi skalnymi ścianami. Tylko znający tutejsze pułapki wodne marynarz zdolny był bezpiecznie dotrzeć do miejsca przeznaczenia.

Wpłynęli na koniec do niewielkiego portu i zacumowali przy jednym z nabrzeży. Przy innych stały łodzie, motorówki i kutry najrozmaitszych rozmiarów. Rybacy szorowali łodzie albo oprawiali złowione ryby. Ich widok podniósł Amber na duchu. Skoro na wyspie mieszkają normalni ludzie, to nie wszystko stracone.

Jej radość zgasła jednak, gdy zobaczyła, z jaką gorliwością stary rybak salutuje zstępującemu ze statku Alemu.

Poczuła na ramieniu rękę Michaela.

– Idziemy, Amber. – Popychana przez niego ruszyła niechętnie przed siebie. Michael pierwszy zeskoczył na pomost i podał jej rękę. – Tam będziemy mieszkać – oznajmił, wskazując palcem wznoszącą się nieopodal budowlę.

Amber poczuła, że ciarki przeszły jej po plecach. Miała przed sobą rodzaj fortecy częściowo wydrążonej w skale, która niemal całkowicie wtapiała się w krajobraz. W pierwszej chwili trudno było rozpoznać w niej dzieło ludzkiej ręki.

– Chodź, samochód czeka – ponaglił Michael.

Ali Abdul faktycznie siedział już w stojącym nieco dalej dżipie, do którego prowadziła piaszczysta ścieżka. Michael podsadził ją i umieścił na tylnym siedzeniu między sobą a Khazarem.

Podczas jazdy patrzyła wprost przed siebie, nie oglądając się na boki, by nie widzieć swoich sąsiadów. Po paru minutach zaczęli się zbliżać do wielkiej żelaznej bramy.

– To skalna forteca – poinformował ją Ali, odwracając głowę. – Forteca, a zarazem więzienie zbudowane kilkaset lat temu przez hiszpańskich konkwistadorów. Trzymali tutaj krnąbrnych tubylców, piratów, a także angielskich marynarzy. – Uśmiechnął się. – Teraz jest tu poligon ćwiczebny rewolucjonistów. Mamy stąd blisko do krajów, które... miewają z Ameryką na pieńku. To nasza wyspa. Ma fascynującą historię. W wolnej chwili powinnaś się z nią zapoznać.

Amber milczała. Mokre kosmyki przykleiły się jej do twarzy, ale nie miała ochoty ich odgarniać.

Dżip zatrzymał się. Kiedy podeszli we czwórkę do żelaznej bramy, ta otworzyła się bezszelestnie, a oni wkroczyli do wielkiej komnaty. Michael zagadnął Abdula po arabsku, a gdy ten skinął głową, wziął Amber za rękę i poprowadził ją w prawo szerokim korytarzem. Na samym końcu korytarza otworzył jakieś drzwi i wszedł z nią do środka.

Była to zwykła sypialnia z łóżkiem stojącym pod jedną ścianą i komodą pod drugą. Michael podeszedł do bocznych drzwi.

– Tutaj masz łazienkę – powiedział.

Widząc, że Amber spogląda na półotwarte drzwi wejściowe, pogroził jej palcem.

– Wybij to sobie z głowy – rzucił krótko, po czym wyszedł. Usłyszała szcęk przekręcanego w zamku klucza, podbiegła do drzwi i w bezsilnej złości szarpnęła za klamkę.

Rozejrzawszy się po pokoju, stwierdziła, że jest pozbawiony okien. Pobiegnęła do łazienki. Była wyposażona w staroświecką wannę, umywalkę i toaletę, ale także nie miała okna. Amber czuła się jak zwierzę schwyte w pułapkę. Wróciła do pokoju i poczęła na nowo łomotać w drzwi. Oczywiście bez skutku. Zrozpaczona osunęła się na podłogę.

Wydawało jej się, że upłynęły godziny, zanim usłyszała szmer za drzwiami i szcęk przekręcanego klucza. Poderwała się na nogi i zaczęła cofać w głąb pokoju. Natrafiwszy na łóżko, raptownie na nim usiadła.

Do pokoju wszedł Khazar. W rękach trzymał tacę z jedzeniem. Zamknąwszy za sobą drzwi na klamkę, postawił tacę na komodzie, a potem stanął koło łóżka i długo jej się przyglądał.

– Jesteś przemoczona – odezwał się w końcu. – Na pewno jest ci zimno. Każę ci przynieść coś suchego do ubrania.

Kiedy zrobił kolejny krok w jej stronę, Amber zerwała się z krzykiem i rzuciła ku drzwiom, on jednak zdążył ją przytrzymać. Jednocześnie drugą ręką sięgnął do kieszeni. Ku swemu przerażeniu zobaczyła, że wyciąga sprężynowy nóż.

W tej samej chwili do pokoju wpadł Michael.

– Co tu się dzieje? – zawołał po angielsku, spoglądając to na Khazara, to na Amber.

– Nic się nie dzieje – z lekceważącym uśmiechem oświadczył Khazar.  
– Chciałem jej obrać jabłko.

To powiedziawszy, wolnym krokiem opuścił pokój. Michael długo patrzył na drzwi, za którymi znikł Khazar, po czym zatrzasnął je i przekręcił klucz w zamku.

– Nic ci nie zrobił?

Amber zrobiła przeczący ruch głową. Wydawało się, że Michael chce powiedzieć coś więcej, ale najwidoczniej się rozmyślił. Zdjąwszy z nóg buty, wszedł do łazienki. Po paru chwilach usłyszała szum prysznica.

Zastanowiła się. Nie miała najmniejszej ochoty na następne spotkanie z Khazarem. Musi stąd uciec. Michael nie rozstaje się z bronią, ale nie mógł chyba zabrać rewolweru pod prysznic.

Otworzyła drzwi do łazienki najciszej, jak umiała, i zajrzała do środka. Wokół staroświeckiej wanny zaciągnięta była plastikowa zasłona; a ubranie Michaela leżało na podłodze.

Podkraśla się bliżej i ostrożnie podniosła leżące na wierzchu mokre szorty. Chyba nie zgubił rewolweru, kiedy skoczył za nią do morza. Nie, z pewnością nie był tak lekkomyślny. Podniosła koszulę, zobaczyła upragniony rewolwer i...

Mokre ręce chwyciły ją za ramiona, uniosły w górę i wrzuciły do wanny. Woda z prysznica zalewała jej włosy, twarz, ubranie.

– Posłuchaj, Amber, przyrzekam, że cię stąd wyciągnę, jeśli tylko dasz mi szansę – przemówił do niej tonem perswazji. Amber mimo gorącej kąpieli przeszedł zimny dreszcz. – Skończ te głupie sztuczki. Staram się, jak mogę, chronić cię przed Khazarem i resztą bandy, a ty wszelkimi siłami usiłujesz mi w tym przeszkodzić. – Zauważyła, że mówił przyciszonym głosem, nie wyłączając szumiącego prysznica, a przedtem obejrzał uważnie ściany. Pewnie obawia się podsłuchu.

Dopiero gdy zakrztusiła się wodą, zdecydował się zakręcić kurki. – Musisz się rozebrać – oznajmił.

– Ja...

– Nie możesz ze mną spać w przemoczonym ubraniu.

– To idź spać gdzie indziej.

– Zdejmiesz sama, czy mam cię rozebrać? Wiedziała, że jej sprzeciw na nic się nie zda.

Mierzyła go przez chwilę wściekłym spojrzeniem, ale w końcu uległa. Zdjęła bluzkę i spódnicę i wrzuciła obie rzeczy do wanny.

– Bieliznę też.

Amber trzęsła się ze złości i zdenerwowania. I dlatego, że widok jego nagiego ciała odbierał jej zdolność myślenia. Na domiar wszystkiego nie mogła sobie poradzić z haftką stanika, toteż w końcu Michael musiał przyjść jej z pomocą. Przez chwilę stał tuż za nią, czuła jego ciepło. Zapragnęła zapomnieć o wszystkim, udać, że otaczająca rzeczywistość to tylko koszmarny sen, i osunąć się jak dawniej w jego ramiona.

Niestety, było to niemożliwe. Odsunawszy się od Michaela, wyszła z wanny i owinęła się szczelnie ręcznikiem. Michael nie zaprotestował, kiedy skierowała się z powrotem do pokoju. Po dochodzących z łazienki dźwiękach domyśliła się, że zabrał się do wyżymania i rozwieszania ich mokrej odzieży.

Kiedy wrócił do pokoju, Amber stała koło łóżka, nadal owinięta ręcznikiem. Nic nie mówiąc, wsunął się pod koc i okrył nim po szyję. Zadała sobie pytanie, co zrobił z rewolwerem.

– Ani się waż go szukać – ostrzegł, odgadując jej myśli. – Nie zmuszaj mnie do rękoczynów.

– Bodajbyś zdechł! – wysyczała przez zęby.

– Twoje życzenie może się spełnić – odparł. – Powinnaś coś zjeść.

– Nie mam apetytu.

– To nie jedz. – Ostentacyjnie odwrócił się twarzą do ściany.

Po długiej chwili Amber uznała, że czas poszukać rewolweru, i ruszyła na palcach do łazienki.

– Skoro nie jesteś głodna, to kładź się spać – odezwał się Michael. – A jeśli jeszcze raz spróbujesz sięgnąć po rewolwer, przywiążę cię do łóżka. Jasne?

Tak, aż nadto. Owinąwszy się jeszcze ciasniej ręcznikiem, posłusznie wsunęła się pod koc. Długo leżała, czuwając i wpatrując się w ciemność.

W końcu jednak zmorzył ją sen.

Pierwsze, co poczuła po obudzeniu, to był jego zapach. To doznanie sprawiło jej przyjemność. Widać kochali się, aż zasnęli. Miło jest przespać razem noc. Na pokładzie „Alexandrii” nie mogli sobie na to pozwolić.

Po chwili, bardziej już rozbudzona, poczuła, że ręcznik gdzieś się podział, a ona leży z twarzą wtuloną w tors Michaela, jedną nogą wpłataną w jego nogi, i dotyka biodrem czegoś, co stopniowo pęcznieje i twardnieje. Z przerażenia wstrzymała oddech. Wcale się nie kochali. Wcale razem nie zasnęli. Michael należy do Szwadronu Śmierci, a ona jest jego więźniem. Musiała w ciągu nocy nieświadomie przytulić się do niego. Poderwała się jak oparzona, dopiero teraz zdając sobie sprawę, iż Michael wcale nie śpi. Chciała jak najszybciej okryć się ręcznikiem, ale nie mogła go znaleźć. Nie wiedziała, co robić – jeżeli schowa się pod koc, znajdzie się znowu tuż przy Michaelu, jeżeli odsunie się od niego, pokaże mu się naga.

– Dzień dobry – powiedział.



Szybko rozwiązał jej dylemat, wyskakując z łóżka. Otworzywszy szufladę komody, wyjął z niej dżinsy oraz koszulkę i ubrał się, a następnie z tej samej szuflady wydobyl wielgachną, bardzo długą męską koszulę.

– Włóż na razie to – polecił, rzucając koszulę na łóżko.

Nie musiał jej tego dwa razy powtarzać. Zapinając szybko guziki, zapytała:

– Jak długo zamierzacie mnie tutaj trzymać?

– Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to niedługo.

– A co z senatorem?

– Ma się dobrze.

– Skąd wiesz?

– Musisz mi uwierzyć na słowo.

– Ja mam ci wierzyć? Dlaczego?

Michael wziął dla uspokojenia głęboki oddech.

– Bo nie masz wyjścia. – Z głośnym trzaśnięciem drzwi zamknął się w łazience, skąd wrócił po niedługim czasie, zabrał stojącą na komodzie tacę z nietkniętym jedzeniem i opuścił pokój.

Amber skuliła się na łóżku. Podczas spędzonych razem dwóch ostatnich nocy Michael ani razu nie próbował się do niej dobierać. Nawet dzisiaj rano. Być może nie uznaje gwałtu, ale to jeszcze nie czyni z niego przyzwoitego człowieka.

Nadal nie może mu ufać. Jest jednym z nich.

Podreptała do łazienki. W chwili, gdy pochyłona nad umywalką opłukiwała sobie twarz, usłyszała szcęk otwieranych drzwi. Z bijącym sercem pospieszyła do pokoju. Na widok Michaela doznała mimowolnej ulgi. Przyniósł śniadanie. Na tacy, którą postawił na komodzie, znajdowały się dwie filiżanki, dzbanek z kawą, bułeczki, masło i dżem. Nalał kawy do

obu filiżanek i jedną z nich podał Amber razem z posmarowaną masłem bułką.

Ku własnemu zaskoczeniu spytała zaczepnie:

– Jak to, bez marmolady? Popatrzył na nią zdziwiony.

– Oddawaj! – Posmarował bułkę dżemem i podał ją Amber z powrotem.

Wygłodzona po długim poście, pochłoneła bułkę na stojąco. Dopiero po zaspokojeniu pierwszego głodu usiadła na skraju łóżka, pijąc kawę.

– Czy możesz mi powiedzieć, co się ze mną stanie?

– Niedługo wrócisz do domu.

– Łżesz jak pies.

– Wcale nie.

– Jesteś w zмовie ze Szwadronem. Macie zamiar postawić Stanom Zjednoczonych żądania nie do przyjęcia, a gdy nie zostaną spełnione, przystąpicie do rozstrzeliwania zakładników.

– Nie dojdzie do tego.

Kolejne kłamstwo. Amber nie miała wątpliwości, że odgadła plan porywaczy. Zawsze tak robią.

– Jesteś kłamcą.

Michael zbliżył się do łóżka wolnym krokiem, wyjął z rąk Amber pustą filiżankę i odstawił. Potem ujął ją jedną ręką za podbródek, a drugą za ramię, i przewrócił na łóżko. Miała ochotę krzyknąć, lecz głos zamarł jej gardle. Położywszy się obok niej, zaczął szeptać jej do ucha tak cicho, że z trudem go rozumiała:

– Nie musi dojść do najgorszego, ale wiele zależy od ciebie. Przede wszystkim przestań się awanturować. I pamiętaj, pod żadnym pozorem nie

mów, kim jesteś. Jeśli się dowiedzą, że mają w rękach córkę Teda Larkspura, znajdziesz się na pierwszym miejscu na liście do odstrzału.

Powiedziawszy to, podniósł się i wyszedł z pokoju. Usłyszała szcęk przekręcanego w zamku klucza.

Po godzinie miała następne odwiedziny. Tym razem zjawił się mężczyzna, który, jak jej się zdawało, miał na imię Mohammed. Pożyczona odzież zdążyła do tego czasu wyschnąć, toteż Amber czuła się względnie przyzwoicie ubrana, choć nadal nie miała butów.

– Ali wzywa cię na rozmowę – oświadczył domniemany Mohammed. Amber niespokojnie zabiło serce. Czyżby się domyślali? O czym Ali chce z nią rozmawiać? Widząc jej strach, mężczyzna dodał: – Nie bój się, Ali nie ma wobec ciebie złych zamiarów. Ani ja.

Idąc z nim korytarzem, znowu zadała sobie pytanie, gdzie może się znajdować Ian Daldrin, ale przynajmniej na razie nie widziała możliwości odszukania go.

Zdziwiła się, widząc, że Mohammed prowadzi ją przez dużą, prawie pustą centralną salę na tyły kompleksu, a na koniec otwiera przed nią drzwi. Po przekroczeniu progu znalazła się w otwartej skalnej grocie, w której znajdowały się ogrodowe ławki, były fontanny i rosło mnóstwo kwitnących orchidei najrozmaitszych gatunków. Po obu bokach wznosiły się góry, lecz Amber dostrzegła kilka ścieżek wydeptanych w bujnej roślinności, przy czym jedna prowadziła w dół. Czyżby biegła na plażę?

– Proszę usiąść tutaj – rzekł Ali, wskazując jej miejsce naprzeciw siebie. Spowity burnusem, w ciemnych okularach ma nosie, siedział przy kamiennym ogrodowym stole, na którym stały butelki z wodą mineralną, ser i świeże owoce. – Proszę się częstować. Przepraszam za ten spartański napój, ale moja religia nie pozwala pić wina.

– Nic nie szkodzi, nie jestem wielką amatorką wina.

Ali zrobił ruch ręką, a czekający na rozkazy Mohammed napełnił jej szklanek wodą.

– Mieszka pani w Waszyngtonie?

– Tak.

– I jest pani znajomą Adamsa. Przykro mi, że zrobił pani zawód.

– Nie wiedziałam, że jest terrorystą.

– Bojownikiem o sprawiedliwość.

Amber poczuła się dziwnie uspokojona. Bo chociaż jej rozmówca był niewątpliwie terrorystą mającym na sumieniu wiele krwawych zamachów, to jednak odniosła wrażenie, że nie ma do czynienia z żadnym krwi okrutnikiem, lecz z człowiekiem, którego fanatyzm wynika z głębokiej wiary w słuszność sprawy, o którą walczy. A zatem nie skrzywdzi jej, dopóki nie będzie przekonany, że jest to niezbędne dla owej sprawy.

– Bardzo pana przepraszam, ale nie rozumiem, w jaki sposób śmierć niewinnych ofiar może służyć sprawiedliwości – odparła.

– Bo należy pani do innego świata. Nigdy nie musiała pani walczyć o prawo do ziemi swoich przodków. Nie stykała się pani z przemocą i terrorem, jakie występują w niektórych rejonach Ameryki Środkowej, gdzie nowi buntownicy zwalczają dawnych buntowników, a dyktatorzy skazują na śmierć tysiące ludzi. Muszę postępować tak, jak postępuję, aby udowodnić, że mam siłę i trzeba się ze mną liczyć.

– Ale morduje pan niewinnych ludzi – zaoponowała. – I wysyła własnych zwolenników na pewną śmierć.

– W nagrodę zasiądą po prawicy Allaha.

– Ale tak nie musi być. Znam wielu muzułmanów, którzy wcale...

Urwała nagle, czując na sobie baczne spojrzenie Alego.

– Skąd zna pani aż tylu moich współwyznawców?

A stąd, że jestem córką Teda Larkspura, przemknęło jej przez głowę. Jako dziecko odbyła z ojcem wiele podróży po krajach Bliskiego Wschodu, a potem zdarzało się jej bywać na nieskończenie długich i nudnych dyplomatycznych przyjęciach.

– Do mojej szkoły chodziło wiele dzieci tureckiego pochodzenia – skłamała na poczekaniu. – I nigdy nie dochodziło między nami do nieporozumień. Oni i ich rodzice okazywali innym przyjaźń i życzliwość.

– Zamerykanizowana hołota – powiedział ktoś za jej plecami. Obejrząwszy się, ujrzała Khazara, który musiał nadejść którąś z górskich ścieżek, gdyż niósł na ramieniu karabin. Powiedział coś po arabsku do Alego, który wydawał się niezadowolony z obecności syna.

– Chętnie słucham opowieści o obyczajach innych ludzi – oznajmił Ali, zwracając się do Amber, po czym ruchem ręki odprawił Khazara. Ten posłusznie się oddalił, lecz na odchodnym rzucił Amber wrogie spojrzenie. – Lubi pani Waszyngton?

– O tak, bardzo. Uwielbiam kwitnące wiosną drzewa czereśniowe, waszyngtońskie parki, pomniki i muzea. Zwłaszcza Smithsonian.

– O tak, świetnie panią rozumiem. Prenumeruję ich czasopismo.

– Jak to?

– Oczywiście nie tutaj – roześmiał się Ali. – Przysyłają mi je do Francji. Czytając artykuły, czuję się, jakbym oglądał wystawy i eksponaty. Ale najchętniej wybrałbym się chyba do Muzeum Narodu Amerykańskiego.

– Naprawdę?

– O tak.

Ali opowiedział jej o swojej pierwszej w życiu wizycie w muzeum w Kairze, kiedy to jako chłopiec, ze strachem, ale i z fascynacją, oglądał wy-

stawione na pokaz staroegipskie mumie. Mówił z tak autentycznym zapałem i zainteresowaniem, że Amber mimo woli poczuła do niego sympatię.

Dalszą rozmowę przerwało nadejście Mohammeda.

– Miło się rozmawiało, ale muszę już wracać do swoich obowiązków – westchnął Ali. – Mam nadzieję, że niedługo wróci pani do Waszyngtonu.

To mówiąc, wstał i odszedł, dając Mohammedowi znak, by odprowadził Amber do pokoju.

– Chwileczkę! – zawołała za nim. Ali przystanął. – Proszę nas uwolnić. Senatora, mnie i innych Amerykanów. Nasz rząd nie może nam pomóc. Przecież pan wie, że wyroki naszych sądów są niepodważalne.

– Bardzo mi przykro, ale mam misję do wykonania. – Zawahał się. – Kazałem dostarczyć pani więcej ubrań. – Znowu się zawahał, po czym dodał: – Słyszałem pani krzyki minionej nocy, ale my nie mamy zwyczaju wtrącać się w sprawy między mężczyzną a jego kobietą. Chyba że Michael poczęstował nas bajeczką i nic was nie łączy. Jeśli pani sobie tego życzy, mogę was odseparować.

Amber nie wiedziała w pierwszej chwili, co powiedzieć. Bała się Khazara o wiele bardziej niż Michaela. Mimo przemocy i upokorzeń, jakich od niego zaznała, zaczynała wierzyć, że Michael rzeczywiście chce ją uchronić przed najgorszym. Przestrzegł ją nawet, by nie zdradziła Alemu, że jest córką Teda Larkspura.

– Więc jak, panno... Przepraszam, ale nie wiem, jak się pani nazywa – ponaglił ją Ali.

– Taylor – rzekła szybko. – Nazywam się Amber Taylor.

– Michael prosił, abym pod jego nieobecność zadbał o pani spokój. Zapewniłem go, że nikt nie będzie pani przeszkadzał. Ale mogę panią uwolnić również od niego.

– Bardzo dziękuję, ale to niepotrzebne. Mogę mieszkać z nim w jednym pokoju.

Skinąwszy głową, Ali oddalił się tą samą górską ścieżką, którą poprzednio nadszedł jego syn, a Amber poszła za Mohammedem.

Michael zjawił się dopiero późnym wieczorem. W ciągu dnia do pokoju Amber dostarczono parę dżinsów i kilka trykotowych koszulek, a mężczyzna o imieniu Jaime przyniósł jej lunch złożony z jagnięciny, kartofli i marchewki. Tym razem zjadła wszystko. Postanowiła zachować dobrą kondycję – zarówno na wypadek ucieczki, jak i gdyby przyszło jej pożegnać się z życiem.

Siedziała skulona w kącie łóżka, gdy wrócił Michael. Udała, że go nie widzi, a on w milczeniu położył się i szybko zasnął. Rano, kiedy się obudziła, Michaela już nie było, natomiast na komodzie czekało śniadanie. Posiliła się, wzięła prysznic, włożyła dżinsy i czekała nerwowo na dalszy bieg wydarzeń.

Po jakimś czasie wyrwał ją z drzemki głos Mohammeda:

– Ali chce panią zobaczyć.

Posłaniec ponownie zaprowadził ją do ogrodu. Amber usiadła i natychmiast oświadczyła, że nie ma zamiaru prowadzić konwersacji z terrorystą. Niezrażony tym Ali zaczął dowodzić, iż nie jest terrorystą. Mówił tak żarliwie, że szybko dała się wciągnąć w ożywioną rozmowę.

– Przemoc dla samej przemocy uważam za zbrodnię – zapewnił ją Ali.

– A wysadzanie w powietrze pasażerskich samolotów?

– Gdy toczy się wojna, ludzie giną.

– W tych samolotach giną niemowlęta. I matki z małymi dziećmi.

– Ale z dzieci wyrastają żołnierze.

– Dzieci nie powinny umierać.



– Świat nie jest doskonały.

Potem Ali zagadnął ją ponownie o Smithsonian oraz inne waszyngtońskie muzea i rozwinęła się interesująca rozmowa, która trwała także podczas lunchu. Amber uznała jednak, że musi go zapytać, co się dzieje z senatorem.

– Ma się dobrze, sama się pani przekona – upewnił ją Ali, wstając od stołu i dając znak Mohammedowi, by prowadził. Weszli do wnętrza fortecy i poszli pilnowanym przez uzbrojonych strażników korytarzem. Na jego końcu znajdowały się żelazne drzwi z więziennym judaszem. – Może pani szybko zajrzeć do środka.

Kiedy go posłuchała, z jej gardła wydobył się stłumiony okrzyk. We wnętrzu, które przypominało szpitalną salę, było kilku mężczyzn. Jednym z nich był senator, który siedział na łóżku, zajęty rozmową z innym mężczyzną. Kolejni dwaj grali w karty. Wszyscy robili wrażenie ludzi w niezłej formie. Na pewno ciężko przeżywają swoje uwięzienie i niepewny los, ale przynajmniej nie są głodzeni ani poddawani torturom.

Ali położył jej rękę na ramieniu, dając znak, aby się odsunęła.

– Jak pani widzi, są zdrowi i cali.

– Tak, to prawda.

– Mohammed, odprowadź panią.

Amber poszła posłusznie za swoim przewodnikiem, ale kiedy się obejrzała, Ali nadal na nią patrzył.

Przechodząc przez centralną salę, Mohammed przystanął na widok uzbrojonego Khazara, który rozmawiał po angielsku z Juanem i Jaimem. Fakt, iż mówił z nimi po angielsku, nasunął Amber przypuszczenie, że zna ten język lepiej niż hiszpański.

– Załatwione – oświadczył. – Nasze żądania zostały przekazane. Czwartego lipca urządzimy im fajerwerki. – Widząc nagle pobladłą Amber, uśmiechnął się złośliwie: – Kogóż to widzimy? No co, chłopcy, panienkę zachowamy sobie na ostatek, nie?

Nikt się jednak nie roześmiał. Może jednak mają w sercach odrobinę litości, pomyślała Amber.

Szykują się na czwartego lipca. Dziś jest osiemnastego czerwca. Zostało niewiele czasu.

Khazar wzruszył tylko ramionami, po czym odwrócił się i odszedł korytarzem, na którego końcu stał jego ojciec. Juan i Jaime ruszyli za nim. Mohammed zawahał się.

– Proszę tu chwilę poczekać, zaraz wracam – powiedział i, ku zaskoczeniu Amber, pobiegł za nimi.

Rozejrzała się po sali. Była wprawdzie sama, ale forteca jest pełna uzbrojonych ludzi. Wszędzie stały straż. Dokąd uciekać? Była nadal boso i nie miała pojęcia o geografii wyspy.

Czwartego lipca zaczną rozstrzeliwać zakładników.

Jej wzrok padł na drzwi do ogrodu. Rozejrzawszy się szybko wokół siebie, pobiegła co sił w nogach w stronę wejścia. Nikt jej nie zatrzymał. Znalazszy się w ogrodzie, przystanąła na moment. Dwie ścieżki szły w górę, jedna w dół. Może prowadzi na brzeg morza?

Wybrała trzecią ścieżkę.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

*Wyspa Potępionych 18 czerwca*

Dopiero teraz przeraziła ją własna lekkomyślność. To, co na co się odważyła, to było szaleństwo. Biegając, kaleczyła sobie stopy o kamienie i korzenie. Gałęzie smagały ją po twarzy, a zarośla hamowały bieg niczym macki niewidocznego prześladowcy. Nie miała pojęcia, gdzie jest ani dokąd zmierza. A lada chwila ruszą za nią w pościg.

Padnie, jeśli nie zatrzyma się przynajmniej na chwilę. Brakowało jej tchu, a każdy krok był męką.

Obolałe stopy odmawiały posłuszeństwa. Czuła, że spływają krwią, i bała się na nie spojrzeć.

Padła na trawę, gorączkowo łapiąc oddech. Obejrzała się i nadstawiła uszu, ale nikogo nie dostrzegła ani nie usłyszała odgłosów pogoni. Być może uznali, że zabłąkała się w obrębie fortecy i tam jej szukają, albo nie zauważyli jeszcze jej zniknięcia. Ale to tylko kwestia czasu, prędzej czy później ruszą w pościg. Trzeba uciekać.

Pewnie zostawia za sobą ślady, na to jednak nie mogła nic poradzić. Jedyne, co może zrobić, to starać się uciec jak najdalej. Dźwignęła się z ziemi i ruszyła przed siebie. W pewnej chwili zauważyła, że otaczają ją coraz gęstsze zarośla, więc uznała, że musiała nieświadomie zboczyć ze ścieżki. W miarę posuwania się naprzód drzew było coraz mniej, a coraz więcej niskich krzewów. Jednocześnie grunt stawał się coraz bardziej piaszczysty. A stok coraz bardziej stromy.

Nagle krzyknęła z bólu, gdy jakaś ostra łupina wbiła jej się w palec u nogi. Musiała się pochylić, aby ją wyrwać, i zobaczyła swoje poranione

nogi. Jak długo jeszcze wytrzyma? Kiedy ból stanie się nie do zniesienia, a ona padnie na ziemię i zapłacze z bezsilnej złości?

Musisz wytrzymać, powiedziała do siebie, zaciskając zęby. W dole jest morze, a morze to twoja jedyna szansa.

Znowu spojrzała za siebie, lecz ujrzała jedynie ścianę gęstej tropikalnej zieleni, która ciemniała wraz ze zbliżaniem się zmierzchu. Wkrótce zapadnie noc. Czyim będzie sprzymierzeńcem – jej czy tych, którzy ją ścigają? Chyba ich, są przecież wprawieni do walk w tropikalnej dżungli.

Znowu krzyknęła, tym razem z przerażenia, czując na twarzy gęstą pajęczynę. Starając się od niej uwolnić, wydmuchując z ust i zdzierając z oczu białe nitki, postąpiła nieopatrnie w bok, potknęła się, wylądowała na siedzeniu i zaczęła zjeżdżać w dół.

Nie było mowy o zatrzymaniu się na stromym stoku, więc tylko zwinęła się w kłębek, osłoniła rękami twarz i głowę, zamknęła oczy i poddała się pędowi. Nagle poczuła, że leci w pustkę. Otworzyła oczy i zaraz potem wylądowała z pluskiem w wodzie.

Staw, czy może strumyk, nie był głęboki. Poczowała pod stopami piaszczyste dno i szybko stanęła na nogi. Znajdowała się na niewielkim, otoczonym górami płaskowyżu, zapewne niewiele ponad poziomem morza. Dookoła rosły gęste chaszczce, które jednak kawałek dalej lekko się przerzedzały. Odgarnawszy z czoła mokre włosy, wyszła na brzeg i podążyła w tym kierunku.

Po jakimś czasie, kiedy teren zaczął się lekko wznosić, zobaczyła przed sobą wejście do jaskini. Usiadła nad strumieniem, aby obmyć krwawiące stopy i pomyśleć, co począć. Czy iść dalej mimo zapadających

ciemności? A jeśli trafi na kolejne urwisko i tym razem wyląduje na skałach? Czy nie lepiej spędzić noc w jaskini?

Ali Abdul jest panem wyspy, pomyślała. Rybacy i inni mieszkańcy są mu na pewno podporządkowani, nawet jeżeli nie żywią wobec Stanów Zjednoczonych nieprzyjaznych uczuć.

Ogarnęło ją poczucie beznadziejności. Nawet jeśli przeżyje dzisiejszą noc, dokąd ma się udać, by uniknąć schwytania? Przy odrobinie szczęścia mogłaby ukraść rybacką łódź. Cóż, kiedy musiałaby jeszcze pokonać zdradzieckie przybrzeżne rafy i płycizny, a gdyby i to się udało, znajdzie się sama na pełnym morzu, nie wiedząc, dokąd płynąć.

A co ją czeka, jeśli nie podejmie tego ryzyka? Ali wprowadził ją polubił, ale po ucieczce na jego sympatię nie może liczyć, amerykański rząd nie może sobie zaś pozwolić na spełnienie jego żądań. Uwolnienie zakładników przez porywaczy również nie wchodzi w grę. A zatem w razie schwytania czeka ją niechybna śmierć. Jeśli natomiast zdoła jakimś cudem uciec z wyspy, zyska szansę uratowania nie tylko siebie, ale i pozostałych porwanych.

Nagle usłyszała za sobą trzask łamanych gałęzi. Ktoś najwyraźniej zsuwał się tym samym zboczem, z którego ona spadła parę minut temu. Zaraz potem rozległ się głośny plusk.

Zerwała się na równe nogi i zaczęła na oślep uciekać. O mało nie wpadła do jaskini, która przed paroma minutami wydawała się bezpieczna, lecz teraz stałaby się pułapką. Musi się trzymać biegnącego wzdłuż strumienia wąskiego pasa piaszczystego gruntu. Może on prowadzić ku następnemu urwisku, ale lepsze już to, niż dać się schwycić.

Nagle potknęła się o niewidoczną skałę i poleciała na łeb, na szyję w dół. Jej prześladowca był tuż-tuż. Słyszała za plecami tupot nóg. Zrobiła

ostatni wysiłek, by wstać, lecz czyjeś ręce przygwoździły ją do ziemi. Zaczęła się szarpać w bezsilnej złości, kopiąc na oślep i drapiąc paznokciami. Nie miała nic do stracenia. W ciemnościach nic nie widziała, w dodatku mokre, potargane włosy zasłaniały jej oczy.

– Nie! – krzyknęła ostatkiem sił, lecz w tej samej chwili ręka napastnika zakryła jej usta, a on sam jeszcze mocniej przycisnął ją do ziemi.

– Przestań, Amber. To ja, Michael.

A więc to Michael. On przynajmniej nie zrobi jej krzywdy, ale zawlecze ją z powrotem do fortecy. A tam czeka Khazar, przed którym nikt jej teraz nie obroni.

Znowu zaczęła walczyć, lecz potężne ramiona Michaela bez trudu ją obezwładniły. Zrozpaczonej i pokonanej Amber do oczu napłynęły łzy. Ufała mu, wierzyła w niego, a on tymczasem przywiódł ją do zguby.

– Posłuchaj mnie – szepnął jej do ucha. – Nie wolno ci krzyknąć. Żołnierze zastrzelą cię, jeżeli nie zdołam sprowadzić cię z powrotem. Zabiorę rękę, ale nie krzycz.

Sama już nie wiedziała, co ma o nim myśleć. Bała się go, a zarazem chciała się do niego przytulić. Chyba tracę rozum, pomyślała. On jest moim wrogiem, a ja chcę oddać się w jego ręce.

Michael powoli odsunął dłoń z jej ust.

– Posłuchaj mnie, Amber. Staram się uratować ci życie.

– Nie wierzę ci – wyszeptała. – Jesteś jednym z nich. Znalazłam się tutaj przez ciebie. Przez tę waszą idiotyczną świętą wojnę, która...

– Nie biorę udziału w żadnej świętej wojnie – przerwał jej. – Jestem tutaj po to, żeby uwolnić zakładników.

– Jak to?

Odgarnął z czoła zmierzwione włosy. Dopiero teraz mogła dostrzec jego rysy.

– Właśnie tak. Nie było innego sposobu. A ty zostałam w to wplątana przez czysty przypadek.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Nie nazywam się Michael. To znaczy nie Michael Adams. Naprawdę nazywam się Adam Michael Tchartoff.

– Jak? – W jej głowie kłębiły się chaotyczne myśli. Co on mówi? Co to wszystko znaczy? Czy ma mu wierzyć? – Nie okłamuj mnie. Przynajmniej nie teraz. Schwytałś mnie i możesz zrobić ze mną, co tylko zechcesz. Możesz mnie zgwałcić, zabić, posiekać na kawałki, ale przynajmniej oszczędź mi kolejnych kłamstw!

– Nie chciałem cię okłamywać – odparł zdławionym głosem.

– Kim ty właściwie jesteś? – jęknęła.

– Dobrze, spróbuję to jak najkrócej wyjaśnić. Tylko bądź cicho. Tutaj głos niesie się daleko. Niedawno wezwano mnie do Waszyngtonu i poproszono, żebym przeniknął w szeregi tak zwanego Szwadronu Śmierci. Już wcześniej pracowałem w wywiadzie pod nazwiskiem Michael Adams. Miałem niejedno na swoim koncie i w pewnych kręgach byłem znany ze skuteczności. Słowem, byłem człowiekiem, jakiego każda podziemna organizacja chętnie widziałaby w swoich szeregach. O Adamie Tchartoffie tego typu ludzie wiedzieli zbyt wiele, żebym mógł próbować wejść do Szwadronu pod swoim prawdziwym nazwiskiem.

– Kto wezwał cię do Waszyngtonu? – przerwała mu.

Michael chwilę się wahał, po czym odparł:

– Twój ojciec.

– To nieprawda.



– Możesz mi wierzyć albo nie, ale tak było. Zresztą nie miał wyboru. Amerykanie wiedzieli od dawna, do czego ta wyspa służy, lecz nie mogli dokonać na nią inwazji. Z terrorystami trudno jest walczyć. Tak czy inaczej, prezydent podjął decyzję, a twój ojciec, który zna się na ludziach, postawił na mnie. I dokonał dobrego wyboru.

– Dlaczego się zgodziłeś?

– Miałem swoje powody.

– A senator Daldrin?

– Był we wszystko wtajemniczony. Zgodził się posłużyć za przynętę.

– Ale... – Patrzyła na niego osłupiała.

– Tylko w ten sposób mogłem dostać się na wyspę. Przez ostatnie dni penetrowałem fortecę. I musiałem dotrzeć na koniec wyspy, do pewnego rybaka...

– Do rybaka!

– Tak, Amber. Władze amerykańskie wiedzą, gdzie jesteśmy. I mają tu swoich ludzi.

– I co z tego?

– To, że dostarczono mi materiały wybuchowe. Podczas naszego tu pobytu zaminowałem pomieszczenia fortecy, łącznie ze zbrojownią. Uciekając, wysadzę wszystko w powietrze.

– Całą wyspę?

– Oczywiście, że nie. Na wyspie mieszkają zwyczajni ludzie. Mają to czy owo na sumieniu, ale nie są terrorystami. Poddają się władzy kolejnych dyktatorów, którym nie umieją się przeciwstawić. I tak samo poddali się uzbrojonym po zęby przywódcom Szwadronu Śmierci – dla świętego spokoju. Niemniej na Stany Zjednoczone padłby poważny cień, gdyby zdecydowały na zbrojną interwencję. Pojmujesz?

Amber z niedowierzaniem pokręciła głową. Albo on zwariował, albo ja, myślała.

– Jeśli to prawda, to dlaczego mówisz mi o tym dopiero teraz? – wyszeptała, pamiętając, że dżungla ma uszy. – Dlaczego wcześniej mnie nie uprzedziłeś?

– Kiedy miałem to zrobić? Na statku? A może podczas wycieczki na wyspę? Zanim zaczęliśmy się kochać, czy potem? Uprzedzałem, że niczego nie możesz ode mnie oczekiwać. Zresztą byłem związany tajemnicą. Tylko Daldrin wiedział, co się stanie. Nie mogliśmy ryzykować. Ale ty musiałaś się akurat napatoczyć! Dlaczego nie uciekłaś? Po co stałaś tam i wrzeszczałaś jak jakaś pożał się Boże filmowa heroina?

Trudno było się obrazić, leżąc na ziemi i nie mogąc się ruszyć. W bladym świetle księżycy widziała nad sobą jasne, chłodne oczy Michaela. Otaczała ich tajemnicza, tropikalna noc. I cisza, w której słychać było tylko szum spływającej po kamieniach wody. Ale spokój tej nocy był złudzeniem. Amber nadal nie była pewna, czy kiedykolwiek wydostanie się z tego groźnego raję.

– Jak mogłam uciec i nie krzyczeć, kiedy porywano jednego z moich najbliższych przyjaciół?

Michael podniósł się i pomógł jej wstać. Amber wciąż nie była przekonana, czy może mu uwierzyć. A jeśli znowu ją zawiedzie? Powiedział, że nie nazywa się Michael, tylko Adam. Adam Tchartoff. Kim jest naprawdę? Czy może mu zaufać? Powiedział, że jest szpiegiem. I że Daldrin dobrowolnie pozwolił się uwięzić.

Stali teraz naprzeciw siebie, patrząc sobie w oczy.

– Jeśli jest tak, jak mówisz, to dlaczego podczas uroczystości za poległych w Wietnamie mój ojciec mówił, że cię nie zna? I dlaczego

Daldrin kazał ci mnie pilnować, a jednocześnie nie chciał, żebyśmy się spotykali na osobności? To wszystko nie trzyma się kupy.

– Myślę, że twój ojciec i senator chcieli cię chronić.

– Dlaczego wobec tego nie chcieli, żebym się z tobą zadawała?

Przecież jesteś Amerykaninem.

– Już nie.

Amber cofnęła się.

– To kim jesteś?

– Izraelczykiem.

Czuła się coraz bardziej zagubiona. I nadal nie mogła się zdecydować, czy mu wierzyć. Michael tymczasem wyraźnie stracił ochotę na dalsze wyjaśnienia. Odwróciwszy się, ruszył pod górę w kierunku jaskini, a ona, chcąc nie chcąc, poszła za nim.

– Skoro mówisz, że nie prowadzisz świętej wojny, to dlaczego...

– Na Boga, ciszej! – szepnął, kładąc palec na ustach i chwytając ją za ramię.

Ze stoku nad ich głowami dochodził trzask łamanych gałęzi i kroki posuwających się przez gęstwinę ludzi.

– Nie ma jej tu i nie było – rozległ się czyjś głos.

– Musi być gdzieś na wyspie – odparł drugi. Amber rozpoznała głos Mohammeda.

– Wcale nie – sprzeciwił się pierwszy. – Ten cały Adam mógł ją gdzieś ukryć. Bardziej mu zależy na tej babie niż na naszej sprawie. Trzeba było zaciukać ją od razu na statku.

Odpowiedzi nie dosłyszeli, bo obaj mężczyźni zaczęli się oddalać. Ich kroki ucichły i w dżungli znów zapanowała cisza, ale Amber i Michael stali jeszcze długą chwilę w milczeniu. I właśnie wtedy Amber zdała sobie

sprawę, że wszystko, co Michael jej powiedział, musi być prawdą. To, że nie jest terrorystą i że oboje mimo wszystko są po tej samej stronie. A ona nie zakochała się w zdrajcy. Tyle że teraz nie miało to już znaczenia, skoro w każdej chwili obojgu grozi śmierć.

Michael puścił jej ramię.

– Na mnie też polują – rzekł półgłosem. – Chodź, przenocujemy w jaskini. Przed świtem nie wyruszą na kolejne poszukiwania, a ja przedtem wrócę do fortecy.

– Ależ to szaleństwo! Zabiją cię!

– Nie skończyłem zakładać ładunków, a poza tym muszę uwolnić Daldrina i innych zakładników.

– Ale...

– Nic nie mów. W jaskini będziesz bezpieczna. Strumień schodzi wodospadami do ujścia rzeki, gdzie jutro o jedenastej zjawi się amerykańska motorówka. Jeśli nie wrócę do jedenastej, spłynę wodą do morza. Wiem, że sobie poradzisz.

– Jak to, jeśli nie wrócisz? Zniecierpliwiony, ruszył sam pod górę.  
Amber

chwile się wahała, lecz w końcu poszła w jego ślady. Kiedy się pośliznęła na mokrej trawie, Michael pomógł jej iść. Przed wejściem do jaskini spojrzał na jej poranione stopy, po czym wziął ją na ręce i zaniósł do strumienia. Obmywszy jej nogi, zdjął koszulę, podarł ją na pasy i obandażował nimi chore miejsca.

– Muszą boleć jak jasna cholera – szepnął, niosąc Amber z powrotem do jaskini.

Nie chciała się teraz zajmować swoimi nogami. Pragnęła jedynie jak najwięcej dowiedzieć się o nim.

– Jakim językiem mówiłeś w dzieciństwie? – zapytała.

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Po rosyjsku – odparł z lekkim uśmiechem. Zaniósł ją w głąb jaskini i posadził pod ścianą.

– Niestety, nie mogę rozpalić ogniska. Mogłoby nas zdradzić.

– Nie potrzebuję ogniska. Opowiedz mi o sobie.

– No cóż – westchnął, siadając przy niej. – Mój ojciec był Rosjaninem, który po wojnie znalazł się w Austrii jako uchodźca. Matka była wprawdzie Austriaczką, która świeżo wyszła z obozu koncentracyjnego, ale Austria miała wtedy tylu uchodźców, że dzieciom z mieszanych małżeństw aż do 1950 roku nie przyznawano obywatelstwa. Ale moim rodzicom udało się wyjechać do Stanów i tak stali się Amerykanami.

– Aha. – To niczego nie wyjaśniało. W dodatku Adam mówił dziwnie neutralnym, niemal obojętnym tonem.

– Po śmierci ojca matka wyjechała do Izraela. Pojechałem ją odwiedzić. – Głos mu się załamał, a Amber nie wiedziała, jak się zachować. Chciała, by mówił dalej, ale sama nie była pewna, czy chce usłyszeć dalszy ciąg. – W Izraelu poznałem kobietę, w której się zakochałem. Wzięliśmy ślub, a kiedy urodziło się dziecko, przyjąłem izraelskie obywatelstwo.

Serce Amber zmroził lód. A więc jest żonaty i ma dziecko. Wszystko, co przeżyli razem, było kłamstwem.

– Mając żonę i dziecko, podjąłeś się tak ryzykownej misji?

– Oni nie żyją – powiedział martwym, bezbarwnym głosem. – Ja też jestem półtrupem. Zginęli w wybuchu bomby podłożonej w samochodzie, która była przeznaczona dla oficera wywiadu Adama Tchartoffa, ale zamiast niego zabiła piękną młodą kobietę i niewinną dziewczynkę. Zamachu dokonał Szwadron Śmierci na rozkaz Khazara Abdula. Dlatego, między

innymi, podjąłem się tego zadania. To wszystko. Wcześniej nie mogłem ci o tym powiedzieć, bo bałem się, że możesz się zdradzić.

To wszystko, pomyślała ze ściśniętym sercem.

– Wtedy na tej uroczystości...

– Byłem na niej, bo odbywała się na cześć mojej jednostki. Dzięki temu twój ojciec mógł się ze mną skontaktować, nie budząc niczyich podejrzeń.

– Mój ojciec poszedł tam tylko po to...

– To nie tak. Musiał się ze mną spotkać, ale to w niczym nie umniejszało wagi samej uroczystości.

– Powiedział, żebym trzymała się od ciebie z daleka.

– Wiem. – Położył się pod ścianą i zamilkł.

Amber odsunęła się od niego i też położyła, patrząc tępo w sufit jaskini. Jak to możliwe, że stojąc w obliczu śmiertelnego zagrożenia czuje tylko ból w sercu i żal za utraconą miłością?

– Powiedz mi, Michael, czy ja coś dla ciebie znaczyłam?

Milczał nieskończenie długo. Wreszcie odparł:

– Byłaś dla mnie wszystkim. Wróciłaś mi życie.

Wróciła mu życie... Powiedział to, a jednak nie próbował jej objąć. Posądzała go o zdradę, której nie popełnił. Przespała obok niego dwie noce, bojąc się go dotknąć, a dzisiejsza noc może być ich ostatnią. Zapragnęła ją z nim spędzić.

Wstała i zbliżyła się do niego. Michael musiał poczuć jej bliskość, lecz ani się nie odezwał, ani nie poruszył. Uklękła przy nim i zaczęła się rozbiierać, a on nadal milczał, chociaż czuła na sobie jego wzrok.

– Bądź ze mną, proszę cię. Potrzebuję cię – wyszeptała. Tak strasznie się bała, że ją odepchnie. – Michael, bądź ze mną. – Dopiero wtedy

wyciągnął do niej rękę. – Naprawdę mogę z tobą zostać? Tak bardzo cię potrzebuję.

– Nie mogę ci odmówić – odparł z uśmiechem.

– Ja też cię potrzebuję. – Ich usta się spotkały. To, że znajdowali się w zimnej, wilgotnej jaskini, a noc była groźna i ciemna, straciło znaczenie. Dotyk Michaela był niby ogień rozpraszający chłód i ciemność. Amber słyszała szum wody, cykanie świerszczy, śpiew. ptaków, magiczną pieśń nocy. I słyszała bicie ich serc. Klęczeli teraz naprzeciw siebie, a Amber, która widziała twarz Michaela w mdłym świetle księżyca, wydawało się, że są sami w jakimś egzotycznym raju. On jej pragnął i nic więcej się nie liczyło.

Padli sobie w objęcia. Dziś jednak to ona miała być stroną aktywną. Pierwsza go pocałowała i pierwsza zaczęła wodzić rękami po jego ciele. Chciała go kochać całą sobą, absolutnie i bezwarunkowo. Kiedy osunęli się na twardą ziemię, miała wrażenie, że spoczęli w różanym łożu. Kochali się żarliwie, namiętnie, niecierpliwie, a chwila najwyższego uniesienia była jednym wielkim wybuchem złocistej jasności, unieważniającej wszelkie ziemskie zagrożenia.

Opadł na nią z jękiem, tuląc ją w ramionach.

– Dzięki tobie, Amber, czuję, że znowu żyję.

Kochali się znowu, i znowu, w przerwach między kolejnymi wybuchami namiętności ofiarowując sobie serdeczność i czułość. Magiczna noc zdawała się nie mieć końca. Ale przyszła chwila, w której Amber zdała sobie sprawę, iż otaczająca ich jasność jest realnym światłem wstającego dnia.

Adam podniósł się i wyszedł z jaskini. Wiedziała, że nadejście dnia odbiera im wszystko, co przeżyli razem w ciągu minionej nocy.



Wykapawszy się w zatoczce, wrócił i szybko się ubrał. Obserwowała go w milczeniu. Ukląkł przy niej.

– Zostań tutaj – powiedział cicho. – I pamiętaj, jeżeli do jedenastej nie wrócę, spłyn strumieniem do ujścia rzeki. Jesteś dzielna, na pewno sobie poradzisz.

Gwałtownym ruchem objęła go za szyję.

– Nie zostawiaj mnie samej. Zabierz mnie ze sobą.

– Dobrze wiesz, że to niemożliwe. Muszę mieć swobodę ruchu, w przeciwnym razie oboje możemy zginąć. Zostań tu i bądź dobrej myśli. I pamiętaj, żeby pod żadnym pozorem nie wychodzić z jaskini. Ktoś mógłby cię zobaczyć.

– Nie chcę, żebyś tam wracał.

– Muszę.

– Tak się o ciebie boję.

– Dobrze wiesz, że muszę to zrobić.

Uwolnił się z jej objęć i zdecydowanym krokiem opuścił jaskinię. Wiedziała, że jej protesty na nic się nie zdadzą.

Nagle poczuła chłód i sięgnęła po ubranie, ale wciągając dzinsy uznała, że musi się najpierw umyć. Niewiele myśląc, pokuśtykała do strumyka i usiadłszy na brzegu, z rozkoszą zanurzyła obolałe stopy w wodzie, po czym umyła sobie twarz i ręce. Dopiero wtedy przypomniała jej się przestroga Adama. Ma nie wychodzić z jaskini. Rozejrzała się na wszystkie strony, lecz niczego nie zauważyła.

Kiedy jednak wstała, w zaroślach nagle coś zaszeleściło. Zamarła ze strachu. Czekwała chwilę, lecz nikt się nie pojawił. Tymczasem słońce zaczęło przygrzewać, oświetlając swoim blaskiem spokojną na pozór dżunglę.

Nieco uspokojona wróciła do jaskini, usiadła na ziemi i zaczęła się zastanawiać, czy gdy przyjdzie czas, a Adam nie wróci, wystarczy jej odwagi, by puścić się samej z biegiem rzeki. Spojrzała na swój kosztowny zegarek, kompletnie nie pasujący do ręki brudnej kobiety w wyświechtanych dżinsach, której poranione stopy spowijały szmaciane bandaże. Miał jednak tę zaletę, że nadal chodził. Tyle że czas włókł się niemiłosiernie.

W jej odczuciu od odejścia Adama minęły całe godziny, a tymczasem zegarek wskazywał zaledwie parę minut po ósmej.

Jakim cudem znalazła się w takim położeniu? Czy los chciał ją czegoś nauczyć? Zesłał jej Adama po to, aby poznała swoje prawdziwe pragnienia i zrozumiała sens miłości?

Adam nigdy nie powiedział, że ją kocha. Nie mógł jej wyznać miłości, gdyż jego serce należy nadal do zmarłej żony.

Powiedział jednak, że przywróciła mu życie, przypomniała sobie. A teraz odszedł. Może na zawsze.

Z zamyślenia wyrwały ją jakieś hałasy. Trzask gałęzi, odgłos kroków. Adam wrócił! Nie jest już sama.

Poderwała się na równe nogi, by wybiec z jaskini, lecz w połowie drogi stanęła jak wryta. U wejścia do groty rysowała się na tle nieba sylwetka... Khazara. Nie był sam. Postępowali za nim dwaj mężczyźni.

– Więc tu się panienka schowała! – wykrzyknął, szczerząc zęby w okrutnym uśmiechu. – Długo moglibyśmy panienki szukać, gdyby Jaime nie wypatrzył cię na polanie podczas rannego patrolu. Spędziłaś pewnie noc z Tchartoffem. Tak, z Tchartoffem. Wiemy już, jak naprawdę się nazywa. Od początku wydawał mi się podejrzany. – Khazar splunął ze złością na ziemię. – Ojciec dał się podejść. Zawsze miał za miękkie serce. O tobie też

wszystko wiemy, panno Larkspur! Amerykańskie gazety są pełne twoich zdjęć.

Amber cofnęła się pod ścianę, przeklinając w duchu swą lekkomyślność. Adam uprzedzał ją, by nie wychodziła. Jak mogła o tym zapomnieć!

– Gdzie jest Tchartoff? – zapytał Khazar.

Amber, zgodnie z prawdą, przecząco pokręciła głową.

– Odpowiadaj!

– Nie wiem.

– Ale on wie, że tu zostałeś. I wróci po ciebie.

– Nie. Nie wróci.

– Myślę, że wróci. A jeśli nie, to wiem, jak do tego zmusić.

Ruszył w jej stronę, ona jednak nie zamierzała się poddawać. Kiedy się zbliżył, z całej siły trzasnęła go pięścią w twarz. Widać było, że go zabolalo, niemniej w następnej chwili chwycił ją za włosy i szarpnął tak mocno, że krzyknęła z bólu.

– Wychodzimy, panno Larkspur. A Tchartoff zaraz się dowie, co cię czeka, jeżeli natychmiast nie wyjdzie z ukrycia. – To powiedziawszy, wywlókł szamoczącą się Amber z jaskini.

– Twój ojciec nie pozwoli mnie zabić! – zawołała.

Khazar zmierzył ją zimnym wzrokiem.

– Mój ojciec nie żyje. Zmarł w nocy na atak serca. Teraz ja tutaj rządzę. Nic już panience nie pomoże.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

– Hej, Tchartoff! Słyszysz mnie? – krzyknął Khazar, stając obok Amber na skarpie. – Znalazłem twoją kobietę. I wiem, kim ona jest. Bardzo ważną osobą, córką Teda Larkspura. Nie masz wyjścia, Tchartoff, musisz się ujawnić. Jak nie wyjdiesz, twoja kobieta zginie, i to bardzo powolną śmiercią. Ale najpierw oddam ją Juanowi.

– Adam, nie słuchaj go, nie... – zawołała Amber, ale Khazar szarpnął ją za włosy z taką siłą, że łzy popłynęły jej z oczu.

– Pewnie wrócił do fortecy – stwierdził Khazar. Pociągnął Amber w górę skarpy. – Właź! – rozkazał.

Ciągnięta za włosy, zaczęła, chcąc nie chcąc, wdrapywać się po stromym zboczu, ale obolałe stopy odmawiały posłuszeństwa i ześlizgiwały się ze stoku. Jeden z pomocników powiedział coś do Khazara, po czym podszedł i przerzucił ją sobie przez ramię. Był silny i zwinny jak kozica. Wdrapywał się szybko po stromym stoku, jakby niesiony ciężar wcale mu nie przeszkadzał.

Pokonawszy wzniesienie, postawił Amber na ziemi. Spróbowała umknąć, lecz Khazar ponownie chwycił ją za włosy i kazał iść przed sobą. Ilekroć zwolniła kroku, popychał ją lufą karabinu. Dotarli w ten sposób do ogrodu z orchideami. Tu Khazar wdrapał się na skalny wyłom i zawołał:

– Tchartoff! Mam twoją kobietę! Jeśli się nie pokażesz, ona zginie. Masz godzinę do namysłu!

Zamilkł, czekając na odpowiedź. Amber też czekała. Dżungla jednak milczała. Po paru minutach Khazar zeskoczył ze skały i popchnął Amber w kierunku drzwi do fortecy. Kiedy znaleźli się w środku, poprowadził ją w

głęb korytarza, kopnięciem otworzył któreś drzwi i wepchnął Amber do środka.

Znalazła się w pomieszczeniu wyglądającym na gabinet połączony z sypialnią. Stało w nim nowoczesne biurko, a na ścianach porozwieszane były szable, sztylety, karabiny, a także różnego rodzaju pejczyce i baty. Zarazem jednak podłogę zaścielały perskie dywany, a na sofie piętrzyły się adamaszkowe poduszki.

Usłyszała za sobą trzask zamykanych drzwi i ku swemu przerażeniu znalazła się sam na sam z Khazarem.

– Umarł ci ojciec, a ty nie jesteś po nim w żałobie? – zapytała.

– Był głupi – odparł ponuro jej prześladowca. – Nie mogłem się doczekać, kiedy wreszcie umrze.

– Twoi ludzie wiedzą, co o nim myślisz?

– Nie twoja sprawa.

Jego oczy zionęły nienawiścią. Amber cofnęła się w głąb pokoju, Khazar tymczasem zerwał ze ściany bicz i zamachnął się nim. Amber poczuła, że sznur owija się wokół jej szyi, i odruchowo chwyciła go obiema rękami. Rozpaczliwie usiłowała wyzwolić się z pętli, lecz Khazar silnymi szarpnięciami coraz bardziej przyciągał ją ku sobie.

Kiedy znalazła się tuż przed nim, gwałtownie zwolnił pętlę. Amber zachwiała się i padła na sofę. Z obleśnym uśmiechem rzucił się na nią, przygwoździł do poduszek i zaczął brutalnie obmacywać jej piersi. Amber wrzasnęła na cały głos.

W tym momencie drzwi pokoju otworzyły się z trzaskiem, a jej napastnik odwrócił głowę.

– Khazar!

W drzwiach stał Adam z rewolwerem w rękach. Khazar tylko wyszczerzył zęby i zerwał się z kanapy, podrywając za sobą Amber.

– Mam twoją kobietę – oświadczył.

– Puść ją!

– O nie. Rzuć broń, albo kobieta zginie. Skręcę jej kark. Wiesz, że to potrafię.

– Wiem – odparł spokojnie Adam.

Był zdumiewająco chłodny i opanowany, wręcz obojętny. Kręcąc na palcu pistolet, przeszedł się jakby nigdy nic po pokoju. Amber patrzyła na niego oniemiałym wzrokiem. Robił wrażenie, jakby nic go nie obchodziło, co Khazar z nią robi.

– Zabiłeś moją żonę – oznajmił, przystając przy biurku.

Khazar wzruszył ramionami. Amber, której szyja była uwięziona z zgięciu jego łokcia, czuła każde poruszenie swego prześladowcy. Wystarczyłby jeden ruch, a byłoby po niej.

– Bomba była przeznaczona dla Tchartoffa, podstępnego amerykańskiego bojownika. Zabicie ciebie byłoby wielkim osiągnięciem. Ale ty pozwoliłeś, żeby zamiast ciebie zginęła twoja żona.

– Nie zapominaj o mojej córce. Zamordowałeś także niewinne dziecko.

– Pozwoliłeś umrzeć im obu. To ty miałeś zginąć.

– Mieliśmy zginąć wszyscy troje.

– Szukam chwały nie na tym świecie – odburknął Khazar.

– Chyba sam w to nie wierzysz. Jesteś zwyczajnym okrutnikiem, który wmówił sobie, że może bezkarnie terroryzować, torturować i zabijać, powołując się na szlachetne cele – chłodno zauważył Adam.

– Mam w nosie twoje gadki, Tchartoff. Rzuć broń!

– Już po tobie, Khazar. Wszystko skończone – odparł na to Adam, odkładając rewolwer na stół.

– Cofnij się! – rozkazał Khazar, przesuając się bokiem w kierunku stołu i wlokąc za sobą Amber.

Po chwili wymacał broń, podniósł ją i wycelował. Zabije go! Celuje w samo serce, pomyślała ze zgrozą Amber. Nie mogła do tego dopuścić. Z głośnym krzykiem podbiła rękę Khazara i w tej samej chwili padł strzał.

Jednakże Adam nie tylko nie upadł, ale rzucił się do przodu i uwolnił Amber z uścisku Khazara.

– Uciekaj! – krzyknął, popychając ją ku drzwiom.

– Adam, ty żyjesz...

– W rewolwerze były puste naboje. Nie mogłem ryzykować, kiedy Khazar miał cię w rękach.

Usłyszawszy to, przeciwnik przestał miotać arabskie przekleństwa, a na jego twarzy pojawił się dziki grymas.

– W takim razie pozostała nam walka wręcz

– oświadczył, wyciągając przed siebie rozczapierzone palce. – No chodź!

– Amber, na litość boską, uciekaj! – ponaglił ją Adam.

– Jak mogę...

– Nie widzisz, że tylko mi przeszkadzasz? Pojęła, że musi go posłuchać.

– Jak tylko z nim skończę, przyjdzie kolej na ciebie – rzucił Khazar pod jej adresem. – Nie uciekniesz mi.

– Nie wierz mu, Amber. Jego chwile są policzone. Uciekaj, co sił w nogach. Daldrina i innych znajdziesz nad rzeką. Musicie dotrzeć do morza. Cała twierdza wyleci za chwilę w powietrze.



– Jak to?

– Nie ma czasu, uciekaj!

Musi iść. Musi dać mu szansę. Biegając do drzwi, odwróciła się po raz ostatni i spojrzała na niego przez łzy.

– Adam, kocham cię.

Wypadając na korytarz, usłyszała pierwsze odgłosy walki. Musi znaleźć broń, wrócić i uratować Adama. Próbowwała otwierać kolejne drzwi, ale wszystkie były zamknięte. Nigdzie też nie było ludzi. Twierdza jakby opustoszała.

Ogród też był pusty. Pobiegnęła z krzykiem ścieżką prowadzącą w dół. Nagle ktoś wyskoczył ku niej z gęstwiny, i wrzasnęła jeszcze głośniejsze.

– Proszę się nie obawiać, panno Larkspur. Jestem przyjacielem. Musimy razem dotrzeć do rzeki.

Amber popatrzyła z niedowierzaniem na młodego, przystojnego mężczyznę, ubranego w niegdyś elegancki, dziś mocno zszargany garnitur typowego biznesmena.

– Musimy wrócić do twierdzy. Ale najpierw trzeba zdobyć broń. Jest pan wojskowym?

– Niestety nie – odparł młody człowiek z rozbijającym uśmiechem. – Jestem bankowcem. Diabli wiedzą, do czego im byli bankowcy. Zresztą nieważne. Trzeba uciekać. Zostało tylko parę minut. Za chwilę wszystko wyleci w powietrze.

– Ale nie możemy zostawić tam Adama! Młodzieniec pokręcił tylko głową, stukając palcem w tarczę zegarka.

– Tchartoff powiedział, że mamy uciec przed jedenastą. Zabierając panią.

– Ale ja muszę mu pomóc!

Ledwo to powiedziała, ziemią wstrząsnął potężny wybuch. Młody człowiek błyskawicznie powalił ją na ziemię, zakrywając własnym ciałem, a w sekundę później twierdza wyleciała z hukiem w powietrze, wysyłając pod niebo kawały muru, kamienie i bryły ziemi.

Po pierwszym wybuchu przyszedł następny.

– Uciekajmy! – wykrzyknął mężczyzna, pomagając jej wstać. Amber stała jednak oniemiała.

Adam został w środku. Jeśli nie zdołał uciec, wyleciał w powietrze razem z całą fortecą. Nie była w stanie zrobić kroku. Jej zrozpaczony towarzysz popchnął ją w dół, Amber straciła równowagę, i zaczęła zsuwać się po stromym stoku, dokładnie tak samo jak poprzednim razem. Dopiero wylądowawszy w zimnej wodzie, nieco oprzytomniała.

Adam wszystko przygotował. Unieszkodliwił żołnierzy Khazara i uwolnił zakładników. W momencie wybuchu w twierdzy nie było nikogo prócz niego i Khazara...

Młody człowiek wpadł do wody tuż obok niej i wziął ją za rękę.

– Proszę wstać, czeka nas długa droga.

Cóż miała robić? Podniosła się i ruszyła w dół strumienia. Po przebrnięciu pierwszych dosyć płytkich wodospadów woda stawała się stopniowo coraz głębsza, a prąd coraz gwałtowniejszy. Woda zalewała jej usta, prąd rzucał nią na wszystkie strony, lecz wszystko to działo się jakby poza nią. Nie czuła nic prócz strasznej wewnętrznej pustki.

Nagle jednak zdała sobie sprawę, że prąd osłabł, a ona znajduje się w płytkim słonowodnym zalewie. Podniósłszy głowę, ujrzała przed sobą morze, na którym, w pewnej odległości od plaży, unosił się niewielki patrolowy stateczek.

– To nasi, panno Larkspur. Czy umie pani pływać?

Popatrzyła w milczeniu na swego towarzysza. Nadal nie była w stanie wymówić słowa, więc tylko skinęła głową. Młody człowiek wziął ją pod ramię i poprowadził w morze, a kiedy woda sięgnęła jej pasa, Amber zaczęła odruchowo pływać.

Po dwudziestu minutach czyjeś silne ręce wyciągnęły ją na pokład. Ujrzała nad sobą zatroskaną twarz Iana Daldrina i wybuchła płaczem. Senator otulił ją kocem i wziął w ramiona.

– Jest w szoku – szepnął ktoś z boku.

– Nie – zaprotestowała. – Ale Adam, on tam został.

– Uspokój się – łagodnie odparł Daldrin. – Jesteś już bezpieczna.

Właśnie zawiadamiają twojego ojca. Będzie na nas czekał w St. Thomas.

– Czy Adam uciekł? – spytała z rozpaczą w głosie.

– Zapewne tak. Nasze łodzie będą nadal patrolować wyspę. Któraś z nich pewnie go wyłowi.

– Ale przecież twierdza wyleciała w powietrze, kiedy Adam był w środku!

– Mógł się w ostatniej chwili wydostać. – Daldrin rozejrzał się wokół.

– Przynieście wody i dajcie jej się napić.

Uśmiechnął się niepewnie. Amber dopiero teraz dostrzegła, że senator jest przemoczony do nitki. On też musiał dopłynąć do statku. Jak na swój wiek, był niezwykle dzielny. Adam byłby kiedyś podobny do niego, gdyby dane mu było dożyć jego lat. Gdyby...

Wszyscy byli wspaniali; uratowani biznesmeni, załoga, nawet lekarz, który zaaplikował jej potężną dawkę leków na uspokojenie. Cóż, kiedy żadne środki uspokajające nie były w stanie złagodzić bólu serca. Ale przynajmniej pozwoliły jej zapaść w sen.

Obudziła się dopiero w St. Thomas, gdzie została przetransportowana do luksusowego hotelu. Przed pojawieniem się ojca zdążyła wziąć prysznic i włożyć szlafrok. Powitanie z nim było rozdzierające. W milczeniu padli sobie w ramiona i długo nie mogli się od siebie oderwać.

Wieczorem wszystkie stacje telewizyjne podały wiadomość o brawurowym uwolnieniu zakładników. Na szczęście do Amber nie dopuszczono dziennikarzy.

Następnego dnia zjawił się Peter.

– Nie, nie mogę go widzieć – odparła w pierwszej chwili. Jej myśli były skupione wyłącznie na Adamie.

– Pomyśl, Amber, ile was łączyło. Peter umierał z niepokoju o ciebie. Od czasu porwania nieustannie wydzwaniał, żeby się czegoś dowiedzieć. Zobacz się z nim.

W końcu ustąpiła. Mogła się już porządnie ubrać, ojciec zaopatrzył ją w garderobę, więc przyjęła Petera w nowej letniej sukience, siedząc na kanapie z obandażowanymi stopami opartymi o niski stolik.

Kiedy wszedł, uderzyły ją dwie rzeczy: że jest bardzo przystojny i że jego uroda nie robi na niej wrażenia. Uścisnęła go, dziękując za troskę, ale czuła się w jego ramionach dziwnie obco. A kiedy oświadczył, iż muszą się jak najszybciej pobrać, delikatnie odsunęła go od siebie.

– Nie, Peter.

– Dlaczego? No tak, wiem, nie miałem racji. I bardzo żałuję, że od razu za tobą nie pojechałem. Myślałem tylko o sobie. Masz powody, żeby się gniewać...

– Nie wyjdę za ciebie.

– Dobrze, później o tym porozmawiamy.

– Nie, Peter. Nie wyjdę za ciebie. Ani teraz, ani później. Bardzo cię lubię, ale już cię nie kocham.

– Zmienię się, obiecuję.

Przykro było na niego patrzeć. Miał taką nieszczęśliwą minę.

– Doceniam twoją propozycję i to, że przyjechałeś. Ale między nami wszystko skończone.

– Amber, kochanie...

– Nie, Peter, to nic nie da. Ale przytul mnie, proszę, bo bardzo potrzebuję serdeczności przyjaciół.

Bała się, że poczuje się obrażony, zacznie jej robić wyrzuty, może wpadnie w gniew, lecz on tylko otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale rozmyślił się i objął ją czule.

Chyba ostatnie przeżycia pozwoliły nam obojgu dorosnąć, pomyślała Amber.

Została w St. Thomas razem z ojcem przez trzy dni, odpoczywając i lecząc stopy. Dowiedziawszy się, że młody bankowiec, który wyprowadził ją z dżungli, ma żonę i troje dzieci, zamówiła dla jego rodziny ogromną wędzoną szynkę z dostawą do domu. Wieczorem żona zadzwoniła z podziękowaniami.

– Wszyscy podziwiają pani odwagę – dodała. – Daldrin mówił, że kiedy go porywali, stanęła pani w jego obronie.

– Ja tylko robiłam dużo hałasu.

– Jest pani zbyt skromna. Wiem, że była pani niezwykle dzielna. Na szczęście wszystko dobrze się skończyło, ale Jimmy musiał mi obiecać, że zrezygnuje z pracy w międzynarodowych finansach. Od tej pory muszą mu wystarczyć krajowe banki.

Po parominutowej rozmowie Amber serdecznie się z nią pożegnała.

Wracali z ojcem do Waszyngtonu wojskowym samolotem. Zaraz po wejściu na pokład Ted Larkspur odchrząknął.

– Wiesz, Amber... Wczoraj widziałem Tchartoffa.

– Kogo?

– Adama. Nie tylko przeżył, ale dostarczył nam Khazara. Żywego. A musiało go korcić, żeby się z bydlakiem osobiście porachować. Chcieliśmy jednak mieć go żywego. Teraz odpowie przed sądem za wszystkie swoje zbrodnie. No i przy okazji być może dowiemy się więcej o działaniu jego organizacji. Adam dał dowód bezprzykładnej odwagi i przytomności umysłu. Zdołał go obezwładnić i wyprowadzić w trakcie eksplozji. Nasza łódź zabrała ich przedwczoraj z wyspy.

– I mówisz mi o tym dopiero teraz? A on? Dlaczego do mnie nie przyszedł?

– Nie chciał się pokazywać dziennikarzom. I chciał być sam. Zrozum, Amber, musieliśmy spełnić jego życzenie.

– O mnie nie wspominał?

– Ależ tak. – Ted zawahał się. – Kazał ci powtórzyć, że cię kocha. I życzy ci wiele szczęścia.

– To wszystko?

Ted ze smutkiem skinął głową.

Amber oparła głowę o szybę i zapatrzyła się w dal niewidzącymi oczami, z których po chwili popłynęły gorzkie łzy. Ojciec objął ją bezradnym ruchem.

– Zapomnisz o nim – szepnął pocieszająco.

– O nie – zaprzeczyła. – Nigdy o nim nie zapomnę.

*Nowy Jork 3 lipca*

Od rana nie ruszył się z kanapy, pomyślała Toni, wchodząc do swego mieszkania po parogodzinnej nieobecności. W drodze powrotnej zrobiła zakupy i zamierzała przygotować wspaniałą kolację, mając nadzieję, że choć trochę poprawi tym kuzynowi humor.

Nie bardzo rozumiała, po co się u niej zjawiał. Kiedy indziej, będąc w podobnym nastroju, stronił od ludzi – wypływał w samotny rejs albo szedł w góry. Tym razem było inaczej. Siedział u niej w domu i dosłownie pożerał gazety.

To może być ona, pomyślała nagle z przejęciem. Może chodzi o tę kobietę. Toni przeczytała wszystkie relacje prasowe opisujące akcję uwolnienia zakładników. Sam Adam nie chciał o tym opowiadać. Odmawiał także wywiadów. Nie chciał odgrywać roli oficjalnego bohatera. Powiedział jej tylko, że wykonał swoje zadanie.

Niemniej on również był ciekaw, co na temat akcji piszą gazety. A skoro nie interesowały go relacje o nim, to pewnie chodzi o tamtą kobietę. Ta córka Teda Larkspura musi być nie byle kim. Najpierw stanęła w obronie senatora, a potem próbowała uciec z fortecy o własnych siłach, i prawie jej się to udało. Ma dziewczyna charakter.

Toni uśmiechnęła się do swoich myśli.

– Cześć, Adam. Wróciłam.

– Miło cię widzieć. – Powiedział to tylko przez uprzejmość. Było mu całkowicie obojętne, czy ją widzi, czy nie.

– Napijesz się whisky?

– Chętnie.

– Kupiłam wspaniałe steki.

– To ja zapraszam cię na kolację.

– O nie. Kiedy idę na randkę, chcę, żeby mój partner mnie zauważał.



Adam podniósł się z kanapy i przeszedł do kuchni.

– Bardzo cię przepraszam, Toni. Wiem, że zachowuję się jak ostatni gbur, ale...

– Coś ci powiem – odparła z przekornym uśmiechem, nalewając mu porcję whisky. – Od jutra wyrzucam cię z domu.

– Nie mów.

– O dziewiątej rano masz samolot do Waszyngtonu. Jutro jest święto, więc trudno będzie o bilety, ale mam na szczęście paru przyjaciół w liniach lotniczych.

– O co ci chodzi?

– No pomyśl – odrzekła, patrząc mu bystro w oczy. – Szukałeś niezwyklej kobiety, a takie nie rodzą się na kamieniu. Jednak ją znalazłeś. Myślę, że stała się dla ciebie kimś bardzo ważnym i powinieneś jej o tym powiedzieć.

Twarz Adama stężała. Przez moment wyglądał bardzo groźnie. Najwyraźniej jednak złość szybko mu minęła.

– Nie mogę tak po prostu wkroczyć w jej życie. Muszę dać jej czas do namysłu.

– Wcale nie.

– Miała narzeczonego...

– Pisali o tym w gazetach. Ale zerwali ze sobą, zanim weszła na pokład „Alexandrii”. Resztę sama potrafię sobie dośpiewać. Adam, musisz do niej pojechać. Musisz jej powiedzieć, co czujesz. Dać jej szansę. Jej i sobie.

Stal przez długą chwilę, patrzył na nią i nic nie mówił. Potem nagle zrobił w tył zwrot i skierował się ku drzwiom.

– Co ci jest, Adam? Dokąd się wybierasz?

Obejrzał się przez ramię.

– Idę się spakować. Mówisz, że samolot odlatuje o dziewiątej rano?

Toni rozpromieniła się.

– Tak, o dziewiątej.

– Możesz mi załatwić rezerwację?

– Jasne! – zawołała, biegnąc pędem do telefonu.

*Waszyngton 4 lipca*

Stolica szykowała się do uroczystych obchodów Święta Niepodległości. Amber długo stała w oknie miejskiego domu ojca, obserwując przejeżdżające ulicą karnawałowe platformy, między którymi przeciskały się z trudem zwykle samochody. Uśmiechnęła się w duchu. Co by na to powiedzieli amerykańscy ojcowie założyciele, gdyby znaleźli się dzisiaj w Waszyngtonie?

W Białym Domu od rana trwały przygotowania, w których Ted Larkspur miał, rzecz jasna, spory udział. Namawiał Amber, by mu towarzyszyła, obiecując jak małemu dziecku najlepsze miejsce podczas pokazu sztucznych ogni, ale się wymówiła. Woląca zostać w domu, a on chyba w końcu to zrozumiał.

Nadal zdumiewało ją, że jest wolna. I nadal nie mogła uwierzyć w nieobecność Adama. Czuła się, jakby odcięto jej prawą rękę.

Gdy zadzwonił telefon, postanowiła go nie odbierać. Przyjaciele dzwoniли po kilka razy dziennie, pytając, jak się ma i kiedy ją zobaczą. Później będzie im dziękować, ale jeszcze nie teraz. Na razie potrzebuje czasu dla siebie.

Odezwała się automatyczna sekretarka, prosząc głosem ojca o pozostawienie wiadomości, a potem Amber usłyszała nieznany, lekko zdyszany kobiecy głos o miłym brzmieniu.

– Amber... to znaczy, panno Larkspur, pani mnie nie zna, ale postaram się mówić szybko i do rzeczy. Nazywam się Toni i jestem kuzynką Adama. Może nie powinnam do pani dzwonić, ale Adam jedzie do pani. Wiem, to nie moja sprawa, ale on pewnie będzie się czuł trochę niezręcznie...

Amber trzymała już słuchawkę w ręku.

– Cześć, Toni, tu Amber Larkspur. Czy mówiłaś, że Adam leci do Waszyngtonu? Jak on się czuje?

– W porządku. To znaczy... Dzwonię bez jego wiedzy, gdyby wiedział, pewnie by mnie udusił i pokroił na drobne kawałki, a ja tyle się namęczyłam, żeby zdobyć pani numer! Gadam od rzeczy, bardzo przepraszam! Sama nie wiem, co mówię.

– Bardzo się cieszę, że pani zadzwoniła – szybko wtrąciła Amber.

– Jest w drodze.

– Do Waszyngtonu?

– Tak. Chciałam panią uprzedzić, bo... on pragnie pani szczęścia. Myślę, że naprawdę panią kocha. Chciałam pani o tym powiedzieć, bo jemu może być trudno. Wiele w życiu wycierpiał. I to wszystko trwało tak długo. Nie bardzo wiem, co chciałam powiedzieć. Wyleciał o dziewiątej. O rany, już prawie jedenasta!

– Wyleciał o dziewiątej, a teraz jest prawie jedenasta? – przerwała jej Amber. – Wobec tego do zobaczenia. Strasznie dziękuję za telefon, ale muszę kończyć.

Szybko odłożyła słuchawkę. Była w szlafroku, z mokrymi włosami owiniętymi ręcznikiem. Adam zaraz tu będzie. Co ma na siebie włożyć?

Kocha ją. Dzwonek zadzwonił, zanim dotarła do sypialni. Zawróciła, pobiegła do drzwi i wyjrzała przez judasza.

Na podeście stał Adam. Nie zdążył się ubrać. Mógłby się zniechęcić i odejść. Szybko otworzyła drzwi.

– Adam!

Uśmiechnął się niepewnie.

– Dzień dobry, Amber. Mogę wejść?

Cofnęła się, aby go przepuścić. Po wejściu rozejrzał się z uznaniem po wnętrzu starego szacownego domu, który od stu lat zamieszkiwali politycy. Amber kochała tę rodzinną siedzibę, a sądząc po reakcji Adama, jemu również się spodobała.

Teraz ich oczy się spotkały. Przez długą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Z nadmiaru wzruszenia Amber zebrało się nagle na płacz.

– Dlaczego czekałeś tak długo? – wyszeptała przez łzy.

Sama nie wiedziała, jakim sposobem znalazła się w jego ramionach. Adam wziął ją na ręce, zaniósł do salonu i posadził na kanapie.

– Sam nie wiem, dlaczego – wyszeptał, scałowując łzy z jej oczu. – Wydawało mi się, że muszę wiele rzeczy przemyśleć. I że muszę dać ci czas zapomnieć o mnie, gdybyś wolała nie pamiętać. A może po prostu obleciał mnie strach. Sam nie wiem. Ale teraz wiem... – Urwał, a ona popatrzyła mu w oczy. Nie było w nich ani śladu dawnego chłodu. Patrzyły czule, otwarcie, niemal bezbronne. – Marzy mi się dom w górach. Albo w rozległej dolinie. Z pięknym widokiem. Z końmi i psami. I mnóstwo dzieci, co najmniej szóstka. Ale mógłbym zadowolić się dwójką. – Podniósł do ust jej rękę. – Nie wiem, jak ci dziękować, Amber. Dzięki tobie znowu żyję. I odzyskałem wewnętrzny spokój. Ofiarowałaś mi najcenniejszy dar, dar miłości, kiedy myślałem, że na zawsze go straciłem. Czy zostaniesz moją żoną?

Na zewnątrz rozległ się huk pierwszych fajerwerków.

– Tak – odparła, zarzucając mu ręce na szyję.

– Być może życie ze mną nie będzie najłatwiejsze – ostrzegł – ale chcę ci powiedzieć, że postanowiłem ponownie zmienić obywatelstwo. Twój ojciec jest mi coś winien, więc nie powinno być trudności. Co jeszcze powinnaś wiedzieć? Chyba to, że przeklinam po rosyjsku jak furman.

– Ale jeśli dzieci nauczą się rosyjskiego, będziesz się musiał hamować – ostrzegła Amber.

– Oczywiście.

Pocałowała go ze wszystkich sił. Fajerwerki wybuchały już w całym mieście. Nadszedł czwarty lipca – Święto Niepodległości. Na ten dzień Ali Abdul zaplanował początek egzekucji, a tymczasem sam przeniósł się na tamten świat, jego syn zaś trafił do więzienia. Zakładnicy wrócili bezpiecznie do swoich rodzin, a kraj świętował dzień wolności.

– Naprawdę bardzo cię kocham, Amber – wyszeptał Adam, odrywając się od jej ust.

Jego głos brzmiał w uszach Amber jak muzyka. Zdawała sobie sprawę, iż może ją czekać burzliwa przyszłość, ale miała zarazem pewność, że ich miłość przetrwa wszystkie burze.

– Wcześniej zaczęli dziś fajerwerki – mruknęła cicho.

– Masz ochotę pojechać popatrzeć?

– Nie. Wolałabym inne fajerwerki... te, które tylko ty potrafisz wyczarować.

– Gdzie jest twoja sypialnia? – zapytał, lecz kiedy Amber wskazała drogę, zawahał się. – A gdyby twój ojciec... ?

– Nie wróci przed wieczorem. Ale gdyby nawet, to nie sądzę, żeby miał nam za złe.

Adam uśmiechnął się. Może Ted rzeczywiście nie będzie miał pretensji? Kiedy spotkali się w St. Thomas, nie tylko się na niego nie dąsał,

ale wręcz wylewnie dziękował za uratowanie córki. Amber tymczasem opasała mu szyję rękami i przywarła do jego ust. Adamowi zakręciło się w głowie. Otworzył łokciem drzwi sypialni i wniósł ją do środka, po czym zatrzasnął drzwi plecami.

– To na wszelki wypadek – oznajmił.

– Kiedy wróci, będziesz musiał go zapewnić, że masz wobec mnie uczciwe zamiary – zakpiła Amber.

– Ale z ciebie spryciara – odparł tym samym tonem. Kiedy jednak położył się obok niej na łóżku, oczy mu zapłonęły. – Ty moja piękna bohaterko – wyszeptał.

Z prowokacyjnym uśmiechem wyciągnęła do niego ręce.

– Która nie może się doczekać swojego bohatera. – Jej głos zabrzmiał w jego uszach jak pieszczota. Rozpalał mu zmysły i przyspieszał bicie serca.

Patrząc teraz na Amber, nie mógł pojąć, jakim cudem zdołał trzymać się z dala od niej przez tak długi czas. Zaczął ją całować przy akompaniamencie wybuchających w mieście petard. Czuł podniecający zapach jej ciała. Ale nie spieszył się. Pieścił ją powoli, smakując każde muśnięcie i każde jej drgnienie.

– Czekam na fajerwerki! – wyszeptała w pewnej chwili, patrząc mu prosto w oczy.

– Dziś i każdego następnego dnia – mruknął wesoło.

Amber ze śmiechem przykryła go swoim ciałem.

– Witaj w domu, mój kochany. Długo na ciebie czekałam.

# EPILOG

*Alexandria, stan Wirginia 15 sierpnia*

Miał to być spokojny ślub. Tak w każdym razie planowano. Cóż, kiedy lista gości nieustannie się wydłużała, a do tego doszli reporterzy, nie mówiąc o zwykłych ciekawskich. Wszyscy jednak jakoś się pomieścili. Panna młoda szła do ołtarza w pięknej białej sukni naszywanej cekinami, z długim powłóczystym trenem. Była wysoka, majestatycznie zbudowana, jasnowłosa. Wyglądała jak księżniczka.

Pan młody w niczym jej nie ustępował. Wysoki, prosty jak świeca, ubrany w nienaganny smoking, sam mógłby być księciem.

Kościół tonął w kwiatkach i rozbrzmiewał muzyką. Chodziły słuchy, że sam prezydent zaszczyli ślub swoją obecnością, co oczywiście wymagało odpowiedniej obstawy i jeszcze bardziej potęgowało zamieszanie. Niektórzy szeptali, iż ojciec panny młodej miał wilgotne oczy, prowadząc córkę do ołtarza. Ale kiedy spojrzał w twarz panu młodemu, wydawał się uspokojony, jakby zyskał pewność, że oddaje swoją jedynaczkę w najlepsze ręce.

W rzeczywistości Ted Larkspur słuchał wymienianych przez młodą parę obietnic w stanie niejakiego zadziwienia. Przypomniawszy sobie nagle, iż to on sam dokonał wyboru Adama Tchartoffa, a następnie z niemałym nakładem sił i środków sprowadził go do Waszyngtonu.

I oto co z tego wynikło.



Wreszcie pozwolono Adamowi pocałować pannę młodą, a pan młody, przy akompaniamencie braw, z ochotą dopełnił obowiązku. Ted odetchnął. Stało się. Jego córka została mężatką.

Weselne przyjęcie odbywało się w domu Teda w Alexandrii pod Waszyngtonem i kosztowało krocie, ale w końcu wydawał za mąż jedyną córkę i chciał, aby zachowała z tego dnia najwspanialsze wspomnienia.

Tańcząc z nią potem w ogrodzie, poczuł, że oczy znowu mu wilgotnieją. Musiał sobie przypomnieć, że nie tylko nie traci córki, ale zyskuje syna. Jeżeli istniał na świecie mężczyzna zasługujący na to, by poślubić Amber, to był nim bez wątpienia Adam Tchartoff. Mężczyzna, który uratował jej życie. Niemniej...

– Chodzą słuchy, że pan młody otrzyma posadę w Waszyngtonie – szepnął córce do ucha.

Amber ślicznie zmarszczyła nosek.

– Tak, tato, wiem, i zamierza ją przyjąć. Z jego wiedzą i doświadczeniem szkoda, żeby się marnował. Ale wieczorami chcę go mieć w domu.

Ted lekko się uśmiechnął.

– Jeśli ci się zdaje, że będę miał wpływ na to, co robi twój mąż...

– Rozumiem. Ale ostrzegam: zrobię wszystko, żeby nie miał ochoty zostawać w Waszyngtonie na noc.

– Oszczędź mi szczegółów. Nie zapominaj, że pamiętam czasy, kiedy siusiałaś w pieluszki.

– O, dobrze, że mi o tym przypomniałeś.

– A bo co?

– Nie chciałbyś zostać dziadkiem? – spytała z szelmowskim uśmiechem, ale nim zdążył odpowiedzieć, obok nich pojawił się pan młody. Przeprosiwszy teścia, porwał żonę w ramiona.

No trudno, tak powinno być, powiedział sobie w duchu zrezygnowany Ted. Wracając do salonu, natknął się na prezydenta.

– Moje gratulacje, Ted. Groziła nam katastrofa, a tymczasem odnieśliśmy wielki triumf. I to na niejednym polu.

– To prawda – zgodził się Ted, a po chwili milczenia dodał: – Już mówią o wnukach! Możesz to sobie wyobrazić?

Prezydent roześmiał się.

– No, no. I pomyśleć, że będą w połowie rosyjskiego pochodzenia.

– W połowie rosyjsko–austriackiego, a w połowie amerykańskiego.

– Czyli całkiem po amerykańsku – przyznał ze śmiechem prezydent.

Ted popatrzył na niego z namysłem, po czym poszukał wzrokiem pięknej młodej pary tańczącej w ogrodzie walca.

– Hm, wnuki. Właściwie to nie mam nic przeciwko temu. A nawet bardzo się cieszę. Pomyśleć, że mogłaby mieć córeczkę kropka w kropkę jak ona. Śliczną dziewczynkę.

*Waszyngton 24 maja*

Telefon zbudził Teda Larkspura o czwartej nad ranem.

– To chłopiec, papo. Michael Theodore Tchartoff. Waży cztery kilo i jest blondynem. Oczy na razie ma niebieskie. I kopie jak pierwszy napastnik.

Ted na moment odłożył słuchawkę. Na jego twarzy zagościł szeroki uśmiech. Chłopiec...

Nie mógł się doczekać, kiedy zobaczy wnuka. Będą mogli chodzić razem do parku i grać w piłkę.

Tak, wnuki to niezły pomysł.

– Moje gratulacje, Adam! – powiedział szybko, przykładając z powrotem słuchawkę do ucha. – Jak się miewa Amber?

– Znakomicie. Jest obok mnie, dzwonię z sali porodowej. Chcesz z nią porozmawiać?

– Nie, nie – roześmiał się Ted. – Powiedz jej, że zaraz przyjadę.  
Chłopiec. Michael Theodore Tchartoff.

Brzmi to dobrze. Trudno o bardziej amerykańskie połączenie. Jak najbardziej stosowne dla pierwszego wnuka Teda Larkspura.

RS